TWÓRCZOŚĆ
KWIECIEŃ
1948

TREŚĆ ZESZYTU

CZESŁAW MIŁOSZ: TRAKTAT MORALNY
JERZY ZAGÓRSKI: TE, KTÓRE SIĘ TROSZCZĄ
JAN WIKTOR: POCHWAŁA MŁODZIEŻY POLSKIEJ
JAN KOPROWSKI: WIERSZE
EUGENIUSZ ZIELIŃSKI: WIERSZE
TADEUSZ PEIPER: O TAŃCACH ARTYSTYCZNYCH
POEZJA OFLAGU II C (JAN KNOTHE, WŁADYSŁAW MILCZAREK, EDWARD FISZER, STEFAN FLUKOWSKI)
E. N. DZELEPY: PRAWDA O MONACHIUM
WZNOWIENIA (K. KULICZKOWSKA, K. KOŹNIEWSKI, J. NOWAKOWSKI, A. ŁEMPICKA)
NOTY: (J. BIAŁOSTOCKI, W. NATANSON, K. GÓRSKI)

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK IV ZESZYT 4

KWIECIEŃ 1948

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 43290

CZESŁAW MIŁOSZ

TRAKTAT MORALNY

„Gdzież jest, poeto, ocalenie?
Czy coś ocalić może ziemię?
Cóż dał tak zwany świt pokoju?
Ruinom trochę dał powojów,
Nadziejom gorycz, sercom skrytość,
A wątpię, czy obudził litość."

Więc tak się moja rzecz zaczyna:
Potrzebna tobie dyscyplina
Eliminacji. Po teorie
Nie sięgaj grzecznie i pokornie.
Zmieni się zespół zdań najrzadszy,
Gdy zmienisz punkt, z którego patrzysz:
Islandzkie przeglądając sagi
Pełnej nie dajesz im powagi,
W staro-indyjskie wątpisz mity,
Obca ci wiedza Atlantydy,
Totemy prymitywnych plemion
Zwyczajów twoich nic odmienią
(Zresztą szacunek im należny
Co dzień, jak trzeba, w hołdzie nieśmy),
Tak na dzisiejsze spojrzyj baśnie.
Trochę z ukosa. Choć poważnie.

Biedna Hypatia, z której zdarli
Suknie na placu Aleksandrii,
I czarownice w mieście Salem
Szły na śmierć (pewnie z wielkim żalem),
Skyles, od Scytów za to ścięty,
Że greckim bogom dał prezenty,
Trutki w więzieniach połykane
I krótki miecz szarpiący ranę.

Jeżeli wiesz, co było potem,
To dziwnie ci nad Herodotem,
Mając znajomość z nocy kresem
Zasiadaj nad Tukydydesem
I purpurowy sok destyluj,
Aż palcem dotkniesz ziarna stylu
I szukaj, jaki wtedy będzie
Ślad stopy ludzkiej na legendzie.

Podobnie w nasze dni zamglone,
Stylem zasnute jak kokonem,
Sięgaj i przędzę bierz za przędzą,
Aż kruche nitki się rozkręcą
I na dnie zwolna się ukaże
Poczwarka nietykalna zdarzeń.
I przędzę zwiń. I z pełną wiedzą,
Że tylko przez nią oczy śledzą
Tę gwiazdę przeobrażeń wrzącą —
Czyń, póki dni ci się nie skończą.

Metoda jednak nie wystarczy,
Nim ludzki ród nie będzie starszy
I wiedzą, rzekłbym że muzyczną,
Osiągnie jakąś wielką styczną,
To znaczy mądrość tak ruchomą,
Jak sam mistrzowski sapiens homo.

Tymczasem każdy wiary pragnie,
Prosi, by wskazać mu poradnię,
Krzyczą: jest tak, bo prorok twierdzi,
Cytują go expressis verbis,
Odstępców straszą celą ciemną,
Śpiewają w prasie pieśń wojenną,
Ogniste ogłaszają wici
Sztandarem słów bez definicji
I w garnek tom encyklopedii
Kładą: że niby będą jedli.

Epoka nasza czyli zgon,
Ogromna Die Likwidation,
Jak długo, rzec nie umiem, potrwa,
O jakich usłyszymy łotrach.
Ceń ją, bo przez nią świat się zmienia
Budzący lekkie zastrzeżenia.

Żywot grabarza jest wesoły.
Grzebie systemy, wiary, szkoły,
Ubija nad tym ziemię gładko
Piórem, naganem czy łopatką,
Pełen nadziei, że o wiośnie
Cudny w tym miejscu kwiat wyrośnie.
A wiosny nima. Zawsze grudzień.
Nie rozpraszajmy jednak złudzeń.

Ciebie zapraszam dziś do arki,
Która przez czasu potok wartki
Na nowe brzegi nas poniesie.
Lądujesz w zatopionym lesie,
Mgły opadają, w górze tęcza
I gołąb liść zielony wręcza.
Za sto, a może za lat dwieście,
Gdzieś w Taorminie, może w Trieście,
We Francji (Chinach Europy),
Czy tam, gdzie dzisiaj stolic groby —
Maleńkie centrum nauk błyśnie
I hasło nowej da ojczyźnie.
Patrz, jak zmieniona perspektywa:
Już nie to wielkim się nazywa,
Co się nam wielkim wydawało.
Kroniki są już kartą białą.
Ci, którzy dzisiaj dzieje tworzą,
Pod darń trawników głowę złożą,
Wnuk barbarzyńców zamyślony
W słońcu tam czyta stare tomy,
Dawny mu wawrzyn czoło pali,
Myśli o tych, co zachowali
I poprzez ciemność skarb przenieśli,
O którym znów się składa pieśni.

Lecz nie jest moim to zamiarem
Przyszłość otaczać złudnym czarem.
Po przyszłościowej cóż iluzji,
Jeżeli dniom codziennym bluźni
I ufność nie porówni dzieli
Pomiędzy współ-obywateli.
Żyjesz tu, teraz. Hic et nunc.
Masz jedno życie, jeden punkt.
Co zdążysz zrobić, to zostanie,
Choćby ktoś inne mógł mieć zdanie.

Nowa konwencja już się tworzy.
Nie mów: konwencja długich noży.
Nie wątpię, że jest bardzo zła,
Lecz wynalazłem ją nie ja.
Oskarżaj, jeśli masz ochotę,
W weneckich bankach sztaby złote,
Elżbietę, Lutra, kres Armady,
Wersalskie bale, defilady,
Tatarów, że nas najechali,
Wojnę Stuletnią — i tak dalej.
Choćbyś zazdrościł psom i ptakom,
Musisz ją przyjąć jako taką,
A więc po prostu jak zdarzenie
Na naszej obrotowej scenie —
I płyniesz w tym społecznym fakcie,
Jak orzech w Nilu katarakcie.

Nie jesteś jednak tak bezwolny.
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.
I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,
Możesz, więc wpłyń na bieg lawiny.
Łagodź jej dzikość, okrucieństwo,
Do tego też potrzebne męstwo,
A chociaż nowoczesne państwo
Na służbę grzmi samarytańską,
Zbyt wieleśmy widzieli zbrodni,
Byśmy się dobra wyrzec mogli
I mówiąc: krew jest dzisiaj tania —
Zasiąść spokojnie do śniadania,
Albo konieczność widząc bredni
Uznawać je za chleb powszedni.
A więc pamiętaj — w trudną porę
Marzeń masz być ambasadorem,
Tych marzeń sennych z głębi mroku,
Co mają pulchną twarz baroku,
Albo spokojny żart etruski
W powiekach jak sosnowe łuski.
I trzy tysiące lat się wplata
W twój sen i przeszłość opowiada,
A politycznym twym wybiegom
Wtóruje rechot Rabelego.

Wiem, jaka czeka cię pokusa:
Już nowy pochód żwawo rusza,
Pośmiertna czkawka Heidelbergu,
Pociecha zrozpaczonych klerków.
Pomimo wszystko Ding an Sich
Wciąż jeszcze pokutuje w nich,
Więc zagubieni wśród chaosu
Za nowy się chwycili sposób
I chcąc mieć coś, co jednak trwa,
Znaleźli to: Être pour Soi.
Chętniebym dał im sławy palmę,
Lecz rzeczy to nieosiągalne,
Bo nikt z konwencji (czy formacji)
Na którejś nie wysiądzie stacji,
Ażeby się zabawiać mile
Siatką na Être czy na motyle.
Chowając dzieci, tworząc prawa,
Człowiek przed Wszechmogącym stawa,
Działaniem z chwili czyni wieczność
I obca mu sartrowska sprzeczność.
(A lepiej nawet żyć bez Trwogi,
Niż wpaść w pułapki ontologii).

Nie mówię tu o całej aurze,
W której się właśnie Paryż babrze.
Znów na bulwarze Saint Michel
Niemal że mit, niemal Sorel,
I Bergson znów, élan vital,
Naprawdę przykro jest i żal.
Gorzej, na ślicznych dziewcząt piersiach
Oprawny w skórę tom Jaspersa,
I co niemieckie nie umiera,
Że wziąć za przykład Heideggera.

Po tym, co rzekłem już na wstępie,
Nie myśl, że głupstw tych nie potępię.
Sceptycyzm mój pojemnie mieści
Pęd ku metodzie, żart dla treści,
Podczas gdy ci irracjonalni
Świat widzą na kształt wielkiej balii,
A każdy grzebie się tam w magmie,
No i wybiera to co pragnie.

Z moich słów, proszę, żadnych wniosków
Nie chciej wyciągać po żakowsku.
Że niby Sartre'a rzuć pod szafę,
Że urządź małe autodafe,
Przeciwnie, bo w mojej teorii
Herezja w wielkiej chodzi glorii,
Bo sól epoki jest w herezji,
Zwłaszcza gdy to pisarze nieźli.)*

Na obcych zresztą bardzo nie licz.
U nas ciekawy jest Witkiewicz.
Umysł drapieżny. Jego książek
Nie czytać — prawie obowiązek.
W ciągu najbliższych stu lat chyba
Nikt w Polsce jego dzieł nie wyda,
Aż ta formacja, co go znała,
Stanie się już niezrozumiała,
I jaka była w nim trucizna
Najlepszy spec się już nie wyzna.

Wiersz mój chce chronić od rozpaczy,
Tej właśnie, jaką miał Witkacy,
Kiedy część prawdy widząc trafnie
Sam w swoje własne wpadł zapadnie
I w owym wrześniu, pełnym żalu,
Potężną dozą weronalu
Śmierć uznał za rzecz tak zaszczytną,
Że to, co zaczął, skończył brzytwą.

**) Jednakże jestem tego zdania,*
Że mogą być prześladowania
I chcę przestrogę dać rodakom,
Z góry opowieść pisząc taką:
W Krakowie zdarzył się wypadek:
Ktoś przyniósł pannie czekoladek
I tak na łóżku, en passant,
Znalazł tam „L'Etre et le Néant".
Widzę tłum egzystencjalistek,
Nagie, a każda drży jak listek,
Na Plac Mariacki je wywlekli,
Szydzili i rózgami siekli
I dali każdej, mimo swobód,
Pięćdziesiąt pięć lat ciężkich robót.
Nie wiem, czy stara książka Sartre'a
Tak wielkiej kary była warta,
A choć to żart, rzecz jest możliwa.
Tak egzystencjalistom bywa.

Balzak na niego jest odtrutką:
Wszystko co trzyma ciebie krótko
I rozszerzając ziemski gmach
Budzi namiętność ludzkich spraw.

Dosyć o książkach. Ludzie ważni.
Trzeba nie lada wyobraźni,
Żeby ich dziś oceniać celnie,
W rozwadze chodząc niby w hełmie.
Poważnie ciebie ostrzec muszę:
Łatwiej niż sądzisz zgubić duszę
Przez niewłaściwe towarzystwo,
Bo jesteś gąbką — wchłaniasz wszystko.
Zasada musi być surowa,
Niech się nic w próbie nie uchowa,
Wzrok masz jak promień mieć Roentgena
(Nie jest to nazbyt miła scena).
Lepiej, byś miał się wydać oschły,
Byleby ciebie nie obrosły
Mchy tropikalne dusz niemytych,
Straszliwej nocy stalaktyty.
Metodą moją ludzi zlicz-no:
Najściślej arystokratyczną.
Strzeż się wariatów. Ci są mili,
Póki w zakładach ich więzili,
Albo trzymali w zwykłej stajni.
Są dziś wariaci miarodajni.
I każdy macha swą pałeczką
I patrzy z góry, moje dziecko.
Zaiste, wariat na swobodzie
Największą klęską jest w przyrodzie.

Nie czas na kpinki, bo się pleni
Szczególny rodzaj schizofrenii.
Jeżeli wierzę w finis terrae,
To nie, że środki są niezmierne
I że zrobiono B Atomic,
Lecz że się zjawił katatonik
Jako społeczna pewna postać
I on ma postępowi sprostać.
Psychologiczna stąd wymowa,
Jaką ma sprawa atomowa,
A Babel na ostatniej cegle
Kładzie dwie klęski równolegle.

Bo schizofrenia — rozdwojenie
Istoty na kwiat i korzenie,
Poczucie, że te moje czyny
Spełniam nie ja, ale ktoś inny.
Kark skręcić komuś jest drobnostką,
Potem Komedię czytać Boską,
Czy stary oklaskiwać kwartet,
Lub dyskutować awangardę.
Na mniejszą skalę to codzienne.
Ktoś mówi: zło jest bezimienne,
A nas użyto jak narzędzi.
Ma rację. I ku zgubie pędzi.

Fenomen ten, jak nam się jawi,
Jest skutkiem naciskania lawin
Na glebę, gdzie złożyły wieki
Mocno osiadły kult dla etyki.
Jeżeli tutaj ktoś pozwoli
Ponownie użyć paraboli,
Na pomoc fizyków pomysłom
Inne rozbicie jądra przyszło.

Jak ich rozpoznać? Wykrój powiek
Mają nie ten, co zwykły człowiek,
I w oczach mętny błysk owadzi —
Ten ich najczęściej nagle zdradzi.
Cała ta wizja mi nie obca:
Widziałem to już w gestapowcach,
U Hieronima także Boscha,
Gdzie diabli, na piekielnych łożach,
Wsadzają w potępieńców widły.
Więc widok swojski, choć obrzydły.
Umieją się maskować zresztą,
Więc z pewnym przybliżeniem bierz to.

Nie sądź poza tym zbyt pochopnie,
Bo różne są obłędu stopnie
I z chęcią, czy też mimo chęci,
Wszyscy jesteśmy nim objęci.
Tak się ten przykry sens odsłania:
Obłęd dziś ceną jest działania
I chyba tylko eremita,
Co w wieży Augustyna czyta,

Sądzi, że umknąć mu się uda.
Wątpliwa jednak to zasługa.
Myśl, co uważasz za stosowne,
Ja tutaj tylko ci przypomnę,
Że diabeł, jak z lektury wiem,
Jest séparé de lui-même.

Unikaj tych, co w swoim gronie
Pograwszy w polityczne konie,
Gdy na kominku ogień trzaska,
Wołają: lud, a szepczą: miazga,
Wołają: naród, szepczą: gie.
Myślę, że robią bardzo źle,
Bo upajają się pozorem.
Sami są tylko meteorem
I lata ich czekają długie,
Gdy ich obracać będą pługiem;
I dużo wody minie w Wiśle,
Nim o nich znowu ktoś gdzieś piśnie.

Bynajmniej tobie nie doradzam,
Ażebyś w komitywie chadzał
Z tymi, co są jak ślepe krety
W jaskrawym wieku, pełnym krzepy.
Chcieliby w swojej żyć parafii,
W ogródkach siedzieć malw i szałwii
I czasem w amarantach wojsko
Widzieć jadące drogą polską.
Chcieliby, żeby kołowrotki
Furczały w takt pra-polskiej zwrotki
I żeby u nas było sielsko
(Jak choćby nad Zatoką Perską).
Tak z tym sarmackim animuszem
Kraj zamieszkują mętnych wzruszeń
I jest to coś na kształt bagniska:
Traf tam, a coraz głębiej wciska.

A zresztą intuicją wsparty,
A także porcją zdrowej wzgardy,
Lepiej odnajdziesz dobrą drogę,
Niżeli tobie wskazać mogę.
A że stanowczo nie wypada
Rzucać kamieniem na sąsiada,

Kiedy artystów w tym pominę,
To słuszną będę miał przyczynę.
Chcąc służyć jednak ci wskazówką
Enigmatyczne powiem słówko:
Obojętności wstrętna skaza
Po stokroć w sztuce się pomnaża.
Jeżeli wiersz i proza więdną,
Nie szukaj przyczyn, a patrz w sedno.
Kto w smutnym znalazł smak cynizmie,
Ten się losowi nie wyśliźnie.
A z dobrą miną do złej gry
Na pewno nie chadzają lwy.

Zwróciłeś pewnie już uwagę:
Nacisk na sposób życia kładę.
Masę masz zrobić na tym polu,
Pomówmy więc o a l k o h o l u.

Pośród żarcików, anegdotek,
Szlachecki wspominając miodek,
Chyli się Polska w trudne czasy
Przed bóstwem wódki i kiełbasy.
I przed płaczami i po płaczach
Po prasłowiańsku się zatacza,
I z czkawką licząc swe ubóstwo
Racji do chluby widzi mnóstwo.

Zjawisko wódki jest ciekawe,
Warto poświęcić mu rozprawę,
Ze wszystkich trunków ona jedna
Dymom zagłady jest pokrewna.
W niej miast płonących widać migot,
Przez cienkie szkło skazańcy idą,
A kiedy w nocy domy syczą
I w oknach pożar jest źrenicą,
Nad litrem z osowiałą twarzą
Zasiedli bracia Karamazow.
Jak nad mrowiskiem w letnim cieple
Zapach mrówczego kwasu krzepnie,
Tak odór nad nieszczęsnym krajem
Z dala podróżnym sygnał daje:
„Cywilizacja krwi i łez
La civilisation des punaises".

I choć się tobie wyda dziwne,
Że na to zło (fakultatywne)
Marnuję cenne ciało wiersza —
Kwestia jest ważna, choć nie pierwsza.

Żegnaj mi. Z rąk do rąk podajmy
Skromnej mądrości dar zwyczajny.
Jak widzisz, nie mam ja recepty,
Do żadnej nie należę sekty,
A ocalenie tylko w tobie.
Jest to po prostu może zdrowie
Umysłu, serca równowaga,
Bo czasem prosty lek pomaga,
A lekarz, kiedy jest znużony
Odpowiadaniem na androny
I szarlataństwa mu dopieką —
Zaleca befsztyk, rosół, mleko.
Oto twój świat na ostrzu miecza:
Zrywa się wiatr, na trawie wznieca
Uschniętych liści małe wiry,
Gołębie się nad daszek wzbiły,
Zaszczekał pies, przebiegło dziecko,
Ktoś komuś daje znak chusteczką.
Oto twój świat. On jest na szali.
Politycy grę już przegrali,
Tryumfy ich tylko pozorne
Jak błyskawice są wieczorne,
Choć nikt z nich nigdy nie utraci
Ufności w moc indoktrynacji,
Która wyznawców da kohorty.
Społeczne jednak są retorty
Bardziej złożone, a pierwiastki
Jak nieodkryte płyną gwiazdy.
Nowy pierwiastek dodawany
Nieraz pracowni burzy ściany,
A to, co z góry teraz leci,
Na likwor sypie się stuleci
I wynik będzie całkiem różny,
Że w końcu dobry, tak załóżmy.
Jeżeli wzrok masz przenikliwy,
Obce dla innych widzisz dziwy,
Tak promień ultra-fioletowy
Obraz nam ukazuje nowy

I przez materii biegnąc skręty
Składniki obce i pigmenty
W zwykłych przedmiotach nam odsłania:
To godne zwykle jest badania.
Na dziś nie daję ci nadziei,
Nie czekaj darmo treuga Dei,
Bo z życia, które tobie dano,
Magiczną nie uciekniesz bramą.
Idźmy w pokoju, ludzie prości.
Przed nami jest
— „Jądro ciemności".

JERZY ZAGÓRSKI

TE, KTÓRE SIĘ TROSZCZĄ

I

Przestań się troszczyć Joanno, w lęku że zejdziesz ze wzgórza.
To wzgórze co usypałaś zwyczajnym jest płaskowyżem.
Przestrzeń te same tu gwiazdy co nad kotliną niże.
Cóż z tego, że trochę więcej ich tu się z mroku wynurza?

Cóż z tego, że kopce kamyków tak zabiegliwie piętrzysz?
Zbierałaś je chciwą dłonią, a na nich napisy misterne
Z myśli poznanych na świecie ponotowałaś, i perłę,
Turkus lub aleksandryt wprawiasz pod napis celniejszy.

A tym co po zboczach tańczą lub się gramolą okrakiem
Wąska granica broni do Twej uwagi przystępu
I patrzysz na tłum na dole z twej wysokości zbyt krępy,
Jakbyś nad spłaszczonymi co najmniej fruwała ptakiem!

Przestań się troszczyć Joanno, skazywać na potępienie!
Z bardzo wysoka Joanno, a także trochę z ukosa
Każda, jak ci mówiłem, może się wydać beznosa,
Nawet ta gwiazda nad tobą. Nie sztuka patrzeć na przedstawienie.

Twe uwielbienia Joanno wiszą na jednym włosku...
Układasz cegły na murek z hukiem jak w młynie lub maglu.
Rycerza czekasz co mur ten przesadzi na koniu nagle,
A staje się jak nić pajęcza budowla im większa troska.

Przyjadą, przejadą rycerze, zadzwonią ciężkie kopyta.
Wzgórze śladami przeorzą pod pachołkami konie.
Wtedy pod kołdrą kamieni przez siebie zebranych utonie
Joanna pod kamieniami o zdobnych napisach ukryta.

II

Przestań się troszczyć Julio o wszelkich rzeczy właściwość.
Więc także i czynów cudzych, podobnie zresztą jak swoich.
Nie najzręczniejszą sarnę toń cembrowana poi.
Uczyć się? Po cóż? Wiesz sama — poprawność to jeszcze nie jest szczęśliwość.

Jeżeli wiesz już, że reszty przy układaniu równań
Są, to dlaczego jak hutnik nie dmuchniesz jak w butle w te reszty?
Szkło nie skończone nie pęka. Leci jak balon. Lecz gdzież ty
Polecisz? Równa droga, równa, jedzie starostówna...

Julio, błagam cię, zapuść brodę, oczywiście brodę wewnętrzną,
Bo wiesz dobrze, że nie chciałbym zepsuć sobie widoku,
Gdyby to broda prawdziwa twarz damską jak broda proroków,
Lub bizantyjskich świętych zechciała nagle powiększyć!

Tu się zaczyna tragedia co jest nie do sprania plamą,
Contradictio in adiecto, jak powiada mój znajomy nosorożec.
Bez brody, moja gołąbko, za ciężki twórczy proporzec,
A z brodą, choćby wewnętrzną, przestajesz natomiast być damą.

Przestanie być damą także cię nie urządzi, bo przez to jeszcze nie zostaniesz
[twórcą.
Podobnie używanie spodni przez coraz większą ilość kobiet co najwyżej
[zawodowym logikom przysporzy kłopotu właśnie.
Próbowałaś różnych rozwiązań. Mimo pozorów angielskiego spokoju
Kryją się w tobie i niemieckie i rosyjskie i polskie przepaście.
W te przepaście na balu rzuciłaś twą batystową chustkę.

Cały ratunek i całe usprawiedliwienie twoje jest jeszcze w tym nosie.
Gdyby i on był przyczepiony prawidłowo, albo przynajmniej ładnie,
Nigdy byś nie miała okazji w ogóle rozmawiać z nami na równym poziomie.
Jak ja z tobą, gdybym nigdy nie miał czkawki, albo gdyby mi się nie przesuwał
[krawat.

Gdyby cień istnienia bez zarzutu wkradł się między nas, zaraz by się patrzyło
[z dołu, albo usiłowało wspiąć!
Co tu dużo gadać. I tak wiesz, że są w równaniach reszty nie do rozwiązania
Proste i pełne jak eksplozje słońc
Na piasku przestrzeni pod ciosami fal czasu.

III

Przestań się troszczyć Mario... Twoje wszystkie troski
Nie powstały z twojej ani mojej winy, ale stąd,
Że przed wiekami takie same imię jak ty wykołysał daleki ląd,
To znaczy imię Marii Magdaleny dał komuś kaprys Boski.

Owa Maria Magdalena nie miała wielkich przywar,
Jedynie siostra Marta zarzucała jej
Lenistwo i ducha słabego, gdy wśród kniej
Niewiedzy każdą innym słowem głos łaski przyzywał.

W dwa tysiące lat później powołano do życia
Istotę z natury raczej także leniwą, ale którą
Katastrofalnie silny duch zmuszał jeszcze jako dziecko do wybiegania nocami
[przeciw piorunom i wichurom,
A potem jako dorosłą do tego, żeby mając wszystkie zewnętrzne dane na Marię
[być jednocześnie Martą, Zuzanną, i wszystkimi kobietami z portretów,
Bo historia jest zawzięta i narasta na ludzkość jak słoje dębu.

Przestań więc troszczyć się Mario. Bruzda na twoim czole jest nie tyle dysonansem co tragicznym dopełnieniem nieporozumień tego świata i ich przerażającej racji.

Wybacz mi, że kiedy piszę o tobie, całkowicie wychodzę z reguł i porzuca mię umowny, konwencjonalny polski pseudo-heksametr, którym próbowałem osądzić twoje towarzyszki. Jeszcze jako tako mi sekundował przy rysowaniu trosk Joanny, gorzej z nim było przy troskach Julii, tu pękł całkowicie jak szpagat, gdyby chciano na nim podnieść świat.
Wybacz, ale przestań się tyle troszczyć. Dobre wino i dobre mięsiwo to są rzeczy dobre, ale twoja ręka, gdy odpocznie nieco, ma zdolność odejmowania cierpień, choćby to było założenie krtani powodujące ostry kaszel.
Tylko miła, trzeba mnie jeszcze rzadziej o zmierzchu pozostawiać sam na sam z moją wyobraźnią, choćby to było dla wszystkich skarbów Wiednia wystawionych w Petit Palais, aby zamknąć pysk paryżanom.

Przestań się troszczyć, tylko zupełnie nie mogę zdefiniować, o co masz przestać się troszczyć. W każdym razie nie o to, co ci kiedykolwiek zarzucałem, lub wymyśliłem sobie, aby ci zarzucać.
Cały wyszykowany plan zbiorowego oszczerstwa przeciw osobom płci żeńskiej spala na panewce. Oto spostrzegam, jak Kaliban, gdyby odczuwał cudze doznania, że bezpodstawne są moje przyczepki. To nie ty, a ja zaczynam się troszczyć o sprawy cudze i o to, co innym przypisać. Słowem i my, Ka-

libanowie, mamy też te same cechy i słabości, które usiłujemy przypisać kobietom. I choć nie trzeba nas o zmierzchu zostawiać sam na sam z wyobraźnią — ty jedna sprawiłaś nie tylko to, że tym płynem z bakterii, którym nauczyli mię pisać przemyślni inżynierowie, dane mi będzie jeszcze może opiewać nieśmiertelne człowieczeństwo kobiet w ogóle.

Odkąd z zażenowaniem domyślam się, że w lustrze mych źrenic odbija się zmarszczka troski na twym czole — odtąd także twoja przyjaciółka na wzgórzu nareszcie przybiera gesty zrozumiałe dla ludzi, a twoja przyjaciółka z nosem nieprawidłowo przylepionym zaczyna emanować rzeczywistą harmonię świata.

Tylko, żeby odbić się za wszystko, przypominam ci jeszcze po raz trzeci: O zmierzchu wyobraźnia pełza. O to się troszcz.

2 stycznia 1948, Paryż

JAN WIKTOR

POCHWAŁA MŁODZIEŻY POLSKIEJ

I

Przed moim wyjazdem na Dolny Śląsk w związku z akcją „Czytelnika" wpadła do mnie znajoma z dawnych lat, wdowa po przyjacielu, pisarzu, entuzjaście piękna, sama ongi też parająca się piórem, rozwichrzona, zbuntowana, a dzisiaj stateczna matrona, mentorka, moralizatorka, polonistka w jednym z gimnazjów centralnej Polski.

Opowiadała o młodzieży, o jej umysłowym poziomie pożałowania godnym, o stanie nauki, o zasklepianiu się w jakiejś skorupie, której nie można roztłuc ani przejrzeć. Rzuciła dla zobrazowania swych twierdzeń kilka pysznych zdarzeń ze szkoły, przytoczyła kilka ustępów z zadań uczniów 16 i 17-to letnich. Te urywki zapamiętałem, aby rozśmieszyć słuchaczy czy czytających.

...Krzyżacy zażądali od Litwinów pomocy matrymonialnej.

Kiedy była mowa o Mikołaju Reju, padło pytanie:

...Czy to ten, co udowodnił, że ziemia obraca się dookoła słońca?

...Bolesław Chrobry napisał „Krzyżaków".

...Śmierć Sokratesa: to był bardzo porządny człowiek i demokrata. Szły na niego donosy i anonimy. Nie podobał się różnym sędziom ateńskim, więc go skazali na śmierć. Sokrates po ogłoszeniu wyroku pięknie się im ukłonił, chociaż go diabli brali, bo chciał żyć, wrócił do celi, zrobił rachunek sumienia, wyspowiadał się, po czym przyjął Komunię świętą, wychylił do dna kielich bimbru i wyzionął ducha ze słowami, które wszyscy znamy: Tobie, o Panie, oddaję niewinną duszę moją. Nie pamiętaj tego moim wrogom.

Ryczeliśmy ubawieni.

— To chyba kawały? — zapytałem.

— Ach, żeby to były kawały. Jednakże to zadania pisane poważnie, z wysiłkiem ciała i ducha.

Oczywista ani słowem nie wspomniała, w jakich warunkach uczą się i żyją jej uczniowie, co przecierpieli, co przeżyli w ciągu lat okupacji, czym się zajmowali, jak spędzili swoje dzieciństwo, z jakiej gleby wyrastali, skąd czerpali soki. Zresztą nie pytałem o to. Wystarczyły mi świetnie opowiedziane kawały szkolne.

Wreszcie załamała ręce upodabniając się do Niobe, nieutulonej w płaczu i boleści.

— A stan moralny? Potworny. Zepsucie, o jakim starsze pokolenie nie ma pojęcia. Czegoś podobnego nigdy nie było.

— Nigdy? — pytam naiwnie.

— Tak. Nigdy — stwierdziła stanowczo. — Przecież chodziłam do gimnazjum, siedziałam z chłopcami na jednej ławce — w tym miejscu nieco się potknęła, jednakże zaraz nabrała werwy, i już płonąc oburzeniem objawiała swoje prawdy. — Znam życie ówczesne, porównuję z dzisiejszym, no, ale... Proszę sobie wyobrazić — w rozpędzie zamierzała opowiadanie urozmaicić dosadniejszymi przykładami, czerpanymi z nieprzebranej krynicy swych doświadczeń, a mającymi odmalować biblijny obraz grzechu, gdym mrugnął ku niej jednym oczkiem filuternie a przypominająco.

— No, pani też miała ongiś przeszłość bogatą w przygody. Można by ułożyć zajmujący poemacik godny pióra — zamierzałem wymienić nazwisko autora cieszącego się w całym mieście najgorszą opinią w pewnych kołach zgorszonych, a jednakże pochłaniających w skrytości, i to z lubością, ustępy sprośne i nieobyczajne. Trzepnęła mnie ręką.

— Nie wspominać, bo... Nieznośny z pana typ. Mężczyzna powinien... że też muszę karcić i przypominać zasady obowiązujące każdego... Jestem obecnie szanowaną, wyróżnianą wychowawczynią, najlepszą w okręgu siłą pedagogiczną, znawczynią literatury, powagą i ozdobą stanu nauczycielskiego — przesłała mi uśmieszek jako łapówkę za milczenie.

Więc przysiągłem, że jednym słowem nie zdradzę, chociaż dużo wiedziałem, i tylko mruknąłem przebaczająco.

— Kto wielce grzeszył i już więcej nie może, wbrew swej woli i chęci, ten potępia grzech najsurowiej. — A pomyślałem bezwiednie, czego nie śmiałem wypowiedzieć z obawy o całość mego czerepu, że ongiś powabne usteczka hojnie rozdawały uśmieszki, a teraz srogo oskarżają, bo już bezskutecznie szukają tamtych zagubionych uśmiechów i daremnie usiłują naśladować urok dziewczęcy sprzed zamierzchłych czasów.

— Cynik z pana.

— Nie tyle z urodzenia, co z doświadczenia.

— Pan kpi. Tu idzie o kwiat narodu. Nie ze śmiechem, ale z bólem patrzeć w jutro, które się przejawia w najczarniejszych kolorach.

— Spod błota dni wczorajszych, spod skrzepów krwi, wspomnień, przeżyć okupacyjnych trzeba wydzierać duszę młodzieży, która — mimo wszystko — chowa w sobie tęsknotę do wielkiej idei, do dobra i piękna.

— Poetyzuje pan.

— Młodzież zawsze była pulsem twórczego serca. Jakże tragiczny byłby stan społeczeństwa, gdyby ten puls przestał bić. Młodzież to ziarno oddane glebie, która ma karmić w przyszłości naród. Czymże będzie się żywił naród, jeżeli to ziarno będzie zmurszałe? Nie wolno nawet przypuszczać. Pamięć niedawnych czasów nosimy w oczach, w uszach, w każdym włóknie mózgu, w każ-

ej kropli krwi. Jesteśmy zatruci. Oceniać nas może tylko ten, kto wiele przeierpiał, kogo nieszczęścia biły z okrucieństwem nienawiści niemieckiej. Dlazego dla nas szukamy słów współczucia, usprawiedliwienia, a tak ochotnie otępiamy młodzież żyjącą obok nas? Przecież z naszych warg, ócz, dusz pałały łzy, odpryski zła, błota na wrażliwe dusze młodych. Należałoby po storoć więcej potępić wychowawców, rodziców, niż młodzież.

— Ręce opadają. Zwątpienie ogarnia. Byłam młoda. Ale nasze pokolenie było nne. Gimnazjum — to ideały, to bunt, „młodość owa rzeźbiarka, co wykuwa ywot cały" w płomieniach, wzloty orle, marzenie o wielkim, przecież „Oda" Mickiewicza to wyznanie wiary całych pokoleń.

— Tere fere — kuku! A zakończenie chyba pani zna — przerwałem wzniole deklamacje. — Różnie bywało. Jak zresztą wszędzie, tak i tam knajpka parnas, giełda i olimp najbliżej sąsiadują. Tak łatwo też można przeskakiwać e szczytów w gwiazdy, a z gwiazd w bagno. Gdzie orły krążą, tam też pallina zwykła gnić. Orlice i Orły — z udanym patosem wykrzyknąłem, przevracając ślepia jakby w poszukiwaniu zagubionych gwiazd. — Jakże często owe orlice zmieniały się z biegiem czasu w zwykłą wrzaskliwą kwokę, wysiałującą bogobojnie jaja w mniemaniu, że zbawia ludzkość, a uwielbiany orzeł okazywał się czupurnym kogutem, puszącym się ognistym upierzeniem, zadzieającym chełpliwie dziób, że jest zdobywcą świata, bo posiadł parę naiwnych potulnych kokoszek.

— Nie można być pobłażliwym. Trzeba wypalać wrzody póki czas.

— Bagno zaś przeszłości zasłaniać kwiatem? Pani widzi stan umysłowy moralny pożałowania godny, a nawet rozpaczliwy, słyszy pani odpowiedzi wych uczniów, ale czy zadała sobie pani trud i zapytała o ich przeżycia od 939 r., o wspomnienia z okupacji? Jestem pewien, że odpowiedzi byłyby ze vszech miar pouczające. Dzieci, dzisiejsi uczniowie gimnazjum, zamiast bajek krasnoludkach, o zaklętych królewnach, o rycerzach zdobywających kryształowe zamki, słyszały opowieści o obozach koncentracyjnych, widziały ciała vywlekane hakami i rzucane na sterty. Razem ze starszymi stawały na progach krematorium i patrzały na zwłoki ojców, braci, rzucane w ogień. Łuna z krematorium padała na oblicza spragnione słońca. Zamiast obrazków pogodnych, cieszących oczy, rozweselających myśl, czytały depesze kłamiące o przyczynach śmierci za drutami naelektryzowanymi, lub zbiorowe klepsydry przylepione na murach miasta. Jakże często znajdowały na nich nazwiska ojców czy braci. W dzieciństwie bawiliśmy się w klasy skacząc na jednej nodze po kreskach, uganialiśmy beztrosko w słońcu, śmiejąc się słońcem. A nasze dzieci w ciągu długich lat bawiły się w łapanki, w Oświęcim, w gestapo, w badania, w sąd, w skazywanie na śmierć, w rozstrzeliwania. I nieraz widziałeś ustawionych w szeregu chłopaków czekających na ogłoszenie wyroku, i nieraz widziałeś klęczących nad dołkiem, a towarzysz przykładał do tyłu głowy patyk, mający wyobrażać broń — zastrzeliłem cię. Boleść narodu i nienawiść wrogów przepoiła powietrze. Używając patetycznych słów można by powiedzieć, że dzisiejsza młodzież w swym dzieciństwie karmiła się krwią, wypływającą

ze wszystkich ran zadawanych Polsce, wyrastała w blaskach łun Warszawy i setek spalonych wsi, oddychała oddechem ojców cierpiących, a zarazem przeżartych nienawiścią, i w tych wspomnieniach dalej żyje.

— Patetyczne słowa, godne jeremiady.

— Patos, który prawdą się stał, słowa maczane w owych ranach. Patos bohaterstwa, patos męczeństwa, który stał się mową powszednią. Któż zagłuszy opowiadania o egzekucjach, kto zagłuszy echa salw jeszcze dzisiaj przeszywających wspomnieniami polskie serca? Czy są tak miłosierne ręce, które przewiążą rany i uśmierzą ból? Nieszczęsny los wyrzucił dzieci na ulicę. Handlowały, żebrały nieraz na progu knajp, aby swymi zarobkami uchronić rodzinę od głodowej śmierci. Zapewne wiele stoczyło się w rynsztok i gniło. Często dzieci bez nazwiska, opatrzone numerem, chowały się w więzieniu, w obozach. Ciężkie warunki, walka z okupantem, wstrząsające przeżycia w cieniu szubienicy, to rzeczy znane, ale przecież z tej gleby wyrasta życie dzisiejszego pokolenia. Młodzież wykoszlawiona, zepchnięta na bezdroża, zatruta, a może psychicznie chora miłością, nienawiścią, zemstą? Jeżeli ona wydarła się z piekła i uczy się, to nie cud, ale dowód niepożytej siły ducha polskiego. Jak wszędzie, jak zawsze trzeba przez przetak przesiać i oddzielić plewy, kąkol od pożywnego ziarna. Rozumny rolnik nie rzuca wymłóconego zboża w ogień czy w błoto.

— Lubimy zwalać winę na przeszłość, na czasy, na ojców, zamiast poznać prawdę i leczyć ją. A leczenie konieczne, i to natychmiastowe. Pan patrzy znad pisarskiego biurka przez zaróżowione okno na życie, na sprawy, widzi złudy, aby je opiewać pięknymi słowami. A nie chce widzieć, że te okna różowią się nie zorzą, ale łuną.

— Słońce lekarz jedyny, goi najboleśniejsze rany, daje życie najpiękniejszym kwiatom. Czyż więc mamy plwać na to słońce? Najjaśniejsze smugi rzucać na umęczone serca, wyrosłe z nieszczęść straszliwego czasu i karmione goryczą milionów!

— Nie poetyzujmy — upominała powaga nauczycielska — tylko trzeźwo patrzmy i trzeźwo oceniajmy ponure objawy współczesnego życia, aby nas nie spotkało rozczarowanie. Prawda niech będzie przewodniczką i kierowniczką — zapomniała tylko podnieść palec do góry, jak to zwykli czynić prorocy, ogłaszający swe prawdy z obrazków odpustowych przeznaczonych dla poczciwych kmiotków. — Objawienia romantyków, wieszczów...

— Objawienia wieszczów! Przy błyskawicach nie ugotuję jednego ziemniaka. Wołam nie o moralność proroków z nieba, ale o codzienne wypełnianie obowiązków ludzi kroczących za pługiem, dzierżących młot.

— Przyziemne wskazania.

— Wyjść z mroków czasów okupacyjnych, wyzwolić dusze spod nasypu wspomnień najokrutniejszego okresu i przystosować do życia, które się kształtuje w mozole i trudzie dni dzisiejszych. A trzeba mieć to na uwadze, że ogrom przeobrażeń i zmian nie może się pomieścić w duszy pokolenia, które przeżyło wielkość bólu i wielkość szczęścia, jakiego nie znały minione wieki.

Młodzież jest nieraz taka, jaką widzimy to okopconymi oczami, to napełnionymi bólem, to rozognionymi złością. Często też zrzucając winę z siebie oskarżamy młodzież, która jest przecież owocem spadłym z naszej jabłoni, darem danej epoki, nas.

— Zła młodzież.

— Jak to? Któż to wypruł tamtą dawną, legendarną, szlachetną duszę ojców, a wszył złą, plugawą? Nie! nie! Nie uwierzę w to nawet pod przymusem. Skoro wielkie zdarzenia i przeobrażenia zaskoczyły to pokolenie, musi się je przygotować, one wymagają pogłębienia duszy, wzbogacenia umysłu. I w tym kierunku idą wysiłki szkoły. Wielkością dobra żyć, aby dla dobra zdobywać. Wielkość człowieczeństwa nosić w sobie, aby budować wielkość odrodzonej ludzkości.

II

Muszę wyznać, że nie wiedziałem, co mam poruszyć w czasie poranków urządzanych przez „Czytelnika". Czy czytać ustępy dawniejsze, sprzed 1939 roku, czy mówić o wspomnieniach z wędrówek po kraju, po ziemiach słowiańskich, czy mówić o powstawaniu książki, czy o tym, jakie przygody i przeżycia towarzyszyły zbieraniu materiałów. Wątpliwości rozstrzygnął list inspektora kulturalnego:

„Najpierw wieczór sam staram się urządzić uroczyście, w formie akademii, gdyż uważam, że tego rodzaju forma podkreśla wartość nie tylko autora, ale i samego zagadnienia. Treść prelekcji wieczoru jest różnorodna, zależnie od wyboru materiału.

„Bardzo dodatnie wrażenie pozostawiają po sobie wieczory, w czasie których autor opowiada coś z własnych przeżyć, porusza zagadnienia powstawania swoich dzieł i w opowiadania te wplata takie czy inne własne przeżycia. Połączenie dwóch pierwiastków: problemu psychologicznego z problemem przeżycia stwarza miłą, frapującą całość i wzbudza zainteresowanie słuchaczy.

„Jest również i drugi sposób, a mianowicie odczytywanie pewnych wyjątków ze swego dzieła, z objaśnieniami, których udziela sam autor. Stosowanie tej formy w pewnych wypadkach jest nieodpowiednie, chociażby ze względu na to, że wieczory autorskie gromadzą audytorium intelektualnie różne, i dlatego też taki sposób prowadzenia wieczoru jest dla niektórych słuchaczy niezrozumiały. W zamkniętych zespołach jednolitych, np. w liceach, gimnazjach, sposób drugi jest bardziej dogodny, jednak w obu wypadkach raczej metoda pierwsza jest niezawodna".

Wobec tego chwytam „metodę niezawodną" i walę odczyt wedle wyżej wymienionych wskazań. Niechaj choć raz zwycięży, „stwarzając miłą, frapującą całość". Pełen radości odczytywałem dalszy ustęp, który brzmiał jak strofa hymnu: „Ponieważ nasze miasto ma wiele szkół i uczącej się młodzieży, więc nosimy się z zamiarem urządzenia wieczorów autorskich zamkniętych, właśnie dla uczących się. Są to — zdaniem moim — najbardziej wdzięczni

słuchacze o cudnych, miłych twarzyczkach polskiej młodzieży, którzy proszą o autografy z takim wdziękiem i swobodą, jakiej nie spotykałem u młodzieży innej narodowości". Jakże nie ulec takim pokusom. Wola — nawet stalowa — staje się w takich wypadkach bryłą stearyny pod płomykiem zapałki. A więc w drogę.

Maszerowałem na dworzec z łbem tak zadartym, że mógłbym zwalić strop nieba, które jednakże z obawy o swoją całość zabrało manatki, jak: gwiazdy, chmurki, księżyc, i pofrunęło wyżej, w bezpieczne miejsce. Spotkanym termometrom, skurczonym z zimna, gwizdałem urągliwie. Ba, jechać będę ogrzanym wagonem sypialnym.

Takie były nadzieje. Rzeczywistość? Należy przypuszczać, że wagon był przeznaczony do przewożenia zamrożonego powietrza z okolic polarnych. Jeżeli tak, to trzeba przyznać, że transport doszedł do ostatniej stacji w idealnym stanie, a czynniki kolejowe zdały egzamin *summa cum laude*. Bardzo gorąco, w każde słówko wcielałem żar wykradziony czeluściom piekielnym, życzyłem, aby ob. minister kolei razem z odpowiedzialnymi czynnikami Dyrekcji krakowskiej odbyli rozrywkową podróż z Jozafata doliny w wieczność w wagonie wyżej opisanym, a za grzejnik służyły im ich własne rozporządzenia. Taka podróż byłaby wielce pouczająca, a tym by się różniła od naszej, że otrzymaliby bilety bezpłatne.

Tkwiłem pognębiony na stołeczku przyczepionym do ściany na korytarzu i rozgrzewałem się wzniosłymi myślami, nakazami, którymi powinny się karmić i odziewać dusze i ciała pełne porywów i uniesień. Przez szybę patrzyłem na prześcieradło i koc, też trzęsące się z zimna na twardym wyrku. Współtowarzyszem moim był mężczyzna w futrze, dygotający rytmem uzgodnionym ze mną. Czasem tylko chciał się uśmiechnąć, kiedy mówił o porządkach, o tym, że gdyby tak kto inny, to by etc... etc... etc... hoho! Jednakże z radością trzeba wszystko przyjmować, bo w przeciwnym razie, no... etc... Okazało się, że ten przebaczający, pobłażliwy osobnik, to pedagog. Skracaliśmy sobie podróż pogwarką o młodzieży. Poznał ją w czasie długich lat swej pracy, wspominając jaśniał wewnętrznym światłem, chociaż cały się trząsł. Zbierałem jego słowa piórem, bacząc, aby nie pobrudzić atramentem zlodowaciałych grudek słońca.

— Jestem zachwycony młodzieżą na zachodnich ziemiach. Jest to mieszanina, rzucona losem z najdalszych stron świata — z Azji, z Afryki, tam były nawet gimnazja krawieckie — z Anglii, Francji, Syberii. To jakby najdorodniejsze zboże rzucone w tę odwiecznie polską glebę. Trzeba mądrych wychowawców, aby dojrzał plon mający żywić naród. Ileż wspaniałych typów można spotkać. Zdaje mi się, że z tego pokolenia opadły więzy, nałożone przez wieki, wychowanie, uprzedzenia kastowe i wyzwoliły siły twórcze, że pękły skorupy i odkryły zapomniane źródła, z których będziemy czerpać ożywczą krew na pożytek przyszłości. Młodzież tutaj żywa, gorąca, ruchliwa, chętna, chłonna, karna, bardzo uspołeczniona. Młodzież z centralnej Polski, która mniej cierpiała, jest cięższa, zimniejsza, trudniejsza do rozgrza-

ia. Spotykam przejawy życia niezwykłe. Samorząd wpływa niezmiernie po-
ytecznie i wychowuje typ nowego, pełnowartościowego obywatela. Znać, że
ragną jak najprędzej nauczyć się nie z myślą o sobie, ale dla pożytku ogółu,
tać się godnym narzędziem społeczeństwa. Dzisiejsza młodzież to inny świat.
Słuchając tych sądów zastanawiałem się, czy zdołam przerzucić pomost do
młodzieży, czy przemówię do niej. Czy ta młodzież otworzy swe dusze, do-
ychczas dla mnie zamknięte i tajemnicze. Chcemy wiedzieć, dla kogo piszemy,
le nie udaje nam się spotkać czytelnika, który by wypowiedział swoje wzru-
zenia i wrażenia. Czy spotkam takiego czytelnika? Daleka droga. Ginie gdzieś
v nieprzejrzanej mgle. Z drugiej strony nie dajemy tego, czego ta młodzież
ragnie, czego szuka i żąda. Chciałbym zdobyć zaufanie, chciałbym usłyszeć
łowa — jesteś naszym przyjacielem, który nie chce moralizować, ale zwierza
ię ze swoich przeżyć, doświadczeń, wzrusza i pobudza do myślenia, który
siłuje zjednoczyć człowieka z człowiekiem w walce o dobro na tym świecie,
tóry głosi przebudowę dusz z szacunku dla drugich, w ukochaniu wolności,
ędącej najpiękniejszą zdobyczą ludzkości.

Docierając do kresu opisanej nocy zdrzemnąłem się i usłyszałem głos, jakby
o anieli, pożyczeni na tę chwilę spod Betlejemskiej stajenki, zbiegali z prze-
narzniętego nieba z radosną nowiną:

— Pokój zamówiony w pierwszorzędnym hotelu, ogrzany i komfortowy.

Świetnie. Ładunek optymizmu rozsadził skorupy, w które się zakułem wła-
noręcznie, przy pomocy władz kolejowych. Zapomniałem nawet o pouczają-
ym przysłowiu, mogącym zagasić strumienie wody z wiadra św. Floriana,
atrona pożarów, a to, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Aż nazbyt
rędko życie przetłumaczyło je po swojemu. Stanąłem przed władcą dzierżą-
ym klucze od raju, wobec którego Jupiter dzisiaj byłby pachołkiem, pomio-
łem, niczym.

— Proszę o pokój.

— Niestety, nie ma żadnego.

— Przecież został zamówiony — zlodowaciałe wargi usiłowały zionąć pio-
unami.

— Tak, istotnie, zgadza się. Jednakże poseł...

— Jakim prawem?

— Prawem...?

— Żeby WilhelmII, to by... — stęknąłem, jakbym zmarzniętymi rękami
rzybijał ostatni gwóźdź do własnej trumny.

— Może tak ongiś... kiedyś... No, ale na szczęście nie żyjemy w czasach bło-
gosławionej pamięci Wilhelma II, na którego autorytet tak skwapliwie pan
owołuje się, a któremu nie wolno było zająć pokoju zamówionego przez zwy-
kłego śmiertelnika — wyrzekł nieodwołalnie, ogłaszając niewzruszoną wolę,
spojrzał na mnie, jak na pył zaśmiecający posadzkę marmurową, która świe-
iła dawną chwałą.

Może w tej chwili, godzina 5 rano, w styczniu, ktoś obudził się i zobaczył
urzę nad ruinami tego miasta, to niech wie, że to było zaledwie lekkie tchnie-

nie orkanów szalejących w moich piersiach. Gdyby jeden najłagodniejszy powiew musnął owego posła rozwalającego się w moim łóżku, to wierzajcie mi, mógłby go uśmiercić ku radości jednego z zakładów pogrzebowych i może byłby w stanie na zawsze zagłuszyć chrapanie, jakim ogłaszał zwycięstwo nad sterczącym w hallu hotelowym, podobnym do bryły lodu biedakiem. Bryła nabrała jeszcze tyle sił, że ostatkiem ich wyrzekła:

— Wracam do domu.

Jednakże nie wróciłem, wzięty w niewolę. Bryła lodu, jaką przywieźli w zamrożonym wagonie z Krakowa, stopniała od spojrzeń i uśmiechów młodzieży, co zaznaczam skwapliwie zaraz na początku mojego smętnego reportażu.

III

Odczyty odbywały się w aulach, skromnie, a przecież ładnie ustrojonych. Często można poznać oblicze duchowe danej szkoły i kierunek wychowania po auli, jak to miało miejsce w gimnazjum Żeromskiego w Jeleniej Górze, przemawiającej wzniosłymi nakazami wieszczów, wodzów narodu, wychowawców genialnych umysłów; tutaj słowo to wnika w młode serca i staje się jego pulsem. Oblicze duchowe szkoły i kierunek wychowania można też poznać po uścisku ręki dyrektora i nauczycieli, który tak wiele wyraża, a który zawiera tę samą treść, co uśmiechy i spojrzenia młodzieży Gimnazjum III we Wrocławiu.

Przed chwilą wpadały gromady z tupotem, wrzawą, a wkrótce milkły. Czymże można wyrazić radość, gdy się widzi rozjaśnione źrenice pochłaniające słowa, gdy się widzi setki pogrążone w takiej ciszy, że słyszysz bicie własnego serca. Spędziłem wiele godzin na serdecznych pogwarkach z młodzieżą i muszę wyznać, że wyniosłem niezapomniane wrażenia. A dla autora cóż może być piękniejszą nagrodą nad nawiązanie kontaktu z młodymi słuchaczami.

Poloniści wcześniej przygotowują młodzież, omawiają twórczość danego autora. W zagajeniu czy w powitalnym przemówieniu ktoś z grona nauczycielskiego podkreśla, jakie znaczenie ma taki poranek z udziałem autora. To wydarzenie wielkiej wagi dla młodzieży, wyczekującej z emocją, a nawet z utęsknieniem. Autor dotychczas był obcy, daleki. Młodzież pragnie go zobaczyć, porozmawiać z nim. Zrazu ciekawość, jak wygląda ten pan, co pisze książki, później, przez bezpośrednie zetknięcie, ta ciekawość zmienia się w sympatię, wywiązuje się stosunek uczuciowy tak do pisarza, jak i do jego dzieł. Teraz, przy czytaniu, obcuje z autorem nie jako z kimś obcym, ale jakby znajomym, bliskim, a nawet przyjacielem.

Następnie poloniści charakteryzują epokę, w jakiej wyrasta dany pisarz, i na tym tle umieszczają jego dzieła, omawiają ich znaczenie. I wtedy sam autor wiele może się dowiedzieć i wiele nauczyć. Niejednokrotnie wzruszają te przemówienia, zawierające piękne i głębokie myśli, mądrość doświadczeń, a podyktowane troską o los narodu i miłością do młodzieży.

W czasie rozmowy z młodzieżą rzuciłem szereg pytań:

1) Czy istotnie stan młodzieży jest tak przerażający, i co na to mogło wpłynąć? 2) Czy współczesna literatura odpowiada młodzieży i życiu społeczeństwa? 3) Jaką powieść napisałaby młodzież? 4) Jaki bohater może być wzorem? 5) Jakie tematy powinno się poruszyć w dzisiejszej rzeczywistości? 6) Jakie zadania pisarz ma do spełnienia?

Odpowiedzi, uformowane nieraz doskonale, wypowiedziane z mocą i zapałem, mogły budzić podziw, a były dowodem wyrobienia społecznego i pewnego rodzaju dojrzałości. Ich różnorodność dawała obraz nastrojów, dążeń, pragnień i porywów młodego pokolenia.

Pragnąłem choć ułamkowo zebrać je. Jednakże rzucone na papier będą suche, zimne, martwe, bo brak im ognia, z jakim zostały wypowiedziane, brak wyrazu oczu gorejących entuzjazmem.

Przyznawali, że po wojnie dużo narobiło się zła. Młodzież demoralizowała się przez ciężkie warunki, przez brak opieki i autorytetu moralnego, jakim dawniej była opinia i ręka ojcowska. Młodzież zna swoje błędy, nie chce się bronić przed oskarżeniem, a tylko woła; chcąc ją potępić, trzeba wpierw wczuć się w jej dolę, poznać warunki, w jakich rosła. Wtedy wyjawi się prawda, która powinna wstrząsnąć sumieniami.

Dziewczęta i chłopcy wypowiadali swoje zdania, uczniowie i uczennice gimnazjum i liceum w wieku od 14—19 lat.

...stan, w jakim znajduje się młodzież, zależy nie tylko od przeżyć jej samej, ale też rodziny, kraju, narodu. Razem ze starszymi przeżywaliśmy gehennę. Młodzież to jakby delikatny kwiat, który został brutalnie wstrząśnięty i nadal nie może wrócić do równowagi. Wróci — jednakże wymaga troskliwej opieki, mądrego a miłującego ją ogrodnika, który by nie łamał rąk nad spustoszeniem, nie przeklinał, ale pielęgnował. Wśród nas są sieroty, których rodzice zginęli w obozach czy w powstaniu, czy nawet żywcem zostali spaleni, są uczennice z obozów, są chłopcy, którzy lata spędzili z bronią w partyzantce. Ojciec jednego umarł na rękach syna, ranny w bitwie. Mimo najcięższych warunków w czasie okupacji młodzież uczyła się z zapałem, niemal w cieniu szubienicy, boć ta nauka groziła śmiercią w razie wsypy. Ukrywanie książek, zeszytów, wykradanie się na komplety — to cała epopeja.

...dobrze by było, żeby powstała książka nie tylko dla młodzieży, ale też o młodzieży dla przyszłych pokoleń, która by opisała czasy, stosunki, która by ukazała całą okrutną prawdę lat okupacji i wytłumaczyła, dlaczego młodzież jest taka, a nie inna. Jest ona wynikiem wydarzeń minionych. Nieraz zadaję sobie pytanie, czy jest gorsza. Nie można uogólniać. Ileż można było spotkać pięknych typów, poświęcających się dla rodziny, dla narodu, ileż można było spotkać niezłomnych mimo młodego wieku charakterów. I dzisiaj ileż można spotkać rzetelnych uczniów, iluż entuzjastów, którzy nieraz o głodzie, w najtrudniejszych warunkach poważnie przygotowują się do życia, gromadzą wiedzę, aby stać się pożytecznymi pracownikami. Z wojennej gleby użyźnionej łzami, krwią, złością, nienawiścią wyrasta dzisiejsza młodzież. Nie jej wina, że zatruta wszystkim, co naród przeżył.

...jest pewna część młodzieży zepsutej, w większości jednak jest zdrowa i taka, jaka zawsze była. Bóg, to wizerunek najdoskonalszej istoty, dlatego staram się iść śladami ewangelii, aby się doskonalić i być jednym z synów bożych, godnym ich imienia.

...dość z cudami. Jeden tylko cud — cud miłości Ojczyzny w boju, w pracy, wola narodu, utrzymanie wolności, obrona jej i budowanie szczęśliwego jutra.

...młodzież dzisiejsza jest lepsza niż przedwojenna. Rwie się do nauki i niejednokrotnie zdobywa ją przemocą. Przed wojną była zmanierowana i rozpieszczona. Za dobrze jej było. Mamusia zapraszała synusia i córusię do nauki a ci z łaski raczyli się uczyć. W czasie okupacji brak nauki wzbudził chęć jej posiadania. Książka stawała się świętością, którą należało kryć. Nauczanie było podobne do zebrań pierwszych chrześcijan w katakumbach i nastrój był im podobny, niemal religijny. Dzisiejsza młodzież jest przekonana, że tylko nauka można zdobyć życie.

...wielu z nas uczyło się ukradkiem, bez książek, o głodzie. A byli i tacy którzy w ogóle nie mogli się uczyć i patrzyli się z zazdrością na tych, którzy się uczyli. (W Wilnie za rządów litewskich dzieci pracowały na rodziców, z bezwzględnością tępiono wówczas każde polskie słowo. Gdy znaleziono książkę karano tak nauczycieli, jak i uczniów. Tajne nauczanie było zbrodnią). Jesteśmy wolni i mamy szkoły stojące otworem przed każdym. Jednakże nie możemy się całkowicie umiłowanej nauce oddać. Wielu z nas uczy się w dzień a wieczorami lub nocami musi zarabiać na życie nie tylko dla siebie, ale też dla rodzeństwa, czy w fabryce, czy w hotelach, a nawet jako dyżurni w elektrowni. Młodzież żadnym zajęciem nie gardzi, bo ono jest środkiem do zdobycia wiedzy. Znam wypadek taki: uczeń ma lat 19, uczęszcza do gimnazjum, jest szatnym hotelowym, mimo to uczy się wzorowo, czyniąc świetniejsze postępy niż ci, którzy żyją w dobrobycie.

...spotkać można pożałowania godne przejawy egoizmu i uprzedzeń dzielnicowych, które należy tępić z całą bezwzględnością; lubliniacy nazywają pogardliwie kolegów ze Lwowa — ukraińcami, a ślązaków — niemcami, germanami. Zelżona uczennica rozpłakała się: — Ze spokojem znosiliśmy prześladowania od Niemców, bośmy wiedzieli, że to nasi nieprzejednani wrogowie ale najbardziej boli, gdy dręczą nas rodacy. Mój stryj zginął w śląskim powstaniu, walcząc za Polskę, mój ojciec razem z najbardziej ofiarnymi działaczami został zamknięty do koncentraku, a wy śmiecie mnie lżyć, że nie jestem Polką... — Jej gniew i płacz wiele nas nauczył. Powiedzieliśmy sobie: powinniśmy budzić ducha polskiego szlachetnym postępowaniem, powinniśmy wiązać braci nieszczęśliwych z Polską nie obelgami, ale miłością.

...wrócił kolega z Niemiec, gdzie został wysłany na roboty. Był zaniedbany. To samo było z chłopcami, którzy brali udział w partyzantce. Przez szereg lat nie widzieli książki. Rzuciłem myśl, aby im pomóc. Wyśmiali mnie — oto moralista, pastor. Niech sobie weźmie belfra do pomocy. — Zawstydzeni przeze mnie zmienili się bardzo i gorąco zaczęli pracę. — Najskuteczniejszą bronią

jest słowo wypowiedziane z przekonaniem, a trafiające do serca i sumienia. Groźba zawsze napotyka na opór.

...chociaż jestem młody, to jednak dużo przeżyłem. Za Niemców pracowałem ciężko z ojcem jako murarz, toteż mam czucie dla innych. Są tacy, którzy nie zaznali, co to głód, co to zimno, co to bose nogi, nie spali pod gołym niebem, nie uciekali przed kulami, nie poniewierali się po lasach. Jakże taki może być prawdziwym człowiekiem? Niechaj nie będzie idealistą, bo to jest niepopularne w wielu wypadkach, ale niech spełni to, co do człowieka należy, niech zrozumie, że miłość jest najpiękniejszą mową ludzką. Kto wiele przecierpiał, jest koleżeński, ochotny do pomocy drugiemu. Przeżycia uszlachetniają. Najważniejszym zagadnieniem dzisiaj jest wychowanie człowieka. Gimnazjum urabia duszę wedle wzoru wielkich budzicieli, reformatorów, zdobywców myśli, w gimnazjum powinno nastąpić zespolenie wszystkich w miłości Ojczyzny i służbie dla niej. Zawsze były i są niesnaski, tarcia, ale każdy w końcu musi zrozumieć, że nie można i nie wolno iść w życie z nożem przeciw człowiekowi. Moc leży w zbrataniu, w zgodzie, przyjaźni, w zespoleniu sił i serc.

— Panuje pijaństwo wśród młodzieży? — pytam.

— Nie! nie! — zaprzeczono mi porywczo. — Palą. Byli w obozach, na robotach w Reichu, na Syberii, w partyzantce, więc nie można się dziwić i nie można brać im tego za złe.

...chodziłem do szkoły w Dziedzicach, miasteczku przyłączonym do Reichu. Przeżywałem moralne katusze, gdy patrzyłem na zatruwanie dziecięcych dusz, na germanizowanie.

— Czynili to terrorem?

...zależnie od jednostki. Łamali strachem, gięli łagodnością, przemawiali słodko po polsku, odurzali lub deptali. Przedstawiali potęgę Niemiec, którym musi podlegać cały świat, przytaczali mity, legendy, fałszowali historię, aby mówić, że są narodem wybranym, narodem panów. Wiele dziewcząt ulegało urokowi niemczyzny. Nie można było prostować kłamstw, bo w jaki sposób? Groziło to uwięzieniem. Oszukani pędzili na oślep w przepaść. I to było najbardziej bolesne, gdyśmy patrzyli na zamieranie polskości w młodych duszach.

...młodzież wszędzie dużo przecierpiała w walce o polskość. Mało się mówi o młodzieży za granicą, która nie chciała się wyrzec polskości. Dla niej mowa polska była relikwią. Uczyła się języka polskiego nie jako zwyczajnego przedmiotu, ale jako czegoś świętego, co można porównać do modlitwy. Ojczyzna stawała się Bogiem.

...przeżywaliśmy w ciągu sześciu lat tyle, co nasi ojcowie przeżywali w ciągu 200 lat — uczeń przybyły z Rumunii utyka nieraz, nie może znaleźć słowa zagubionego w pamięci, wreszcie odrywa je jakby ułamek kamienia od skały rumuńskiej. Mimo to mowa jego bucha uniesieniem, podobna raczej do przysięgi. — Młodzież nasza żyła z jedną ręką na karabinie, a drugą na książce. Przenosiliśmy przez Czeremosz broń partyzantom działającym na tyłach niemieckich. Niektórzy padli od kul, wiele cierpieliśmy dla Ojczyzny, której nie znaliśmy, przelewaliśmy za nią krew, nie wiedząc, czy kiedyś ją zoba-

czymy, i widzieliśmy ją tylko taką, jaką przed laty widzieli nasi ojcowie. Te cierpienia zmieniły się w radość, że przybyliśmy do Polski i możemy dla niej pracować i żyć jej miłością. Może ktoś napisze o tej młodzieży, o jej przeżyciach od r. 1939 do dni dzisiejszych. O jej tęsknotach i pragnieniach. W drugiej części niech autor przedstawi, czym jest dobro Ojczyzny, wolności, co należy czynić, aby walczyć o pokój i utrwalać go, żeby można w spokoju pracować.

W III gimnazjum we Wrocławiu byliśmy pod głębokim wrażeniem przypadkowego przeżycia. Profesor Szymonowicz zachęcał słuchaczy do wypowiedzi. Z uśmiechem wskazał na dziewczynę.

— W jaki sposób dostałaś się do obozu?

— W taki sam, jak tysiące współtowarzyszy i współtowarzyszek. Po powstaniu warszawskim z mamusią i bratem. W Oświęcimiu przebyłam 4 miesiące na bloku, gdzie były prowadzone badania doświadczalne. Miałam 14 lat. Codziennie patrzyłam na obrazy zostawiające niezapomniane i nigdy niezagojone skazy na duszy. Niejednokrotnie teraz jeszcze wspomnienia powracają w koszmarnych snach. Zrywam się z krzykiem, pragnę czegoś bronić. A czuję, że ręce mam pokrwawione... Później znalazłam się w Ravensbrück. Praca w fabryce amunicji. Robiłam granaty na nocną zmianę. Ta ciągła udręka, że muszę służyć wrogowi. Ileż mściwych spojrzeń, ileż przekleństw włożyłam w każdą sekundę, w każdą czynność moją... Jednego dnia przychodzę do maszyny. Nie działa. Staram się poruszyć. Daremnie. Patrzę. Tkwi urwany palec. To był straszliwy sabotaż... Czyż można zapomnieć? A po powrocie?... Ojciec znalazł sobie przyjaciółkę i zaparł się rodziny... Ojca nie znamy. Muszę pracować na chleb i uczyć się.

...w czasie powstania patrzyłam na obrazy bohaterstwa.

— Siedziałam przez cały czas w piwnicy i cóż mogłam widzieć — dorzuca porywczo sąsiadka. Błoto, robactwo, ohyda ludzi zamkniętych, jak w więzieniu, wzajemnie się nienawidzących, którzy nagle pozbyli się wszelkich zasad moralności, zapomnieli o przykazaniach, które codziennie odmawiali. I takie mam wspomnienia.

— Mnie pozostały inne. Leciał 8—10-letni chłopak z butelką. Dokąd pędzisz? — Pod czołg rzucę. — Często się sam rzucał z okrzykiem: Niech żyje wolna Polska. — Wywieźli nas do obozu. Przed naszymi oczami przeprowadzali, jakby na urągowisko, więźniów przebranych za błaznów. Kazali biegać, kłaniać się, fikać koziołki, wyprawiać różne sztuczki... To był upiorny cyrk. Wynędzniali skazańcy chwiali się bez sił, padali na ziemię. Wielu już nie podniosło się. Niemcy ubawieni śmiali się. Myśmy zaciskali pięści. Dlaczego spojrzeń nie mogliśmy zmienić w kule? Raz usłyszałam wołanie, które wstrząsnęło mną. — Matko! — Nie wiem, kto wzywał, a zdawało mi się, że to głos znajomy... Tatuś nie wrócił. Pewnie zginął. Może to on wołał wtedy? Wciąż słyszę, wciąż dręczy mnie pytanie, rozlegające się przez wszystkie dni mojego życia — może to wtedy tatuś umierał pod ciosami zbirów niemieckich?

— Basiu, zbliż się — profesor Szymonowicz wezwał nową uczennicę. — To

moja koleżanka z Mauthausen — ogarnął ją ramieniem po ojcowsku. — Wspólny los nas związał. Prawda? Powiedz coś o sobie.

— No cóż? Zwyczajne koleje. Każda z nas to samo. Miałam 14 lat, gdy nas wywieźli. Mieszkaliśmy w namiotach, w zimie, na gołej ziemi. Strasznie nam było. Jedliśmy gotowaną trawę. W pierwszych dniach przebywaliśmy w Mauthausen.

— Widziałaś więźniów dźwigających kamienie?

— Codziennie patrzyłam. O tak, codziennie. Pochód męczenników. Zdawało mi się, że to szkielety ostatkiem sił wygrzebały się z grobu. Zgarbieni pod ciężarem kamieni. Dlaczego świat nie chce zobaczyć tego pochodu szkieletów dźwigających głazy? W oczach noszę ten obraz. Słyszałam świst bata chłostającego z zaciekłością i z nienawiścią. Ten świst ciął więźnia i moją duszę — i wtedy zawołałam: — Chyba nie ma Boga...

— Tak, tak, — wyszeptał profesor Szymonowicz, jakby głos wynikał z głębi skały tłuczonej młotem — schodziliśmy w dół po 186 stopniach. Tam i z powrotem. Bez odpoczynku. Wciąż czuję twardość tych kamiennych stopni pod stopami, wciąż czuję ciężar w całym ciele. Już nie mogę się wyprostować. Wciąż noszę tamte kamienie, ich widma 25—40-kilowe. Naładować na nosidła, wziąć na plecy, piąć się pod górę. Musiałeś stawiać kroki mocno, twardo. Nie upaść. Nie zachwiać się, bo wtedy... Schodzić 10 razy dziennie... Wzdłuż schodów stali SS-mani i podcinali batem nogi, chłostali w twarz, strzelali do potykających się, osłabłych. Czasem któryś dla żartów strzelił, czasem ze śmiechem kopnął i strącał. Skazaniec obijając się o progi zlatywał na dno przepaści. Niesiony kamień go zabijał albo padał obok. Więzień czasem się szamotał, zdawało się, że pełza, usiłuje ująć tę nieszczęsną bryłę i dźwignąć na barki... Nikt nie pospieszył z pomocą. Słyszeliśmy daleki jęk, jakby to skała w ludzkich męczarniach umierała. Człowiek ginął z połamanymi rękami, nogami, z przetrąconym krzyżem. Widzieliśmy drgający, a później martwiejący strzęp ludzki, odróżniający się od kamieni tylko barwą pasiaka.

— Widziałam wynoszone zwłoki, przypominałam sobie zdjęcie z krzyża... — mówiła dziewczyna. — Nie wolno nam było zbliżyć się do płotu odgradzającego od obozu. W pierwszych dniach po przyjeździe z Warszawy mieliśmy trochę przywiezionej żywności. Nie mogliśmy jeść... Przez druty kolczaste rzucaliśmy chleb ukradkiem, bo wiedzieliśmy, co nas czeka za taką zbrodnię — padnij, wstań, biegiem, *nieder-auf, laufschritt,* kije, kopnięcia. A mimo gróźb nie mogliśmy się pohamować...

— Ja tam byłem. Tak. Ja tam byłem. Chwyciłem kromkę chleba. Dzisiaj dopiero dowiaduję się, że to od mojej uczennicy. Czyż mogłem kiedykolwiek przypuszczać, że cię spotkam, koleżanko w nieszczęściu, uczennico w szczęściu?... — uśmiech spłynął na wargi. A wyraz tego uśmiechu mógłby wysłowić jeno promień słońca, który się przedarł z trudem przez ciężkie zwały chmur. — Ja byłem między nimi. Ja ten chleb jadłem. Pokruszyliśmy święty chleb z Ojczyzny — zadrżały palce. Usiłowały coś ująć...

IV

Zbierałem odpowiedzi w różnych szkołach. Pragnąłbym każde słowo utrwalić choćby na papierze, aby przekazać uczniom innych szkół, kołom czytelników, czy też miarodajnym czynnikom wsłuchującym się w rytm zdarzeń, w żywy puls teraźniejszości. A tak wiele słów usuwa się spod pióra. Chciałbym zachować ich barwę, ich żar. Niestety, zmieniają się tylko w krople atramentu.

...powieść — uczennica I klasy liceum humanistycznego wymienia tytuł — dlatego mi się podoba, jest mi bliska, bo w niej autor zawarł pragnienia nurtujące każdego współczesnego czytelnika, to dążenie do czegoś wyższego, wznioślejszego. Jest w niej uparta walka o postęp, o rozwój myśli ludzkiej. W naturze młodzieży tkwi tęsknota do buntu, do walki o ideały. Bohatera tej powieści porywają skrzydła, kusi przestrzeń, i dlatego — mimo gróźb, klątw — niezmordowanie pracuje dla dobra człowieka. Dzisiaj potrzebna taka powieść, która by odrywała od nizin codziennego życia i unosiła w wyżyny.

...słyszymy na każdym kroku, w domu, na ulicy: młodzież jest zdemoralizowana, zdeprawowana, niemal zgniła. Czyż na zgniliźnie można budować coś trwałego? A przecież młodzież jest przyszłością? Trzeba przyznać, że wojna istotnie wywarła pewien niszczycielski wpływ na młodzież. Czy tylko na młodzież? Niech nowa książka wykuwa nam drogę, niech wskaże cele, ku którym mamy iść. Niech opisze duszę tego nieszczęśliwego pokolenia, które żyło w niezwykłych okolicznościach i jest pokrwawione i zbłocone, ale które pragnie to błoto obmyć w czystym zdroju. Pragniemy walczyć z wadami. Ale niech ta książka też mówi, że wolność, szczęście, spokój, sprawiedliwość i praca radosna, twórcza dla człowieka, są celem każdego z nas. Ukształtować w sobie duszę na miarę obywatela ludzkości. Walczyć o godność człowieka. Niech autor ukazuje zwycięstwo prawdy, radość wynikającą z wysiłku dla dobra przyszłości. Niech jego słowa nie będą daremnym krzykiem, ale ucieleśnionym rozkazem do czynu. Niech ta książka będzie przewodnikiem, nauczycielem, wychowawcą. Sądzę, że należałoby napisać dwie książki, jedną obrazującą przeżycia wojenne, a drugą z doby obecnej. Jestem pewny, że w 90% wybralibyśmy tę ostatnią książkę.

— Dlaczego?

— Bo żyjemy nowym życiem. Mamy dość wojny, powstań, udręk, ofiar, męczeństw. Bohaterzy są dla nas świętością. Czcijmy ich raz do roku, ale nie wylewajmy nad nimi codziennie łez, nie powiewajmy nad ich mogiłami chorągwiami. Nie chcemy stać w miejscu i patrzeć w przeszłość — oto nasza chwała. Chcemy urabiać szczęście na tej ziemi w słońcu, chcemy żyć w słońcu. Dlatego szukamy nowych wskazań.

— A jakież one mają być?

— Co czynić, aby wojna nigdy się już nie powtórzyła? Co czynić, aby ludzkość pozbyła się nienawiści? Niech człowiek posiada rękę do pracy i bratniego uścisku. Niech pisarz pokazuje bohaterów, którzy pracując nad odrodzeniem

własnej duszy mają się stać najtrwalszą cegłą w budowie nowego jutra. Niech ukazuje czyny zdziałane dla dobra człowieka, niech budzi dumę przez pracę i zdobycze ducha. Abyśmy się cieszyli życiem, a nawet trudem, znojem, nauką, i wszystkim, co się buduje dla Polski i dla ludzkości. Niech odkrywa, co piękne i wielkie. Niech zachęca swoimi szlachetnymi czynami, abyśmy się moralnie podnieśli. Zerwać z cierpiętnictwem, czekaniem na cud. Ta książka powinna wyrastać z rzeczywistości obecnej, ale musi być jasna, pogodna, pełna wiary i mocy. Z uśmiechem ją czytać i tym uśmiechem witać jutro, jakie się z niej narodzi.

...wojna była aż nazbyt okrutna i bolesna, wstrząsnęła duszą ludzkości i ustrojami odwiecznymi. Wciąż żyjemy pod wspomnieniami jej potworności. Zbyt mało upłynęło czasu, aby o niej zapomnieć. Jeszcze rany nie zagoiły się. Cały świat, wyrwany z dotychczasowych posad, toruje sobie drogę w chaosie i mrokach, jakby w dymach i kurzawie po wybuchu bomby niszczącej życie, dobrobyt, wspaniałe dzieła rąk ludzkich. Musimy sobie powiedzieć, że w naszej możności jest budowanie lepszego jutra, i w to jutro musimy patrzeć z mocą i wiarą. Gloryfikowanie swojego ja i przeszłości, bezpłodne przechwalanie się jest wadą słowiańską. Gdybym zaczęła myśleć o tym, com przeżyła, com przecierpiała, tobym popełniła samobójstwo. Oczywista, że nie możemy wyrzucać z pamięci wspomnień wojny, obrazów jej okrucieństwa, one muszą stać przed naszymi oczami jako odstraszające przykłady, ale powinniśmy wytężyć siły, by pracą umysłu i ciała budować życie w radości wszystkich.

14-letnia uczennica II klasy gimnazjalnej śmiało wypowiada swoje zdania, z takim niezachwianym przekonaniem, jakby z głębi swej duszy wyrywała swe przeżycia i przemyślenia.

...koleżanka mówi ze zgorszeniem, że gloryfikujemy przeszłość. Nie wstydźmy się tego. Ta przeszłość była tak wielka i święta w chwale i w nieszczęściach, klęskach i tryumfach, że powinno się ją gloryfikować. Bo nawet jej nieszczęścia zrodziły się z męczeństw, poświęceń i miłości Ojczyzny. Jeżeli chcemy budować nową przyszłość Polski, to musimy ją budować na podwalinach przeszłości, na wspaniałych tradycjach naszych przodków, który w boju i w pokoju okryli sławą nieśmiertelną imię naszej Ojczyzny, których dzieła i zasługi wciąż nas żywią. Koleżanki i koledzy nieraz mówią, że nie powinniśmy pamiętać o wojnie. Ja uważam, że wciąż, uparcie powinniśmy pisać o wojnie, o jej grozie, o krzywdach, jakie wrogowie wyrządzili Polsce, aby już nigdy nie dopuścić do nowej wojny. A gdyby wybuchnęła, to musimy walczyć — z polskim szaleństwem, znanym na całym świecie, i z polskim poświęceniem — o wielkość Ojczyzny. Wciąż przypominać okrucieństwa wrogów, aby nienawiść do nich nie wygasła. Wciąż być gotowym do boju. Zawsze pamiętać, że Niemcy czekają chwili, aby skoczyć do gardła Polski i zadusić ją. Młodzież polska kocha otwartą walkę, oko w oko, ale nie skrytą i podstępną, bo taka nie jest zgodna z jej honorem i rycerskimi zwyczajami Polaków. Właśnie dlatego otacza powstanie czcią i uwielbieniem. Należy przedstawić w powieści tragedię nie tylko młodzieży, szczególnie jednak ma-

tek, ich poświęcenie, ofiarność, trudy poniesione dla rodziny i Ojczyzny. Nasuwa mi się jeden z wielu przykładów. Ojciec mojej przyjaciółki w randze kapitana AK poległ w walce z okupantem, a dwaj jej bracia zginęli w powstaniu, i to w niezwykłych okolicznościach. Brat zastrzelił brata. Starszy bronił barykady, a młodszy w przebraniu niemieckiego żołnierza donosił amunicję. W tej chwili padł strzał. Starszy na widok zabitego brata jego kulą popełnił samobójstwo. Matka została z córką, która w czasie powstania pełniła niezwykle ofiarnie służbę łączniczki. Jej życie i przygody godne są poematu o poświęceniu i bohaterstwie. Podczas ostatnich wakacji na harcerskim obozie piorun ją zabił. Każda śmierć mogła matkę wtrącić w rozpacz, odebrać zmysły. Zniosła wszystkie ciosy. Żyje. Swoją boleść roztopiła w poświęceniu dla drugich. Oto miłość, jaką żywiła dla swoich dzieci, przeniosła na sieroty, których rodzice zginęli od kul niemieckich. Jest dla nich najlepszą, najtroskliwszą matką: — Pragnę wychować ich na pożytecznych synów Ojczyzny — nieraz mówi z uśmiechem. — Niechaj najgodniej jej służą. Zadaniem moim jest wypełniać obowiązek wobec kraju i społeczeństwa. — Nie znalazła kości męża i synów. Nie ma nawet tej pociechy, aby na ich mogiłach w płaczu i w modlitwie utulić swoją boleść.

Ta heroiczna kobieta spełnia szlachetne dzieło, nie wiedząc co to trud, zmęczenie. Oto Matka-Polka. Ile takich męczennic wydały ostatnie lata?

...nie gloryfikować bohaterów wojujących z karabinem. Pisanie o wojnie budzi, może nawet bezwiednie i nieraz wbrew woli autorów, pierwotne popędy u młodych, chorobliwą żądzę przygód i niezdrową tęsknotę do wyżycia się w okrucieństwach i morderstwach.

...należy pisać o okrucieństwach wojny — natychmiast odpowiedziała uczennica — aby odstraszyć od niej. Malować jej grozę nawet najpotworniejszymi słowami, chociaż one nigdy nie wyrażą jej istotnej prawdy. Przerażać, aby już nigdy nie powtórzyła się ta rzeź, aby ludzkość po wszystkie wieki nabrała wstrętu do wzajemnego mordowania się w imię najszczytniejszych haseł, wzywających Boga na pomoc i oszukujących tak człowieka, jak i Boga.

...jestem przeciwnikiem powstań. Każde polskie powstanie zadawało rany, którymi aż nazbyt obficie wypływała najlepsza krew spod serca Ojczyzny. Czy po to wywoływać powstanie, aby później, po klęsce, pisać poematy opiewające daremne bohaterstwo i poświęcenie nikomu niepotrzebne? Czy po to, aby z popiołów wygrzebywać kości poległych, kłaść na ołtarze, święcić obchodami i śpiewać chorały? Burzyć, aby na gruzach płakać? Tak, tak, lubimy zadawać Ojczyźnie rany, aby w nich znaleźć słowa do pieśni o męczeństwie. Niedawno czytałem w jednym z tygodników artykuł bardzo znamienny, w którym autor niechętnie mówi o politycznym realizmie Czechów, o zdolnościach do koniecznego w pewnych okolicznościach kompromisu. Autor m. i. tak pisze: „Wątpię jednak, czy znalazłoby się dużo Polaków, którzy by zamienili się rolami i przyjęli czeskie obywatelstwo. W przyszłości i obecnie. Ja osobiście wolę gruzy naszej bohaterskiej stolicy, odbudowującej się z takim trudem, i bohaterskie dzieje walki naszej AK".

...nigdy niczego nie nauczyliśmy się. Zawsze jednako jesteśmy szaleni. Niemcy nieraz kpili, że Polska popełnia samobójstwo rękami swoich synów, chorych na bohaterstwo. Czesi powiadali, że są zbyt małym narodem i nie mogą zmarnować nawet jednej kropli krwi. Czesi nie wydaliby lekkomyślnie Pragi na zniszczenie, bo wiedzą, że ich umiłowana stolica jest sercem narodu, że każdy zabytek jest bezcennym skarbem przeszłych pokoleń, wspólną dumą i świętością nie tylko Prezydenta, ale też najskromniejszego robotnika. Łatwiej umierać, niż w trudzie żyć i pracą służyć Ojczyźnie. Po okresie bohaterstwa szaleńczego zwykło następować bohaterstwo rozsądne w codziennych czynach. Dość już było heroizmu. Uczmy się h e r o i z m u p r a c y. Nie prorocy mieszkający w gwiazdach, ale strudzony znojem chłop za pługiem, ale usmolony robotnik z młotem jest naszym patronem. Nie bujać na pokaleczonych — często sami je podcinamy — skrzydłach pod obłokami, nie wznosić zamków z mgły; ale w trudzie z cegieł budować dom, w którym zamieszka szczęśliwy mój brat lub syn.

...powieść, na jaką czekamy, powinna być jasna, pogodna, ale powinna malować okropności wojny. Pod ciosem padają jednostki, ale większość bujnie wyrasta i pnie się strzeliście do słońca, do ideałów. Niech pisarze wskażą takie idee, w których by, jak w ognisku, spłonęły wszystkie błędy, ułomności, wszystek brud wymieciony z zapajęczonych kątów dawniejszego i dzisiejszego życia.

...często wedle czynu bohatera powieści ukształtuje się dusza czytającego, dlatego też jego słowa niechaj będą światłością dla nas, wychodzących z mroków okupacji, niechaj będą lekarstwem po latach udręki i nieszczęść, niechaj darzą umiłowaniem dobra i piękna. Ratować zhańbione dusze. Wyrabiać moralną siłę. Budzić szacunek dla powagi umysłu i serca, bo one powinny się stać drogowskazem, dźwignią i podwaliną.

...dzisiejsza epoka przyniosła dziejowe wydarzenia o ogromnym znaczeniu nie tylko dla współczesnego pokolenia, ale też dla przyszłych wieków. Wojna pozostawiła śmierć i zagładę, aby na gruzach dawnego świata, zburzonego rękami jego synów, ogłosić początek przeobrażeń i przemian jedynych w naszej historii. Z ich wielkości może nawet nie zdajemy sobie sprawy i jeszcze nie obejmujemy ich umysłem, żyjącym wspomnieniami wczorajszego dnia. Pisarz powinien wykazywać potworności wojny, a błogosławione skutki pokoju, powinien udowadniać najpiękniejszymi czynami, że celem człowieka jest pokój, a nie wojna. Wojna — to przeszłość, na którą jedni patrzą ze zgrozą, inni z podziwem dla bohaterstw i poświęceń. Zadaniem dzisiejszego pokolenia jest tworzenie nowej rzeczywistości i kształtowanie przyszłości w narodzie. Trzeba wydobywać wszystkie siły, aby to dzieło stało się doskonałe. A to może się stać w czasie pokoju. Nikt nie buduje pod piorunami, czy wtedy, gdy wisi burza grożąca zagładą. Nikt nie sieje zboża na wulkanie.

...ktoś powiedział, że pisarz swoimi słowami otwiera zatrzaśnięte drzwi i wprowadza czytelnika w zaklęte dziedziny, gdzie króluje piękno, miłość i dobro. One były, są i pozostaną najcenniejszymi wartościami doczesnego

świata. Banalne, przebrzmiałe, a przecież zawsze z jednakim uczuciem wypowiadane. Szkoda, że zostały wyrzucone z literatury wraz z innymi tak zwanymi przeżytkami. Nowy bóg — rozum — jeszcze nie zdołał zamienić w popiół młodzieńczych serc. Gdyby nawet zmienił, to człowiek zawsze będzie szukał iskier ich, choćby ostatniego, jednego uratowanego pulsu, aby swoje odrętwiałe serce obudzić. Nie chcemy ocierać się o skamieniałe piersi, bo pragniemy słyszeć czujące serce, pulsujące prawdą o człowieku. Człowieczeństwo jest celem dzisiejszego pokolenia. Bohater wyczekiwanej książki niech nie będzie urobiony z próchniejącej wierzby, ozdabiającej krajobraz naszej nędzy, niech nie będzie z brzozy, opiewanej przez sentymentalnych poetów, ale niech będzie z dębu, urągającego piorunom, od którego ciosy odpadają, a w którego wiekowym pniu bije świeża miazga, dająca z wiosną nowe życie.

...za mało się pisze o wsi, a ta w czasie okupacji najwięcej przecierpiała, nie dała się złamać i w walce z wrogiem zapisała karty dziejów najwspanialszymi czynami. Pług walczył, i ten pług został niezwyciężony. Dać obraz trudów, wysiłków w walce o duszę polską, o wolność z okupantem, który groził śmiercią. Nie wolno zapominać o wiejskiej młodzieży, która dopiero teraz ma możność kształcenia się i do nauki garnie się z zapałem. Wiele talentów mogących być chlubą narodu dawniej bezużytecznie marniało. Może dzisiaj los szczęśliwy odkryje drzemiące zdolności, obudzi je na chwałę Polski, może z niskich izb wyjdą umysły wielkie, poeci, muzycy, wynalazcy. Należy dbać nie tylko o miasta, ale też i o wieś, gdyż ona jest ważną częścią narodu. Chciałabym czytać powieść, w której bohater urodził się pod strzechą, niejako przy kaganku, zna wszystkie troski, pragnienia, potrzeby ludu, własnym wysiłkiem dźwiga się z nizin, zdobywa wiedzę, idzie z postępem czasu, wciela wynalazki w swe życie, przebudowuje swoją gospodarkę na nowoczesną, zastępując siłę mięśni energią motoru, burzy niską chatę, a wznosi dom obszerny, pełny słońca, gdzie króluje książka, jako najskuteczniejsza broń przeciw ciemnocie, zacofaniu, uciemiężeniu, nędzy. Ten bohater, zwyczajny chłop od pługa i wideł, niezłomny, niezachwiany, mocny w czynach, byłby przykładem i przewodnikiem.

...któż napisze powieść o ślązakach, którzy przetrwali 7 wieków niewoli, jakby ziarno w żarnach niemieckich, a przecież okazali się twardszymi niż kamień. Przecież oni są wspaniałym świadectwem ducha polskiego. Któż napisze powieść o matce-ślązaczce, bezimiennej, nieznanej matce, która uratowała polskość tej ziemi i serce swych synów przyniosła w darze wolnej Ojczyźnie, choć ta o najwierniejszych, opuszczonych nigdy nie pamiętała.

...nie trzeba się wyrzekać osobistego szczęścia chcąc służyć bliźniemu. Wiara w człowieka, to wiara w lepsze życie, to wiara w szczęśliwsze jutro. Zdobywać człowieka dokonanym dobrem, doskonalić się w braterstwie, wiązać ręce i serca miłością.

...czy możemy się doczekać renesansu literatury optymistycznej, pełnej radości życia? Czy literatura zaduszona w cieplarni, zamknięta w czterech ścianach, przepsychologizowana ma dalsze szanse rozwoju, i czy będzie się cieszyła popularnością? Dość mamy literatury pesymistycznej, opiewającej śmierć,

martyrologię, walkę, mogiły, krzyże. Życia nie można umieścić w świątyni, na cmentarzu, w Panteonie, ani w wieży z kości słoniowej. Niech tam przebywają pająki, niech snują kanwę swych sieci z promyków, niech czekają na muchę. Dzisiejsza literatura nie jest wyrazem współczesności tak burzliwej, ciekawej, przynoszącej różnorodne zjawiska, zaskakującej twórczymi niespodziankami. Pisarz stoi na boku i patrzy nic nie widząc, nic nie czując. Ta lawina go przygniecie, a może wyrwie pióro z jego neporadnych rąk i rzuci w ręce godne, szorstkie, ale mocne. Pożądamy literatury karmiącej optymizmem, która by stoczyła walkę z zahamowaniami wewnętrznymi wynikającymi z uprzedzeń, z wychowania, tradycji, z wszystkich grzechów narodowych. Chcemy znać prawdę, chcemy poznać radość. Bohater powinien być zdrowy psychicznie, a tymczasem (uczeń I klasy liceum humanistycznego wymienia szereg głośnych utworów dzisiejszej doby) to przeżytki, jednostki chore psychicznie, aspołeczne, to widma umarłego świata chcące budować nowy świat. Czasem to Proust pofarbowany Kadenem. Autorzy przenoszą swe postacie o duszy ze śliny, błota, alkoholu w nieżyciowe warunki atmosfery, która może panuje na księżycu, w lupanarze lub knajpie. Autorzy słowom potargali mięśnie, poprzecinali tętnice, i wypłynęła z nich krew. Słowa stały się blade jak chusta i nieżywe. Do normalnej jednostki, która wiele przeżyła i spragniona jest świeżych, zdrowych sił, takie książki nie przemawiają. Są niepotrzebne. Skończyć z literaturą wyrastającą w atmosferze burżuazyjnych sypialń zamienionych w spelunki, skończyć z ideologią przeznaczoną dla martwych czy spróchniałych. Wołamy o książkę wielbiącą życie i głoszącą miłość życia. Chcemy widzieć bohatera, który walczy najskuteczniejszą bronią — czynami szlachetnymi — z przeciwnościami, pokonuje je, który wyrąbuje drogi wśród mroków i wskazuje je jako jedyne, po których ma iść dzisiejsze pokolenie, nieraz zbłąkane i schodzące na manowce. Jego czyny niech nie narzucają tendencji, niech nie umoralniają gwałtem, ale niech wnikają w duszę, jak woń i barwa w kielich rozkwitającego kwiatu, i niech przepełniają ją. Niech słowo ożyje, niech słowo płonie, grzeje, bije na alarm, woła, głosi, niech będzie sztandarem, rozkazem, wezwaniem, wybuchem ładunku dynamitowego, albo niech słowo będzie z twardych robociarskich mięśni, zdobywczych i zwycięskich. Wołamy o takie słowo. Nie chcemy mieć prałatów literatury, ale chcemy widzieć obok siebie przyjaciół miłujących człowieka. Pragniemy być zdrowym, mocnym ramieniem narodu, tworzywem jego jutra.

...przedstawiciele minionej epoki głosili, że lud został stworzony przez Boga tylko po to, aby walczył o przywileje dla swoich ciemiężycieli, o utrwalenie wyzysku i krzywdy. Dotychczasowi opiekunowie wychowywali przez wieki tak, aby lud gnębiony, ciemny nadal bronił ich tyranii nad sobą, nauczali, że gwałt i przemoc jest dopustem bożym, nienaruszalną świętością otwierającą po śmierci bramy niebios, bramy królestwa bożego szczelnie zamkniętego przed śmiertelnikami w doczesnym życiu. Czasy się zmieniły bezpowrotnie. Żyjemy w innych stosunkach. Szkoła nowoczesna musi się dostosować do tych warunków i być wyrazicielką pragnień, dążeń współczesności, niespokojnej, nerwowej, dramatycznej Z tej szkoły wyjdą zastępy wychowane w radości

ducha i ciała, w szacunku dla pracy, przygotowane do walki o prawo do wolności i sprawiedliwości. Trzeba brać w siebie dobro i miłość, aby później dzielić się z innymi, bo tylko ten słońcem obdarza, kto słońce nosi w sobie. Pragniemy książki, która by przejęła się potrzebami współczesnego człowieka, która by uczyła, wzruszała, porywała, która by była alarmem, zarzewiem i pochodnią.

...w czasie ostatniej wojny zło doszło chyba do szczytu, deprawując człowieka, niszcząc wszelkie zasady prawa i moralności. Nie wolno było wtedy wołać o ratunek dla ludzkości zagrożonej hańbą. Zdawało się, że ona zginie w błocie i w ogniu. Chciałbym czytać powieść o młodym człowieku, który po okresie grzechu, upadku przystępuje do walki z własnym charakterem, do walki o własną duszę. Chciałbym zobaczyć jego zwycięstwo nad samym sobą. Dużo się mówi o odbudowie kraju i bardzo wiele się uczyniło w tym względzie. Natomiast mało się mówi, lub zgoła nic, o odbudowie charakterów. A tutaj są spustoszenia ogromne. Czas na rozpoczęcie rewolucji moralnej o przekształcenie duszy i dostosowanie jej do nowego życia. Chcemy być mocni, mądrzy, pracowici, ofiarni, godni wielkości narodu i jego dziejowych przeznaczeń, chcemy być pożytkiem, ozdobą i chlubą. Jestem pewien, że taka książka zdobyłaby młodzież.

Przemijały różne twarze, rozbrzmiewały różne głosy nabrzmiałe wiarą, rozgorzałe entuzjazmem, a wszystkie były wyznaniem młodych, buntujących się w imię miłości, prawdy, sprawiedliwości, stęsknionych wszystkiego, co wielkie i piękne, a szukających dróg w lepszą, odrodzoną przyszłość.

Uśmiechy, spojrzenia przepływały przez moją duszę, przejaśniały ją, aby mi świeciła w dni ciężkiej pracy, upadków i rozczarowań.

V

Wychodziłem z auli. Wracałem w codzienne życie. Wciąż rozbrzmiewały we mnie słyszane odpowiedzi. Chciałem wołać głosem młodych.

— Każdy nasz czyn winien być chlubą odrodzonej Ojczyzny. Odbudujemy jej wielkość wielkością naszych dusz. Książka, wyrwana z piekła najstraszliwszych lat, niech wybiegnie przed ludzkość i niech woła krzykiem pomordowanych milionów, bólem wszystkich przeżytych dni — precz z wojną! Młodzież wyrosła na tragedii i cierpieniu Polski, na jej zemście, kiedy jej oddechem była boleść narodu, wzięła w siebie wszystko, co złe i dobre, co ohydne i wzniosłe, mogłaby zmarnieć, spodleć, zginąć, a przecież ona zwraca się do wszystkich i mówi: jesteśmy ogniwem w łańcuchu ziemskiej wieczności i to ogniwo musi być mocne, trwałe, hartowne, z najszlachetniejszego metalu wykute.

Mijałem ruiny i rumowiska zburzonego miasta, zatroskane, pochylone postacie człapiące utrudzonym krokiem, zdążające ku codziennym sprawom. Wiedziałem, że wśród nich są wygnańcy tęskniący do dawnych stron, ludzie zbłąkani, geszefciarze mieniący się pionierami, przekupnie idei z namaszcze-

niem zachwalający swój kram. Postanowiłem podejść do nich i zwierzyć się z radosnej nowiny.

— CZŁOWIEKU BIEDNY, PRZECHODNIU SAMOTNY, UŚMIECHNIJ SIĘ UŚMIECHEM MŁODZIEŻY, spłoń płomieniami jej zapału, a szczęśliwym się staniesz. Wśród gruzów tego smutnego miasta, ożywionego trudem wszystkich, rośnie nowe pokolenie, które będzie dumą przyszłych dni.

Skądś wybiegła uczennica. Stanęła naprzeciw.

— Byłam na poranku. Jestem wciąż pod jego wrażeniem. Mówimy, że pan zna życie i że poznał je do głębi w szczęściu i nieszczęściu. Wie pan, wie pan — jej źrenice błysły urwiszowsko. — Inaczej sobie pana wyobrażałam.

— A jakżeż to? — żartobliwie zapytałem. — Z rogami? Ogonem?

— Poważny, surowy, a tymczasem pan tak często się uśmiecha. A wtedy, ech... Nie powiem. — Zaśmiały się oczy. — Zresztą, no — strzeliła po namyśle — aż w duszy jasno się robi.

— Tę jasność wyniosłem od was.

— Pan musi bardzo kochać młodzież — znów wybuchnęła.

— Z czegóż pani tak sądzi?

— Z książek i dzisiejszego odczytu. Obecnie bardzo wielu nienawidzi młodzieży, gardzi nią, i to nawet tacy, którzy powinni ją kochać.

— Młodzież jest uśmiechem naszego życia. Czyż można nie miłować najpiękniejszego uśmiechu?

Muszę wyznać, że opisane poranki w szkołach były wielką radością, a rozmowy z młodzieżą jakby natchnieniem, pokrzepieniem i wewnętrznym oczyszczeniem z czegoś, co brudzi i zaćmiewa. Jeżeli można użyć takiego porównania, to w ostatnich czasach wlokłem się jak ptak z poprzetrącanymi skrzydłami po szarej, zabiedzonej ziemi, a teraz poderwałem się do lotu i spojrzałem w słońce jawiące się w oczach, pragnieniach i tęsknotach młodych słuchaczy.

Dynamitowy ładunek zapału i entuzjazmu noszą ci młodzi reformatorzy, odkrywcy, marzyciele, bojownicy jutra, nie mniejszy od tego, jaki nosili przed 50 laty ich ojcowie. Młodzież zawsze była, jest i będzie bryłą najurodzajniejszej gleby w garści Ojczyzny. Młodzież, nawet z łez znoju, trudu zrodzona, to najwspanialszy poryw narodu!

Wrocław, 6. III. 1948.

OBRAZ

Dom, w którym zamieszkasz, ma okna
po to, by patrzeć w świat
na drogę, którędy przyjdę.
A drzewa obok domu są po to,
by ci szumiały o mnie
i moich podróżach.
Fontanna bijąca w ogrodzie
za ciebie wyleje łzy.

W pokojach będą krzesła,
na których siadając wspomnisz,
żeśmy siadali oboje.
Gdy książkę wyjmiesz z szafy,
ręka się twoja zachwieje:
w tej książce zostały me oczy
patrzące stale na ciebie.

Gdy syn nasz zapłacze nocą,
usłyszysz mnie w jego głosie.
I słuchać będziesz z rozpaczą
pełna gorących nadziei.
A rano zbudzona nagle
we włosach jak w chmurze deszczowej
wykąpiesz swoje marzenia.

PRÓBA

Zbłądziłeś chłopcze dlatego,
żeś wiedział zbyt dobrze co czynisz.
Twoja pewność była pewniejsza,
niż wiosna wybuchająca kwiatami.

W twej głowie pełnej pomysłów
jak krater otwarty — mózg dymił
i myśl pospieszała za myślą:
rozszumiała wiosennie zamieć.

A wystarczyło tylko posłuchać szumu kasztanów,
które w nieludzkiej trwodze pukały do okien
i których nie słuchano
i którym nie otwierano.
A wystarczyło tylko iść powolniejszym krokiem
i na zakręcie ulic przystawać
i patrzeć na smutne domy —
gdzie ludzka dojrzewa sprawa.

Dlatego, chłopcze mój, musisz
pozostać w domu wieczorem
i wziąwszy głowę swą w dłonie
nieść ją ostrożnie przez pokój.
Nie padaj w rozpaczy na łóżko.
Po ścianach się nagich nie słaniaj.
Świat się do ciebie przybliży
i księżyc runie w twe okno.

OSTATNIA STOLICA

Zostają za mną miasta —
smugi, cienie słoneczne.
I żadne z nich mnie nie cieszy.
Oczy rzucają się wpław
i płyną przez Europę
w strumieniu tęsknot wiecznym,
w trwożliwym szumieniu traw.

Paryż błękitny i smutny
pożegnał mnie wiosną zieloną.
Drzew pióropuszem jak bateria armat strzelał.
O wiosno, pełna ogrodów,
przez ciebie przepłynęła
łódź po zmurszałym stawie —
Bruksela.

W Berlin, liżący swe rany,
wtłukły się moje kroki:
tum przeczuł inną stolicę,
do której jeszczem nie doszedł...
Na pierwsze gruzy Warszawy,
jak na otwarte stronice
upadły łzy gorące —
srebrne ojczyste grosze.

EUGENIUSZ ZIELIŃSKI

ELEGIA STARONIKOŁAJEWSKA

I

W załkaniu, w rozpuszczeniu na wiatr liści w zdziczałym sadzie
jawisz się Olgo Olgino napiętnowana księżycem
sennego późnowiecza w widmowym, w stepach chutorze.
Czysty jest profil smutku przy skąpym ogarku,
w którym opalił skrzydła walc kruchy „Borodino".
Nie opieraj się dłużej. Występny zapach bodiaków
chwyta za piersi i dławi je słodko w uścisku
obręczą jak śmierć szczelną, smugą kadzidlaną.
Oto co można osiągnąć mocą wspomnień: tęczę!
Rozwalone sąsieki śniegowe (śnieg różowy),
wiosna ze złotą strzałą w pozie zuchwałej łuczniczki
i w baranicy uszatej skarb: zamarznięta gwiazda.
O, urzeczeni! Godzina tak przeżyta szumi
i długo się pamięta poczciwość samowara,
który to wszystko o zmroku łagodnie opowiedział
w żar-pieśni zestarzałej w tym domu na dożywociu.
Niech będzie, jak być musi. Gdziekolwiek uciec, zaskoczy,
porwie cię morze życia. Sczerniały we krwi malwy,
jak wargi popękane, z których szept słaby ulata
o chwale dońców-sokołów, o bujnym słońcu na stepie.
Chyba nie zaśniesz tej nocy. Upiornie świeci się próchno,
murszeją we śnie bierwiona ścian całych w sękach jak w ranach.
Głęboki pokłon na progu. Gdzieś obok mysi pisk. Kto to?
Księżyc się przywlókł, brodiaga, gość w porę, z chorą duszą.

UROCZYSKO

Czuć rozpalonym wrześniem. W gąszczu księżyc świeci,
a w śniadym popielisku porzucony granat
jak piszczel nieomylnie wskazuje kierunek,
gdzie zginęła ballada, siostra zapłakana
brzozy, panny zielonej...
Ach, z wiatrem przyleci,
w zajadłej partyzantce roztrąci i zwichrzy
miedź liściastą, brzęczącą górę pustych liści
i przepatrzy aż do dna wszystkie jej komysze.
Choćby się zwał dziwacznie: Melchior Atanazy,
wykuka go kukułka poważnie trzy razy
i będzie radość wielka ze zbója, co przyszedł
z rozbitego oddziału.
Księżyc w owej chwili
owiany czadem smółki misę swą przechyli
i zleje garniec srebra z wysoka do duszy.
Czarodziejstwo, którego nic nie śmie naruszyć,
dopóki sosny stoją w potarganych wieńcach.
A bokiem przejdzie bitwa. Drgnie liść czujny w boru,
zastuka krew zielona pod chropawą korą,
płowy włos panny czepi się skroni młodzieńca.

TADEUSZ PEIPER

O TAŃCACH ARTYSTYCZNYCH

I

We wzruszeniach, jakie w nas wywołuje taniec artystyczny, istotne jest: radowanie się ruchami ludzkiego ciała tworzonymi w myśl wymogów piękna. Obok tego działa i współdziała radowanie się ruchem jako intensywnym przejawem życia, radowanie się ciałem jako rzecznikiem człowieka, i radowanie się pięknem jako jednym z celów dziejowego postępu.

II

Mógłby taniec artystyczny mieć byt samoistny, mógłby istnieć bez muzyki. Układanie ciał w piękne kreacje mogłoby odbywać się — nie w zależności od tego, co dyktuje utwór muzyczny, nie w podporządkowaniu się liniom jego melodyj i charakterom jego treści, lecz jako rozwijanie myśli tanecznych według ich własnych praw, jako tworzenie kompozycyj, z których każda byłaby wyłącznie wynikiem poprzedniej i zapowiedzią następnej. Taki taniec byłby czymś w rodzaju muzyki ciał i tworzyłby dla siebie swoje własne formy komponowania, podobnie jak muzyka stworzyła dla siebie np. sonatowe formy budowy lub kontrapunktowe formy prowadzenia głosów.

Taniec samoistny stanąłby przed nieuniknionym pytaniem: jaki regulator rytmu ma nadawać momentom tanecznym ścisłość czasu trwania, skoro rytmizujący akompaniament muzyczny będzie odrzucony? Rozwiązania mogłyby być rozmaite: głos ludzki odmierzający jednostki czasu (jak to niegdyś próbowali czynić awangardziści niemieccy w *Bauhausie*), albo przyrząd mechaniczny o pięknym i donośnym brzmieniu, albo grajek odkrawający takty na odpowiednio dobranym instrumencie.

Można przyjąć jako pewne, że z funkcji grajka wzbogacanej stopniowo innymi grajkami powstawałyby utwory muzyczne, i to coraz bardziej złożone, ale nie naruszałyby one niezależności kompozycyj tanecznych, bo nie byłyby czynnikiem dyktującym, lecz dyktowanym. Taniec dyktowałby muzykę, nie muzyka taniec. Straciłby taniec samoistność, ale zachowałby niezależność.

Przeszkody! Tańcowi samoistnemu i tańcowi niezależnemu w pierwszych fazach jego rozwoju stałyby na drodze przeszkody nie wynikające bynajmniej z ich własnych celów. Ponieważ pierwszy występowałby przed widzami osamotniony, pozbawiony towarzystwa muzyki, pozbawiony poparcia jej potężnej siły wzruszania, drugi zaś w towarzystwie muzyki nowej, szukającej, dziwnej i może nie dość bogatej — radowałyby tylko widzów o wrażliwości szczęśliwie wychowanej. Ograniczoną swą ilością nie mogłyby one nasycić księgi rachunkowej przedsiębiorstwa. Zmienić się to może dopiero w przyszłości, kiedyś, kiedy kwietniki kultury — dzięki odnowieniu gleb i ogrodnictwa — rozścielą szeroko swą krasę. Stanie się to w szczęśliwym stuleciu: w XXI.

III

Racja bytu tańca samoistnego i tańca niezależnego nie daje im jednak praw wyłączności. Muzyka zgłasza swoje podniety.

Z własnych przeżyć wiemy, że nawet pospolita muzyka taneczna, gdy tanecznikami zawładnie bogini radości, budzi w nich potrzebę ruchów wykraczających poza reguły walca, fokstrota czy mazurka, ruchów improwizowanych, które by wyładowywały uczucia chwili na zewnątrz i były ich niemymi wyrazami, które by niosły w przestrzeń wyznania, wezwania, oświadczenia, manifesty fantazji. I tak właśnie wypowiadaliby się tanecznicy, gdyby ciało ich umiało być posłuszne temu, czego pragną ich uczucia, i temu, co widzi ich wyobraźnia. — Z własnych przeżyć wiemy także, że niektóre utwory muzyczne unoszą słuchacza w powietrze, że przesuwają go po nim płynnym lotem, i że brzmienia muzyczne działają w tym jak niewidzialne i bezszelestne skrzydła. — Tej natury przeżycia spokrewniają nas z tancerzami, gdy taniec swój wywodzą z muzyki i uzależniają go od niej.

Prócz imaginowanych ruchów, w jakie muzyka wprawia n a s s a m y c h, budzi w nas ona wizje ruchów odbywających się p o z a n a m i. Dzieje się to zawsze, kiedy utwór muzyczny — choćby tylko tytułem — nawiązuje do jakiegoś określonego miejsca, albo do jakichś określonych spraw życiowych. Dzieje się to nawet wtedy, kiedy nie ma ani jednego, ani drugiego, ale wizje są wtedy bardziej urywkowe, ogólnikowe, mgliste. Wprawdzie niektórzy muzycy twierdzą, że wizje życiowe nie mają wpływu na powstawanie ich utworów, których skład i przebieg rzekomo wynika wyłącznie z przesłanek muzycznych, ale choćby to nawet było zgodne z genezą tego rodzaju utworów — to i tak psychika wrażliwego słuchacza reaguje na nie wyobraźnią. Znamienne pod tym względem są skojarzenia wyobrażeniowe, które ujawniają się w omówieniach poświęcanych utworom muzycznym przez krytyków czy informatorów; nawet ci z nich, którzy stronią od doszukiwania się w muzyce treści życiowych, nie mogą obejść się bez literackich przenośni, a czyż te ich przenośnie nie są śladem skojarzeń wyobrażeniowych, które utwór wywołał ze wspomnień o świecie i życiu?

Błąd popełniany w estetyce muzycznej (i poetyckiej) przy stawianiu kwestii

wizualności polega na tym, że estetycy operują pojęciem obrazu, podczas gdy w wizualnościach towarzyszących słuchaniu muzyki (i dobrej poezji) mamy do czynienia z czymś zgoła innym: w czasie słuchania muzyki (i dobrej poezji) nie pojawiają się w wyobraźni słuchacza pełne obrazy, ani pełne przebiegi akcyj, ani nawet ich urywki, lecz dziwne twory, dla których należałoby znaleźć nazwę nową. Aby nie nazwać ich obrazowymi, nazwijmy je obrazianymi. Są to ogólnikowe mgliste strzępy świata, strzępy życia, strzępy ruchów, są to ogólnikowe mgliste krótkotrwałe urywki strumieni i wodospadów, urywki kęp drzewnych przeginanych wichurą lub ledwie drgających pod tchnieniami powietrza, urywki rozległych przestrzeni pogrążonych w bezruchu i wydobywających się z niego, urywki postaci ludzkich, z których czasem widać tylko ruch nóg, czasem tylko przegięcie tułowia, czasem tylko wyciągniętą rękę, czasem tylko usta i przyuście. Postrzępione, urywane, ogólnikowe, mgliste, migawkowo krótkotrwałe, ledwie przyłapywane przez naszą świadomość, wyłaniają się one z naszych radości minionych lub oczekiwanych, z naszych cierpień świeżych lub pogrzebanych, z naszych wspomnień, z naszych marzeń, z naszych błędów, z naszych zazdrości, z krajobrazów przebytych, z ogrodów, które jeszcze nie przygasły w naszej pamięci, z miast, które wrosły w nas ulicą, placem, zaułkiem, domem, balkonem, kątem pokoju. Natura tych tworów wyobraźni — ich cząstkowość, urywkowość, strzępiastość, mglistość, lotność, migawkowość — ta właśnie ich natura sprawia, że ich działanie jest tak przejmujące. Bo mają one w sobie tylko tyle, ile dostało się im ze selekcji, jakiej dokonała nasza dusza pod naporem spontanicznie działających sił, wybierając z całości tylko jakąś cząstkę, dla niej w danej chwili najważniejszą, najbardziej pożądaną. Pełne obrazy nie miałyby tej mocy wzruszania.

Rodzenie się tworów obrazianych w czasie słuchania muzyki, i składniki ruchu, jakie w nich się mieszczą, są jeszcze jednym uzasadnieniem tańca artystycznego, wywodzonego z muzyki i uzależnianego od niej, a zarazem uzasadnieniem treści życiowych wnoszonych w kreacje taneczne.

Co prawda natura owych widzeń przelatujących przed naszym wzrokiem wewnętrznym stawia sztukę taneczną przed trudnością ogromną: jak stworzyć odpowiedniość między utworem muzycznym a tańcem, skoro wyobraźnia pobudzana muzyką rodzi twory tak ogólnikowe, tak cząstkowe, tak urywkowe, tak chwiejne w kształtach i barwach, tak krótkotrwałe, tak migawkowe, tak pierzchające? W zestawieniu z nimi taniec może wydać się zbyt całkowity, zbyt wyrazisty, zbyt stały, zbyt ciężki, zbyt powolny. Najdoskonalsza technika całego zespołu tancerzy może tylko w ograniczonej mierze sprostać zadaniu; podjąć je może tylko nowa koncepcja sztuki tanecznej, uwzględniająca w osiągalnej mierze naturę owych tworów obrazianych. Kreacje taneczne musiałyby oprzeć się na innych zasadach; musiałyby budowę uczynić bardziej urywkową, działania — bardziej krótkotrwałymi, ich związki — bardziej rozdartymi; musiałyby mieć na usługi tłum znakomitych tancerzy, aby ich masa mogła być bogato różnicowana; musiałyby wprowadzić rekwizyty i obdarzyć je czarodziejską zmiennością; musiałyby kostiumom odebrać stałość. Prze-

szkody, które stoją na drodze takiemu rozwojowi sztuki tanecznej, usunie szczęśliwy wiek XXI. Na razie choreografia inaczej tworzy odpowiedniość między tańcem a muzyką.

IV

Utwór muzyczny pozbawiony przez autora aluzyj do spraw życiowych, a wzięty przez choreografa za źródło tańca, otrzymaliśmy od zespołu angielskiego Ninetty de Valois w „Wariacjach symfonicznych" Cezara Francka. W stosunku do takiego utworu może taniec obrać jedną z dwu dróg: może albo uwzględniać wyłącznie jego zawartości muzyczne, poddawać się posłusznie przebiegom dźwięków, więc ich rytmom, ich natężeniom, ich zestawieniom i przeciwstawieniom, ich powtórzeniom i przemianom, albo może uwzględniać wizualności wywoływane przez owe przebiegi dźwięków, i dla tych właśnie wizualności szukać odpowiedników tanecznych. Obie drogi leżą blisko siebie, ale nie są tą samą drogą. W praktyce baletowej wplatają się w siebie.

Patrząc na wysnute z „Wariacji symfonicznych" kreacje taneczne zespołu angielskiego miało się chwilami wrażenie, że choreograf Frederick Ashton wypowiada nimi artystyczne credo, które ma obniżyć taneczną przydatność utworów muzycznych tego typu. Grupka tancerzy złożona zaledwie z sześciu osób układała się w figury geometryczne, przy czym kwadrat, który był ramą nieruchomą, był także ramą zbyt pustego pola tanecznego, a koło wprawiane w ruch było zbyt nikłe i zbyt jednostajne, aby móc być odpowiednikiem przebiegu dźwięków. Tancerze posługiwali się najwyższymi i najdłuższymi skokami, jakie zespół osiąga, tancerki przeginały się do ziemi najniżej. Tancerze przy podnoszeniu tancerek demonstrowali siłę, one zaś długość rozkroku. Całość czyniła takie wrażenie, jak gdyby Ashton celowo wydobywał na pokaz techniczne walory swych pracowników, jak gdyby — ujmując kompozycje w formy geometryczne — celowo podawał je w okolicznościach niekorzystnych dla nich, i jak gdyby celowo wykluczał przeżycia wewnętrzne, a to wszystko po to, aby zubożeniem kreacji powiedzieć, że jego zdaniem upadek grozi sztuce tanecznej, jeśli ograniczy się ona do muzyki pozbawionej wyraźnych treści życiowych, wyraźnych radości i cierpień ludzkich, wyraźnego dramatu człowieka, naporów jego namiętności i załamań jego woli, patosu jego walk wewnętrznych i starć z innymi ludźmi. Takie intencje — czyżby Ashton wypowiedział nawet kostiumami? Jedno ramię i jedna noga tancerzy opasane były jakby sznurem. Więzy? A koszulki tancerek czyżby miały wskazywać na nieuchronność, z jaką taki taniec „uwięziony" musiałby przerzucać uwagę od tekstu tańca na tekst ciała kobiecego?

Gdyby takie były intencje choreografa lub gdyby takie były wnioski widza, jest ktoś, kto je obala: Margot Fonteyn. Dzięki swemu artyzmowi i dzięki wysokim umiejętnościom tanecznym wydobywa ona z tematów muzycznych, które przydziela jej utwór, zawsze piękno plastyczne, a czasem wzrusza pla-

styką jako wyrazem treści wewnętrznych. Gdy w grupie kolistej — zaczynając ruch — bierze rozpęd, ileż piękna linii i ile radości życia jest w jej pochyleniu się, a potem w odrzuceniu się w tył. Gdy niesiona przez swego partnera stopniowo wydłuża krok swego powietrznego niby-biegu, ileż w tym jest piękna lotności i ile marzenia. Gdy z nakazu tematu muzycznego, który nią rządzi, zastyga w pozie niedokończonego ruchu, z ramionami uniesionymi, z głową skłonioną na bok wybranym nieomylnie kątem, czyż w jej długim czekaniu na dalszy ciąg jej tańca nie ma czegoś z tego, co jest w Desdemonie czekającej w nocy na Otella i opowiadającej o dziewczynie, którą porzucił kochanek? A przecie to tylko temat muzyczny czeka na swą kolej.

Oto co dobra sztuka taneczna — chcąc czy nie chcąc — wydobywa nawet z muzyki „czystej". Margot Fonteyn dowodzi, że może to być i zewnętrzne piękno linii, i piękno jako wyraz przeżyć wewnętrznych.

V

Gdy taniec artystyczny szuka treści życiowych, najbliżej znajduje je w tańcach historycznych: ludowych, salonowych, obrzędowych. Tkwią w nich odwieczne sprawy człowieka, tkwią w nich złoża stuleci.

Taniec ludowy, salonowy, czy obrzędowy, tańczony na scenie nawet przez znakomitych tancerzy, nie jest jeszcze tańcem artystycznym. Aby stać się nim, musi być przetworzony w imię jakiejś wyższej idei tanecznej. Ilustracyjnie można by powiedzieć, że musi być poddany twórczym przetworzeniom, podobnym do tych, jakich dokonywał Chopin na mazurkach i polonezach.

Sowiecki choreograf Mojsiejew, którego zespoły oglądaliśmy u nas dwa razy, nie idzie tak daleko, ale też — nawiązując do tańców ludowych — nie zatrzymuje się na powtarzaniu ich form i rytmów. Inspirując się tańcem jakiegoś ludu, pragnie intensywniej wyrazić charakter tego ludu, aniżeli czyni to taniec autentyczny. Wśród naszych widzów, nawet tych, którzy zachwycali się całym repertuarem Mojsiejewa, niemal wszyscy krytykowali jego krakowiaka, jako że nie miał ścisłej zgodności z naszym. W parkach Moskwy, w pawilonach tańców rozrywkowych widywałem takiego krakowiaka ściśle zgodnego z naszym, tańczonego między walcem a polką przez studentów i studentki, przez biurowców i biurowczynie, przez sklepowych sprzedawców i ich koleżanki. Krakowiak Mojsiejewa był w pewnej mierze inny od naszego, bo chciał być inny. Czyż nie miał on intencji wyższej ponad łatwą autentyczność? Czyż pyszny polot całości, wzmożony rozmach i pęd w dal, spotęgowana siła i szybkość nóg, kształtność i urok najbardziej reprezentatywnej tancerki — nie były taneczną pochwałą krakowskiego ludu i pionierskich myśli Krakowa? Ja wziąłbym tego krakowiaka za komplement.

Tańce salonowe, jakie zespół angielski dał w „Nokturnie", także były oparte na zasadzie przetwarzania w imię wyższej racji. Otrzymaliśmy hajlajfowy bukiet kwiatów, wprawianych w ruch skomplikowany, często nieprzejrzysty, więc dla oka nieco urywkowy, — trafny.

Przetworzenie tańca autentycznego szczególnej odmiany ukazała nam Ninetta de Valois w „Synu marnotrawnym", wprowadzając nauczyciela tańców. Gordon Hamilton podał go ze znakomitym kunsztem tanecznym i ze znakomitą charakterystyką, stroniącą od groteski nadużywanej w podobnych wypadkach, bo — łatwej. Skoki jego były wysokie i długie, jak przystało na nauczyciela tańca popisującego się swymi umiejętnościami, a przy tym miękkie i ciche, bo celowo akcentowały nauczycielską elegancję; skośne zawisanie w powietrzu i trzepotanie nogami ostentowało delikatność; a gdy nauczyciel tańca kończył naukę i siadał przy stole, układał się w lalkę. Kreacja Hamiltona była jednym z najwyższych osiągnięć repertuaru.

Przetwarzanie tańców autentycznych nasuwa sprawę, która w analogicznych postaciach nasuwać się będzie przy innych jeszcze przetwarzaniach tanecznych: jaki jest stosunek ruchów tanecznych do ruchów życiowych? Co z ruchów życiowych taniec artystyczny bierze, a co odrzuca? Co dodaje? I co to wszystko razem mówi o intencjach choreografa, o jego upodobaniach i ideach? Pytania takie zajmują umysł widza, podsuwają mu miłe prace, uspokajają nagrodami rozwiązań, radują ocenami chwalącymi. Daje więc taniec jeszcze jedno zadowolenie intelektualne. I urasta.

VI

Lat temu 24, w artykule „Sport a sztuka", wskazywałem na gry sportowe jako na rezerwuary ruchów, z których sztuka taneczna może czerpać dla siebie materiał; wskazywałem na to niezrażony faktem, że sławny Niżiński, gdy podjął próbę choreograficznego wykorzystania gry tenisowej, naraził się na wygwizdanie.

Zespół angielski sięgnął po te możliwości w „Łyżwiarzach". Kreację tę mogłem niestety oglądać tylko poprzez szczelinę muru, którym zgęszczeni widzowie odgrodzili mnie od mojego krzesła. Widziałem skrawki obrazów na skrawkach sceny, lecz to, co widziałem, świadczyło o słuszności pomysłów i wdzięku realizacji. Publiczność oklaskiwała „Łyżwiarzy" gorąco, a jeden z wybitnych aktorów Państwowego Teatru Polskiego nazwał tę kreację perełką angielskiego zespołu i zachwycał się wysoką techniką wykonania. Okazało się więc, że taniec artystyczny, gdy sięga po motywy sportowe, nie pudłuje.

Do sportu antycznego i nawet do sportowych rekwizytów sięgnął Parnell, gdy jako woźnica rydwanu w imaginowanym hipodromie popędzał imaginowane rumaki. Bezsporne piękno ruchów korpusu i bata stawało się — w miarę jak imaginowana jazda postępowała naprzód — coraz to nowym wyrazem zdążającego do celu współzawodnika. Wyraz stanów wewnętrznych woźnicy tworzył się — dzięki szczęśliwie wybranemu tematowi — wyłącznie z ruchów woźniczych, bez żadnych innych dodatków, więc z rzadką naturalnością. Otrzymaliśmy niezwykle udałe połączenie piękna plastyki z pięknem wyrazu. Były też w tej kreacji braki; pochodziły z losu osamotniałego tancerza, który — pozbawiony zespołu stałego, wyćwiczonego i licznego — zmuszony był działać

tylko jako solista, co nie pozwoliło mu rozwinąć świetnych możliwości tkwiących w temacie. Nie bez związku z tym tragiczny finał wypada jak sztuczny, krzykliwy, tani efekt.

Nie jest sportem żonglerka, ale zbliża się do niego zawartością życiową. Wydobył z niej Wójcikowski w swym sławnym „Kuglarzu" grę ruchów, które interesowały stosunkiem do ruchów kuglarskich, a fascynowały wyrazem.

VII

Mój utwór teatralny „Szósta! Szósta!" ma w części II introdukcję, która prowadzi do kreacji scenicznej bliskiej kreacjom baletowym. Rzecz dzieje się w wielkim zakładzie introligatorskim. Pracownicy zakładu dochodzą do tanecznej rytmizacji pod działaniem rytmu zakładowych maszyn, pod działaniem ruchu barwnych okładek książkowych, pod działaniem własnych, ściśle miarowych czynności, pod działaniem własnego nucenia, śpiewania. Ruchy pracy rodzą tu ze siebie ruchy taneczne. Mogło to się odbyć w utworze literackim, próbującym ująć myśli przez wykorzystanie praw artystycznego irrealizmu.

W kreacjach ściśle baletowych inaczej musi odbywać się wywód form tańca z form pracy. Podjął tę sprawę Mojsiejew. W „Bulbie" nawiązał do kopania ziemniaków. Stosunek ruchów tanecznych do ruchów pracy był jednak tylko zaznaczony: pochylone nad ziemią kobiety wykonywały wahadłowe ruchy ramion, to wszystko, a przecie z prac nad kopaniem ziemniaków można by wydobyć więcej interesujących form ruchowych. Nie było też w tej partii „Bulby" rozłożenia na grupy według funkcyj pracy, ale to już dlatego, że naruszałoby to jedną z głównych intencyj Mojsiejewa, dążącego do uzyskania piękna przez posługiwanie się j e d n y m ruchem z w i e l o k r o t n i o n y m: dwadzieścia czy trzydzieści osób wykonuje w danej chwili ten sam ruch, w tym samym tempie, często w tym samym kierunku. Jako myśl artystyczna nie jest to nowe, bo na tej samej zasadzie opierają się tańce girlsów, ale Mojsiejew wyzwolił miłą zasadę z frywolnej służby, jaką musi ona spełniać w różnych mjuzykholach i palededa nsach.

VIII

A oto: modły religijne. Jest w nich naturalne uzewnętrznianie stanów wewnętrznych poprzez korzenie się przed Bogiem, poprzez wyciąganie ramion ku Niemu, poprzez modlitewne składanie rąk.

Że sztuka choreograficzna może w tym znaleźć dla siebie wartości poważne, wyczuł to Parnell. W „Kuszeniu szatana" uwzględnił odruchy i ruchy kuszonego, oddalającego się od ducha zła, opędzającego się od niego, odżegnywującego się od niego i szukającego ratunku w Bogu, w modłach. Każdy krok, każde wyciągnięcie ramion dokonywało się między dwiema przyczynami ruchu i dwiema siłami duszy. Odruchy i ruchy życiowe uległy przetworzeniom kom-

pozycyjnym, które w sposób najbardziej naturalny były wyrazem przeżyć wewnętrznych, a jednocześnie zewnętrznym pięknem plastycznym. Dał Parnell świetne zespolenie piękna plastyki z pięknem wyrazu.

Ludy pierwotne, ludy antyczne wprowadziły taniec w obrzędy narodowe i religijne. Może taniec religijny Mongołów był dla Mojsiejewa punktem wyjścia przy komponowaniu „Mongolskiej statuetki"? Ale ci z nas, którzy mieli sposobność stwierdzić, ile odrębnych treści jest w tańcach azjatyckich, nie będą przypisywali statuetce ogólnie znanych i ogólnikowych motywów. Zadowolą się wrażeniami zewnętrznymi. I znajdą w kreacji Wiwy Pak niezwykły przejaw sztuki ruchów. Najściślejszy związek między ruchami a rytmami muzycznymi dawał rezultat zdumiewający: chwilami zdawało się, że to z tej statuetki wychodzą dźwięki, że jej palce strzelają dźwiękami, że tu nie muzyka rodzi ruchy, lecz ruchy muzykę. Lepszego wyniku statuetka osiągnąć nie mogła.

IX

A oto: smutki i cierpienia. Układają ludzkie ciała w kontury tak wyraziste, że opadłszy człowieka tworzą z niego... „tancerza".

Ten „taniec" życiowy uwzględnia choreografia angielska szeroko, bardzo szeroko, znamiennie szeroko. Nie zawsze z powodzeniem. „Cud w Gorbals" spartaczył sprawę; ani cierpienia dziewczyny przed samobójstwem, ani smutki współczującego otoczenia nie były ukształtowane przekonywająco. W „Dziejach marnotrawcy" przyniósł dom obłąkanych świetności Hamiltona, wykonawcy roli „jegomościa ze sznurem". Wysoki poziom osiągnęły wyrazy cierpień w „Scenach Dantejskich", w których szczęśliwie zużytkował Ashton niektóre myśli niemieckiego baletu sióstr Bodenwieser, przy czym jednak głębiej posługiwał się walorami przestrzeni.

W repertuarach sowieckich, które dotąd przesunęły się przez nasze sceny, cierpień nie było. Smutki osamotnienia, nieodłączne od kobiecych tańców solowych, miały w sobie wstrzemięźliwość wyrazu, jaką obserwujemy także w sowieckiej literaturze, i — jako wartość taneczna, jako wartość artystyczna — ginęły w zestawieniu z wspaniałymi formami, w jakie np. Ałła Szelest brała — radość. Wstrzemięźliwość była także w smutkach dziewcząt suity ukraińskiej: powolny chód, głowa nieco pochylona, wsparta o dłoń, i długie długie trwanie tej postawy i tego chodu. Ta długotrwałość zaczęłaby w pewnej chwili nudzić, gdybyśmy z niej nie korzystali dla przypatrywania się dziewczęcym twarzom, ale ta nudność miała swój sens: przeciągany ponad miarę czas trwania tego samego układu ciała i tego samego chodu odczuwaliśmy jako krytykę owych bezkresnych zadumań ukraińskich, w których występuje na jaw jałowy posiew niektórych ziaren tradycji. Zresztą Mojsiejew wniesie swą krytykę także w dalszy przebieg suity, wniesie ją pośrednio także w finał, który uczyni najbardziej żywym i dynamicznym spośród wszystkich swoich finałów. Tak to charakter kreacji tanecznej wiąże się z poglądem na świat.

X

To, co w stosunkach między mężczyzną a kobietą jest szukaniem się, współzawodnictwem, zdobyciem, utratą, pościgiem, odzyskaniem, to kształtowało tańce pierwotne i ich pochodne. Dla tych i pokrewnych motywów szuka taniec artystyczny ruchów nowych, takich, które by wyrażały przeżycia bardziej złożone w składnikach i bardziej zawiłe w przebiegach.

Zespół angielski przesunął przed nami różne rodzaje tanecznej miłości. Wytańczył uczucia delikatne jak westchnienie i pokorne jak błaganie, wytańczył dobroć i wierność serca, wytańczył wielkomiejskie flirty wśród fruwających jedwabi i fraków, nie cofnął się przed amorami w zaułkach portowych, nie pominął wrażeń sprzedawanych, nie pominął rozpusty, nie pominął nawet freudowskich kompleksów.

Ujęcie tematów różniło się znacznie naturą sposobów artystycznych, wśród których obok tańca w ścisłym znaczeniu słowa i obok ruchów rytmizowanych, wydobywanych tylko z chodu, współdziałały kompozycje inspirujące się obrazami malarskimi, a nawet kompozycje, które mogłyby znaleźć miejsce w dramacie słownym.

Tylko tańcem wyrażała się Margot Fonteyn jako kobieta zaczarowana w łabędzia, szukająca powrotu do człowieczeństwa w wielkiej miłości mężczyzny. Wyraz przeżyć nie wykraczał tu poza granice formy tanecznej, a jednak przeżycia podawał. Podawał je bez żadnego skurczu mięśni twarzowych, bez gestów dramatycznych, bez przeczuleń w układzie ciała. Gdy wspierała się plecami o księcia, była w niej słabość, ale i wiara w siłę swego działania, było w niej kuszenie, ale i prośba o pomoc, było w niej kochanie, ale i narzucanie zobowiązań. Gdy opadała, było w tym miłosne omdlenie, ale i niepokój o przyszłość. Gdy o świcie żegnała księcia i wracała na jezioro, oddalając się na palcach i skośnie wyciągając ramię, był w tym smutek pożegnania, ale i zapowiedź niechybnego powrotu, było w tym zapewnianie o trwałej miłości, ale i zaklinanie o dotrzymanie obietnic, było w tym czułe „pamiętam", ale i boleśnie poważne „pamiętaj"! To, że układem ciała wyrażała się tu wielość uczuć i myśli, dowodziło, ile wymowy może być w tańcu tańczonym przez wybitną artystkę. Jej taniec stawał się opowieścią, jej ciało mówiło. Mówiło tak, że działało nawet życiową fabułą uwięzionej na jeziorze kobiety. Rodziło się współczucie.

Świetnym tanecznym wyrazem błysnęła Julia Farron w „Dziejach marnotrawcy" jako porzucona dziewczyna, nie przestająca troszczyć się o los tego, który ją porzucił. Wyróżniał się „monolog" pod więzieniem. Doskonałą linią stóp i nóg, wznosząc się na palcach i drepcząc na nich zgrabnie a z charakterem, wyrażała tancerka dyskrecję i nieśmiałość, od których upór uczuć umie dojść do rezolutnych postanowień i działań, a wzniesione i załamane ramiona żaliły się, błagały i ufały, towarzysząc przy tym muzyce z odpowiedniością czujnie różnicowaną.

W jakiej mierze czynnikiem artystycznym może być chód bez połączenia z żadnym innym ruchem ciała, tego dowiódł Michael Somes. W ogóle w balecie angielskim rolę rozległą gra chód mężczyzn, wyodrębniony, a oparty na spokoju i elegancji. Ashton kończy „Nokturn" opustoszeniem sceny i solowym wymownym przejściem „widza" spod pierwszoplanowej kolumny nad balustradę w głębi sceny.

Malarskie intencje kierowały Ninettą de Valois, gdy w „Dziejach marnotrawcy" temat wina, śpiewu i kobiety rozwijała z myślą doprowadzenia go do finału wywodzącego się z obrazu Hogartha. Do tego finałowego obrazu malarskiego dochodzi gromadka biesiadników ruchami wolnymi od ścisłej rytmizacji, dochodzi do niego poprzez fazy, z których każda daje kompozycję interesującą, finezyjnie rozłożoną na grupy i ruchy wewnętrzno-grupowe, pulsującą życiem i rozmaitością, przerzucającą oczy widza z figury na figurę i ukazującą niemal w każdej chwili każdą figurę w innym ruchu lub w innej postawie. Godne zanotowania jest udatne wprowadzenie — w jedną czy dwie figury — otwartych ust jako niemej oznaki śpiewania. Realizacja Ninetty de Valois należy do najbardziej artystycznych w całym ukazanym nam repertuarze, należy też do wybitnych osiągnięć sztuki baletowej w ogóle. To, że choreografka inspirowała się Hogarthem, nie umniejsza wcale jej zasług, bo tkwią one bardziej w d o j ś c i u do finałowego obrazu, niż w samym finałowym obrazie.

Dramatowy jest wyraz, jaki „Cud w Gorbals"' narzuca miłości strażnika porządku publicznego. Postać tego strażnika jest początkowo jakby w drewnie wykrojoną figurą, jednobarwnie zapokostowaną na brązowo, płaską i ustawiającą się płasko, — jest jakby figurą reklamową. John Hart wydobył te rysy ekspresyjnie. Lecz oto ten strażnik z drewna zapada w miłość do prostytutki. Opanowany żądzą, błagalnie wyciąga ku niej ramiona, czepia się jej ciała, sięga po jego powaby, klęka, korzy się. Nie ma w tym już ani tańca, ani rytmizacji ruchów, ani nawet kompozycji plastycznej, jest to jakby niema partia dramatu słownego, w której chodzi t y l k o o charakter ruchów, mający ujawnić przeżycie wewnętrzne. Pomijając nieznośną przesadę, jaką ta partia narzuca wykonawcy, trzeba wystąpić z zastrzeżeniem zasadniczym: tutaj przekroczono granice sztuki baletowej; w kreację choreograficzną wtargnęła gra, której bezsłowność jest tylko wyrzekaniem się słowa, a nie jego przetwarzaniem na ruchy. Choreograf nie wzbudził tu nawet tego zainteresowania, jakie pojawia się czasem przy przekroczeniach granicy baletowej, gdy interesują one jak wymyślne wywody podawane na poparcie mylnych twierdzeń.

W swym stosunku do kobiety strażnik porządku publicznego jest krzykiem o znaczeniu ogólniejszym. W repertuarze baletu angielskiego wszechwładnie panuje Eros, podnosi miłość do najwyższej rangi życia, rzuca mężczyznę do stóp kobiety, korzy go przed nią, osłabia go nią, każe mu niszczyć się dla niej.

Inaczej ujmuje mężczyzn i kobiety choreografia sowiecka. Kobieta jest tu tylko jednym z uroków świata, jedną z ponęt życia, ale nie przynosi mężczyźnie nieszczęść, nie zadaje bólu, nie niszczy go, przeciwnie: oznacza dopełnienie, wzbogacenie, radosne dary owocnego życia.

W tańcach sowieckich kobiecość nie narzuca się nawet jako pokusa. W tańcu bucharskim ukazał nam Mojsiejew kobietę tańczącą przy brzękach tamburynów („dojrach"), w które uderzają palcami dwaj grajkowie, podniecający tancerkę do coraz to nowych ewolucyj tanecznych. Ci dwaj grajkowie są głosem mężczyzn, reprezentują domniemanych widzów i ich lubieżne oczekiwania. Od czasu do czasu uśmiechają się obiecująco i jak gdyby podszeptują tancerce, że nadeszła chwila spełnienia oczekiwań. Spełnienia te symbolizuje urocza Tamara Zejfert nieznaczną grą piersi i poświęca jej... trzy sekundy swego tańca. W tańcu dżungarskim, w którym występuje grupa trzech tancerzy, przypada centralnemu rola wprawiania ciała w stan nieprzerwanych drgań, których charakter wzmacniają ruchy wyciągniętych poziomo ramion; dwaj inni tancerze — pod wrażeniem tamtego — krążą wokół wpół pochyleni, oglądają go i popadają w bójkę. Wiele wskazuje na to, że w tańcu autentycznym postacią centralną jest lub była kobieta, i że Mojsiejew zastąpił ją mężczyzną. Gdyby tak było, byłby to interesujący przykład oderwania artystycznej kreacji tanecznej od erotycznej treści tańca autentycznego.

Znamiennie kształtuje Mojsiejew wzajemny stosunek mężczyzn i kobiet w kreacjach osnutych na motywach rosyjskich, ukraińskich i białoruskich. Mężczyźni są tu czynnikiem górującym, po ich stronie są przymioty człowieka działającego, więc nie tylko siła, która, podnosząc wybraną kobietę, pozwala jej jaśnieć urokami, ale także zwycięska zdolność pokonywania przeszkód i niezachwiana pewność siebie. To wcale nie przypadek, że w którejś ze suit, gdy mężczyźni wkroczyli na scenę krokiem dumy czy nawet pychy, jeden z nich — „najdzielniejszy" — przeskakuje ponad głowami zebranego tłumu kobiet i mężczyzn. Skok ten to przenośnia ogólnego górowania, z jakim ten człowiek kroczy przez życie, więc i przez miłość.

Uwzględnia Mojsiejew w stosunkach między mężczyznami a kobietami także walkę, widząc w niej składnik życia. Dwóch chłopców gotowych do bójki z trzecim, jeśli nie o kobietę, to na tle podniecającej obecności kobiet, ustawia w pozie bójkowej wywodzącej się z obserwacji, mocnej w charakterze, a świetnie uformowanej: jedna noga przygięta, druga wyciągnięta naprzód, głowa ułożona śledząco, ślepia utkwione w przeciwnika, — rozpęd do skoku, decyzja podjęcia walki, groźba. Walkę kobiet przedstawił Mojsiejew żartobliwie jako kłótliwy dialog... obcasów. Kłócące się kobiety skaczą przed sobą, wystukując swe pretensje obcasami. Zmienna rytmika i zmienne natężenie obcasowych stuków przezabawnie naśladują gadulskie pytlowanie.

Klasyczny balet sowiecki mieliśmy dotąd sposobność oglądać tylko we fragmentach, ale i one — gdy były duetami mężczyzny i kobiety — czyniły wrażenie przeciwstawiania się motywom tanecznym, poddającym mężczyznę niszczycielskiemu działaniu kobiety.

W opowieści o myśliwym mężczyzna kończy polowanie zwycięsko: kobieta zwisa z jego barku jak wspaniały ptak i stanowi zwycięskie trofeum, zdobiące korpus dzielnego bojownika. Taka była istota opowieści — jeśli dwa lata, które upłynęły od spektaklu, nie naruszyły czegoś w mej pamięci. Mielibyśmy

więc tutaj znowu zwycięstwo przymiotów męskich, zwycięstwo celnego działania, zwycięstwo opanowania rzemiosła walki. Zwycięża tu mężczyzna nie dlatego, że jest mężczyzną, lecz dlatego, że natura złożyła w nim przywileje działalności bojowej, a kobieta jest nie samą kobietą, lecz symbolem nagród życia, symbolem piękna, radości, wypoczynku po walce.

Drugi duet baletowy, jaki mieliśmy możność oglądać, zawierał jeszcze ciekawsze przenośnie. Czy pamiętacie poziomy skok tancerki, wychodzący ze znacznej odległości od tancerza, a zakończony ułożeniem się na jego udzie? Czymżeż to jest jako przenośnia? Może nie czym innym, jak ochoczym przybieganiem z daleka — do tego, który oczarował, wzbudził podziw, zdobył. Może nie czym innym, jak oddaniem się pragnieniom i celom zdobywcy. Ale finałowy moment duetu zmienia nagle wzajemny stosunek kobiety i mężczyzny. Przez chwilę widzimy tancerkę dokoła głowy tancerza. A on? Ha, ruchem gwałtownym i imponująco zręcznym zdziera ją błyskawicznie z miejsca, które zajęła, i strąca na ziemię. Tą błyskawicą kończy się duet. Cóż to znaczy jako przenośnia? Chyba to, że kobieta, która by zapragnęła całkowicie opanować głowę mężczyzny, która by zapragnęła usiąść na jego myślach, zamysłach, dążeniach, będzie stamtąd spędzona błyskawicą gniewu i kary.

Artystyczna realizacja owych momentów duetowych dosięgała arcymistrzostwa. Dwa lata minęły od czasu, kiedy widziałem duet myśliwski, nie pamiętam już nazwisk tancerzy, a jeszcze dokładnie tkwi mi w pamięci piękno kompozycji, jaką tworzyła artystka zwisająca z barku artysty, z głową opadłą w dół — ptak wspaniały, upolowany i niesiony przez myśliwego jako łup-ozdoba. Znakomicie ukierunkowane nogi i ręce tworzyły z ciałem tancerza rzeźbę bardzo złożoną w formie, a ściśle powiązaną w szczegółach, rzeźbę jakby zdjętą z pomnika, na którym mistrzowsko działająca myśl rzeźbiarza umieściła alegorię bogatą w sugestie treściowe, a plastycznie doskonałą. Tę rzeźbę tancerską mogło stworzyć tylko niezwykłe wyrobienie ciała, tylko najwyższa technika cielesnego ruchu.

A w drugim duecie ów skok Struczkowej, zaczynający się w wielkiej odległości od Łopauriego, a kończący się na jego udzie — jakaż w tym była słodycz linii. I ile techniki skoku. A owo strącenie kobiety, która zamarzyła o opanowaniu głowy mężczyzny... Linia, na której dokonała się kara kobiety, miała w sobie piękno zachwycające, oryginalność godną podziwu, a przy tym arcymistrzostwo w wykonaniu jednego z najtrudniejszych chyba zadań, jakie może podjąć sztuka taneczna, zadania polegającego na tym, żeby w ruchu sekundowym dać przelot tancerki wokół głowy tancerza, i przelot ten — bez żadnych przejść — przedłużyć w upadek na ziemię.

Gdy zestawiamy choreografię angielską ze sowiecką, dochodzimy do przekonania, że to nie tylko dwie różne koncepcje tańca, to dwie różne koncepcje życia.

XI

Takie osiągnięcia kunsztu tanecznego jak te, o których dopiero co mówiłem, zaliczało wielu naszych widzów — pomyślcie! — do akrobatyki. Działo się tak nie tylko dlatego, że nie pojęli ich głębszego sensu i piękna, ale i dlatego, że najwyższa technika taneczna działa na nich jak coś, co oślepia, więc nie olśniewa.

Nasi widzowie i słuchacze nie są niewrażliwi na wysokie osiągnięcia techniki artystycznej; świadczą o tym rzęsiste oklaski, jakimi darzą np. tancerza za wielokrotne obroty na jednej nodze, lub śpiewaka czy śpiewaczkę, gdy kończą śpiew tonem ciągnionym długo i czysto. W tych wypadkach doceniają walor techniczny, bo można go niemal odliczyć ilością obrotów lub ilością sekund. Mniej uchwytny jest on dla nich w osiągnięciach bardziej złożonych, a już zupełnie nie zastanawiają się nad sensem tych osiągnięć, nad funkcją artystyczną, jaką one spełniają.

Im wyższa sprawność taneczna, tym bardziej złożone i rozmaite może być plastyczne piękno kompozycji tanecznych, tym ściślejszy może być związek między rozwijaniem się kompozycji tanecznych a rozwijaniem się utworu muzycznego, tym bardziej złożone, rozmaite, wnikliwe i umuzycznione mogą być przenośnie taneczne. Gdy tancerka spoczywająca na palcach jednej nogi podnosi drugą, wiele zależy od wysokości, do jakiej podnieść ją potrafi, bo zależy od niej zarówno ilość i jakość linijnych kierunków, jakie ona sama może uzyskać, jak i ilość i jakość tych, z jakimi jej partner może dokomponować do niej swe postawy. Stopień gibkości, zwinności, szybkości decyduje o stopniu, w jakim tancerz czy tancerka mogą przenosić na swe ciało zmiany zachodzące w utworze muzycznym. Im więcej można z ciała wydobyć, tym więcej można nim powiedzieć.

Malarz francuski Degas mawiał: „Jeśli masz talentu za 100 franków, dokup go sobie jeszcze za 25 centimów". Innymi słowy: ile byś miał talentu, zawsze staraj się powiększyć go jeszcze trochę. To nie przypadek, że pogląd taki wypowiedział właśnie Degas, malarz baletnic. Przy ich studiowaniu mógł obserwować, jak ciało tancerskie — poprzez drobne, w męce osiągane i przezkraczane wyniki — uzyskiwało znaczne ulepszenia artystyczne. Związek ten znaczy szczególnie wiele u wybitnych artystów i artystek tańca. Każda przekroczona wysokość lub długość skoków, każdy powiększony kąt podniesienia nogi, każda sekunda zdobyta dla zawisania powietrznego, każda nowa komplikacja, jaką udaje się tancerzowi wnieść w manewrowanie tancerką — umożliwia wzbogacenie tańca i pogłębienie go. Gdy tancerze rozszerzają swe możliwości techniczne, rozszerzają swe możliwości artystyczne. Dążenie do takiego rozszerzenia jest namiętnością prawdziwych artystów.

Farmanianc unosi się w powietrzu, jakby niesiony wichrem. Nie jest to tylko wyczyn skoczka. Jest w tym rzadkość i piękno linii, ale na pewno jest w tym także sens wyrazu, co do którego możemy snuć tylko domysły, bo nie znamy utworu baletowego, z którego ów skok pochodzi. Dwa lata temu

kreowała u nas tancerka sowiecka „Śmierć łabędzia“ — i w największej sali teatralnej Krakowa, wypełnionej do ostatniego miejsca, zebrała oklaski tylko grzecznościowe. A przecie była to kreacja wielka. To umierał człowiek-ptak, kobieta-łabędzica; dokonywało się połączenie, na którym opiera się istota opowieści; w kompozycjach ciała zespoliły się dwa istotne składniki zaczarowanej kobiety. Taniec jako wyraz otrzymał tu wcielenie nieprześcignione. A przy tym — dzięki najwyższemu stopniowi techniki — piękno formy miało nowość niezwykłą, było z rzędu budzących podziw rzadkości. Przedśmiertny niedowład, a równocześnie wola pokonania go, wyrażone niezwykłym ukształtowaniem pozostałej w tyle nogi... I te drżenia!... I to łamanie się ciała... I ten finał, to powalenie się łabędziej królowy, kobiece i ptasie zarazem... Wspaniałe to było wymyślnością kształtów, i pięknem kształtów, i mową kształtów. Nic bardziej wnikliwego sztuka taneczna dać nie może. Prawda, że „Śmierć łabędzia“ ma w Rosji tradycję siedemdziesięcioletnią, ale mnie chodzi tu nie o indywidualne zasługi tancerki, lecz o zasługi kreacji. Widziałem ją trzydzieści lat temu w wykonaniu sławnej Karsawiny, nie pamiętam już jej ujęć szczegółowo, w pamięci odnajduję tylko wzruszenia, a te — gatunkiem, nie natężeniem — zdają się wskazywać na to, że Karsawina intensywniej wydobywała na jaw wewnętrzne cierpienia. Jeśli nie myli mnie to, co przechowała moja pamięć, ani wniosek, jaki z tego wyciągnąłem, można by powiedzieć, że sowiecka sztuka baletowa, choć wywodzi się z tradycji przedsowieckiej, bynajmniej nie jest tylko jej kontynuacją; przejawia się to choćby w tym, że w wyrażanie uczuć osobistych wnosi wstrzemięźliwość analogiczną do tej, jaką realizuje sowiecka literatura.

XII

Nie oglądaliśmy dotąd sowieckiego utworu baletowego w całości, nie wiemy, jak choreografowie sowieccy traktują fabułę opowieściową, jakimi środkami czynią ją widzowi zrozumiałą, jak rozwiązują kwestię dialogu. Suity Mojsiejewa, jako utwory szczególnego rodzaju, nie mogą dać nam odpowiedzi.

Zespół angielski przywiózł nam w swym repertuarze kilka pełnych opowieści baletowych: „Dzieje marnotrawcy“, „Cud w Gorbals“, „Nokturn“, „Sceny Dantejskie“, „Hamleta“, oraz sporą część „Łabędziego jeziora“. Problem całości baletowej otrzymuje w każdej z tych kreacji rozwiązanie odmienne; choreografowie angielscy chcą wydobyć wszystkie możliwości tkwiące w ich sztuce, i za to należy im się uznanie.

Rozwiązanie najstarsze obserwowaliśmy w „Łabędzim jeziorze“. Pochodzi ono od Diagilewa, rosyjskiego choreografa czasów przedsowieckich, w którym balet angielski wielbi swego mistrza. Rozwiązanie to budzi w nas dzisiaj zastrzeżenia zasadnicze: razi nas nadmierna troska o ciągłość akcji, razi nas nałóg informatorski posuwający się aż do sięgania po środki pantomimy, aż do sięgania po dialog mimiczny; opieramy im się, bo czujemy, że przekraczają

one granice sztuki tanecznej. Przedsowiecki balet rosyjski zdobył sukcesy w atmosferze pierwszych sukcesów artystycznych filmu niemego; w tych to latach kinematografia francuska podniosła autorytet ekranu przez pozyskanie dla siebie najsławniejszych aktorów teatru francuskiego; w tych to latach Asta Nielsen inwencją i sugestywną siłą odwracała uwagę widzów od nieznośnych zniekształceń, jakim ulegały sprawy człowiecze przeciągające po białym płótnie; mimiczne sposoby wypowiadania człowieka i oparta na nich ciągłość akcji otrzymały uświęcenie artystyczne, weszły w skład artystycznych konwencji. Dramat niemy wraz ze swymi umownymi przywilejami wkroczył zwycięsko w świat sztuki. Doszło do tego, że reżyser tak wielkiej miary jak Maks Reinhardt pokusił się o uartystycznienie pantomimy, której jedynym przybytkiem były w owym czasie cyrki, i wcielił swe idee w „Sumurun" i „Cud", które uzyskały rozgłos światowy. Ówczesny balet rosyjski, znakomity techniką tancerską, nowatorski w formach tanecznych i nowatorski w posługiwaniu się malarstwem, stał się jedną z artystycznych sensacji Europy, stał się pionierem odrodzenia sztuki baletowej grzęznącej w rutyniarstwie; nie przeszkadzał mu jego dramat niemy, bo znajdował obronę w nowych konwencjach, które niósł ze sobą ó w c z e ś n y film niemy. Ale sens konwencji artystycznych polega na tym, że umownie zgadzamy się na nieprawdy, gdy są warunkiem ukazywania się myśli ważnych, wielkich, nowych. Wybredni nie mogli pogodzić się z mimicznym przekazywaniem informacyj czy relacyj, z mimicznym opisywaniem przeżyć wewnętrznych, bo nieprawdy, zniekształcenia, okaleczenia, jakim ulegały sprawy ludzkie w takim filmie niemym, były niedopuszczalnie wysoką opłatą za nikłą wartość uwarunkowanych nimi myśli. I ci wybredni zwyciężyli. Film niemy wszedł na drogę nowych poszukiwań, w których chodziło o to, aby dialogi mimiczne ograniczyć do urywków, pokrewnych starciom mimicznym, jakie zna rzeczywistość życiowa, takie zaś ograniczenie wymagało nowego sposobu budowania akcji fabularnej. Gdy film niemy osiągnął w tych poszukiwaniach wyniki dodatnie, wszystko, co w sztuce baletowej trąciło pantomimą, odczuwane było jako anachronizm.

Balet angielski nie zatrzymał się na etapie Diagilewa. Upatrzywszy sobie koleje marnotrawcy, wybrała Ninetta de Valois temat, który dał jej możność zbudowania fabuły na kilku krótkich odsłonach, z których każda już samym urządzeniem sceny informuje o charakterze każdego etapu akcji, przy czym działania figur są takiej natury, że dialogów nie wymagają lub porozumiewanie się mogą załatwiać naturalnymi ruchami niemymi, pokrewnymi tym, jakimi posługujemy się w niektórych sytuacjach naszego życia codziennego. Z trudności, jakie tkwią w niefortunnej fabule „Cudu w Gorbals", nie udaje się Robertowi Helpmanowi wybrnąć nawet w niektórych partiach niemych z natury. Zasługuje jednak na uznanie wciągnięcie współczesnego miasta czy miasteczka w obręb choreografii. Coś z tego jest także w „Nokturnie" Fredericka Ashtona, usytuowanym w wielkomiejskiej nocy Paryża, z tą jednak korzystną różnicą, że w „Nokturnie" prosta i ograniczona do minimum fabuła sprzyja całości. Omawiam tu tylko b u d o w ę, a nie wartość szczegółów.

Budową fabuły zajęli miejsca odrębne Ashton w „Scenach Dantejskich" i Helpman w „Hamlecie". Złożyło się szczęśliwie, że „Scenom Dantejskim" przypatrywałem się nie znając komentarza podanego w angielskiej publikacji. Ulegałem wrażeniom, jakie szły od sceny. Z przejmująco komponowanych ciał nie trudno było wnosić, że reprezentują one dręczonych, a z postaw i działań innych figur, że reprezentują dręczycieli. Kim są jedni, kim drudzy? Co pewien czas pojawiały się inne skojarzenia obraziane i zgłaszała się inna odpowiedź. Nie szkodziło to wzruszeniom. Były silne.

Wieloznaczność, jaką miały dla mnie „Sceny Dantejskie", pochodziła w wielkiej mierze z ich budowy, dającej tylko urywki jakiejś fabuły, tylko luźne sceny, a eliminującej to, co fabule nadaje ciągłość. W tej urywkowości, w tej luźności, w tym lekceważeniu ciągłości jest coś z wyrzutni, jaką posługują się niektóre utwory poezji awangardowej. Zalety takiego układania tematu objawiły się we wzruszeniach widzów z przemożną siłą.

Wieloznaczność kreacji choreograficznej może nawet być zaletą zasadniczą, bo może być zbliżeniem do syntetyczności, jaką rozporządza muzyka. Warto zdać sobie sprawę ze syntez muzycznych. Gdy w jakimś utworze muzycznym rozbrzmiewa wzburzona orkiestra, nasza wyobraźnia reaguje na nią — choćby tylko w pewnych chwilach — tworami obrazianymi, w których może być np. albo burza nad łąkami, lasami, morzami, albo burza tłumów czy wojsk, albo burza jednostki, albo burza w jednostce. Ale są też utwory muzyczne, przy których słuchaniu wzburzona orkiestra rodzi w nas twory obraziane, zawierające i burzę w krajobrazie, i burzę ludzkich gromad, i burzliwe wylewy jednostki na zewnątrz, i jej burzenie się wewnętrzne. Nadużywane słowo „synteza" ma właśnie w odniesieniu do muzyki pełnię swego znaczenia. Podobnie to, co nieraz odczuwamy jako walkę czy konflikt między dwoma tematami muzycznymi, może zawrzeć w sobie syntetyczne myśli o wszystkich walkach, a przynajmniej o tych wszystkich, z którymi współbije serce muzyka lub słuchacza. Otóż „Sceny Dantejskie" miały w sobie coś z syntez muzycznych. I wzmacniało to moje wrażenia.

Utrzymały one swe natężenie po spektaklu i po wszystkich występach angielskiego zespołu. Także wielu innym podobały się — jako artystyczna koncepcja budowy — najbardziej. Podobały się najbardziej także Swinarskiemu, który dodawał jeszcze, że nie może zdać sobie sprawy, dlaczego. Po upływie kilku dni zaszedł do mnie z miną żałosną, oświadczając, że publikacja angielska przypisuje „Scenom Dantejskim" jakąś bardzo przykrą tendencję polityczną, i — z powołaniem się na Eurypidesa — biadał, że niedobrze jest, gdy człowiek wie za wiele. Ponieważ jestem zdania odmiennego, postanowiłem dowiedzieć się, co też to owa publikacja mówi, i dowiedziałem się, że utwór ten stworzył Ashton na początku wojny w nastroju gwałtownego oburzenia, że zawarł w nim serdeczny protest przeciw zagrabieniu Polski, że ukazuje w nim walkę między siłami dobra i zła, i że walkę tę kończy pełnym goryczy finałem, w którym jedne i drugie poddane są ukrzyżowaniu, i to nawet gdy tryumfuje

dobro. Niejasne, niejasne. Cokolwiek miałoby to znaczyć, później poznany komentarz nie może zmienić faktu, jakim były moje wrażenia poprzednie.

A czyż z tych wrażeń — które swym zabarwieniem dodatnim schodziły się z wrażeniami innych widzów — nie można wyciągnąć pożytecznych wskazań artystycznych? Gdyby nawet historiozofia choreografa, choć serdeczna i pełna goryczy, powodowała w nas gniew, to i tak nie możemy nie widzieć, że swej idei nie zrealizował, to zaś, co przesunął przed nami, miało w sobie tak cenne walory, jak urywkowość budowy i syntetyczność zawartości, i tymi walorami może korzystnie pobudzić chereograficzne poszukiwania.

No i: tańczony Hamlet! Słuszniej: tańczony sen Hamleta. Jeszcze słuszniej: tańczony freudyzm. Freudowska interpretacja szekspirowskiej psychologii, maniacka w wywodach naukowych, ześlizguje się w absurdalność w ujęciach tanecznych. A jednak i w tym wypadku musimy oddzielić zamysł choreografa od jego dzieła, freudyzm od tego, co jest obok niego, Ofelię od nieznanej nam dziewczyny świetnie wytańczonej przez Margot Fonteyn, i Hamleta od nieznanego nam mężczyzny, ekspresyjnie wyrażonego urodą, twarzą i chodem Michaela Somesa. A przede wszystkim musimy ściśle oddzielić liczne nieznośne szczegóły od wartościowej budowy całości. Bo podjęcie tematu snu ukazało zalety, które mogą przydać się przy traktowaniu tematu jawy. Wykluczenie ciągłości akcji, rwanie się działań, szybkość i rozmaitość zdarzeń, swoboda ich przebiegu, zaciekawiające związki między nimi, frapująca zmienność sytuacji — to są nowe uroki, które freudyzujący Helpman wniósł na scenę baletową przedzierając się przez widziadła senne, lecz które mogłyby otrzymać prawo obywatelstwa także w kreacjach choreograficznych opartych na tematach jawy.

XIII

Uspokajam:

Takie czy inne odnowienia sztuki tanecznej nie mogą mieć pretensji do praw wyłączności. Wystarczy, jeśli — uprzejmie zająwszy miejsce obok ujęć dawnych — zaświadczą o bujnych, pięknych, mądrych możliwościach choreografii.

Nie wiadomo które z ujęć, dotychczasowe czy odnowione, będą silniej działały na widzów, nie ulega jednak wątpliwości, że słabiej działające będą wsparciem działających silniej. Patrząc na tancerzy wykonujących równocześnie te same ruchy poświęcamy najwięcej uwagi temu, który wykonuje je najlepiej, ale przerzucamy też oczy na innych, aby porównaniem tuczyła się radość, jaką nam daje najlepszy.

Warszawa, wrzesień 1947.

POEZJA OFLAGU II C

Oflag II C

Na niewielkim wzgórzu kilkadziesiąt baraków. Opodal las-park, przez który wiedzie aleja do kilkutysięcznego miasteczka Woldenberg. Z obozu widać jego czerwone dachy. Jest tam stacja kolejowa, są więc i dymy z parowozów. Kiedy pociąg idzie w stronę Polski, wtedy dzięki tym dymom układającym się w szybko przemijający poziomy obłok można szczególnie długo śledzić jego drogę wśród pól i lasów pomorskich. Wokoło rozległy krajobraz, pięknie sfalowany. Domy wiosek, linie dróg wypunktowanych drzewami, opary nad miejscem, gdzie są jeziora. I ciągle na widnokręgu lasy: Na pewnym odcinku są to już podobno lasy polskie. Za naszą granicą z 1939 roku.

Woldenberg na pruskim Pomorzu, kilkadziesiąt kilometrów od Krzyża.

Dziś Dobiegniewo w głębi Polski, jakieś sto kilometrów od granicy na Odrze.

Byli w obozie tacy, którzy Woldenberg w roku 1940 czy 1942 z uporem maniaków nazywali Dobiegniewem. Pamiętam, nawet na różnych ogłoszeniach (np. wykładów) umieszczali nazwę: DOBIEGNIEWO, 22 kwietnia 1941 r. — na przykład, a dalej tekst.

I stało się. Dziś na miejsce obozu opuszczonego i opustoszałego zajeżdżają samochody. Przywozi się rodziny, żeby obejrzały, jak żyliśmy. Teraz jest tam pustka i zniszczenie. Ale wtedy...

Wtedy kwitło tam życie aż do pisania poezji włącznie. I nie tylko wierszy. Pisałem o innych aspektach artystycznego życia obozu swego czasu w „Odrodzeniu" („Mały jeniecki teatr"). Dziś chodzi tylko o informacje do załączonych tu utworów poetyckich, będących wyrazem tych lat spędzonych przez kilka tysięcy ludzi na malutkim skrawku ziemi pomorskiej.

Jeśli chodzi o pisanie wierszy, to zaczęło się ono niemal od pierwszej chwili niewoli. Z tego okresu pochodzą znane szeroko wiersze Andrzeja Nowickiego „Moja Ojczyzna", czy „Kriegsgefangenenpost". Były też i inne wiersze, jak widać z załączonego wyboru. Obóz w Woldenbergu powstał dopiero w lecie 1940 roku, i ludzie przywieźli już ze sobą to i owo. Ale pozostałe kilka lat pozwoliło się rozwinąć młodym talentom, znaleźć środki własnego wyrazu,

uświadomić sobie swoje możliwości. Intensywne lektury, urządzane odczyty i poranki recytacyjne przyczyniły się do spotęgowania zainteresowań poezją: twórców przynaglając do pracy, słuchaczy bezustannie podniecając do konsumcji. Były okresy i byli ludzie, dla których słuchanie poezji stanowiło duże przeżycie. Odnajdywali w niej to wszystko, czego pozbawiła ich klęska wrześniowa i długotrwała wojna. Żebyż tak dziś w Wolnej Ojczyźnie interesowano się poezją, nie przeżywalibyśmy jej kryzysu, spadku nakładów, smutnej doli liryki polskiej — zaniedbania i poniechania.

W tym więc klimacie dużego zainteresowania poezją rozwijała się twórczość Oflagu II C. W latach 1942/44 osiągnęła ona szczególną intensywność. Pierwszym jej wyrazem zewnętrznym na szerszą skalę było powstanie grupy poetyckiej „Zaułek" i wydawanie pod tym samym tytułem zeszytów poetyckich. Wyszło ich parę. Wiersze w kilkudziesięciu egzemplarzach przepisywano ręcznie, każdy autor miał swoją winietę ciętą w klocku. Fanatycy-zbieracze troskliwie przechowywali później te nieliczne egzemplarze — dowody troskliwej obecności Muz w obozie. Następnym — był ogłoszony z racji roku olimpijskiego (1944) i z okazji wielkich zawodów obozowych konkurs na wiersz sportowy, który przyniósł kilka pięknych wyników. Pierwszą nagrodę uzyskała „Modlitwa olimpijska" Jana Knothe, drugą — „Pieśń o trampie" Edwarda Fiszera i trzecią „Łuczniczka" Władysława Milczarka, nie licząc jeszcze kilku wyróżniających się, jak chociażby tegoż Jana Knothe „Opowieść o łuczniku arcychanowym" lub znane skądinąd wiersze Andrzeja Nowickiego.

Najwybitniejszym przecież osiągnięciem, nieobojętnym również i dla współczesnej poezji polskiej, jest parafraza „Ramajany" dokonana przez Jana Knothe (około 5.000 wierszy) i ozdobiona przezeń kilkudziesięciu kolorowymi planszami. Niestety cała ta praca ulega odtworzeniu, bo w ciężkich warunkach ewakuacyjnych zagubiła się. Należy jednak mieć nadzieję, że dzięki fenomenalnej pamięci autora większość tekstu nie zostanie utracona na zawsze, jak również i plansze, nad którymi zaraz po powrocie Jan Knothe (należy on do grupy najzdolniejszych młodych polskich architektów) zaczął pracować. Parafraza „Ramajany" Knothego była napisana i zilustrowana z rzadkim wyczuciem tego specyficznego baroku indyjskiego, uroczej zawiłości jego linii i myśli. Długie miesiące autor jej, skulony na łóżku (bo tylko tam można było odizolować się trochę od barakowego harmideru), odtaiwał w przegrzanym klimacie indyjskiego poematu, pokonując trudności jenieckich jesieni, zim i wczesnych wiosen, monotonię nudy i beznadziejności jenieckiego bytu.

Podobnie jak Knothe, Edward Fiszer rozpoczął swą poetycką karierę dopiero w obozie (przed wojną drukował zaledwie drobiazgi). Poza liryką uprawiał dramat, napisał parę sztuk do jenieckiego teatru: „Pan Twardowski", „Hotel ludzi dobrej woli" i „Janosika" (tego nie wystawiono), oraz do teatru kukiełek „Śliczną krakowiankę". Jest też autorem popularnej w kraju piosenki wojskowej „Ania" (pierwsza nagroda na konkursie obozowym w 1941 r.). U Fiszera uderza siła bezpośredniego liryzmu, ukształtowana w prostym i bardzo plastycznym języku. Objaw dużej przede wszystkim spontaniczności, po-

wołanej do istnienia silnym przeżyciem. Poczucie humoru i skłonności satyryczne.

Spośród poetów drukujących się już przed wojną należy wymienić Władysława Milczarka, autora paru tomików wierszy wydanych regionalnie na Wołyniu, skąd i sam autor, syn tamtejszego chłopa spod Równego, pochodzi. Jest on przykładem artysty szczególnie wrażliwego na barwę, zapach, dźwięk. Jego sielskie liryki należą do najpiękniejszych pod względem prostoty sformułowań i bezpośredniości uczucia. Szczególnie zwraca uwagę poczucie koloru i umiejętne przy jego pomocy budowanie wiersza. Równie silne jak u poprzednich reagowanie na aktualne przeżycia historycznych wydarzeń.

Andrzej Nowicki, znany przed wojną w Warszawie satyryk, tylko dlatego nie został tu pomieszczony, że swoje wiersze obozowe wydał już dwa lata temu w osobnym tomie pt. „Podróż do Świętej Ziemi" nakładem „Czytelnika".

Piszący te słowa dołączył tutaj tę część swych wierszy napisanych w obozie, które przeleżały jeszcze dotąd w teczce „nietknięte drukiem".

Stefan Flukowski

JAN KNOTHE

OLIMPIJSKA MODLITWA

Gdy wielkie święto pobratań ogłoszą ludom i ziemiom,
stańcie — o mocni Bogowie — w boskim splendorze nade mną.

Dajcie mi płynność oliwy — kształt ciała mego na kamień
trwaniem darzący posągi, Kronidzie Nadchmurny, zamień!

Niechaj mi serce umocnią — tors kują wszechmocnym dłutem
panowie Chmur Olimpijskich — Parnaskich forming i luteń.

Bym progów amfiteatru, owianych w dym całopaleń,
nie żegnał okiem spuszczonym, ugięty wstydem i żalem!

Niech krew się w żyłach rozpienia, jak w zacnym zaczynie drożdże —
Niech stopom wiatry zazdroszczą — ptaki zawstydza mój oszczep!

Oby nikt nie śmiał powiadać, jakom się niedość odwdzięczył
zielonym drzewom, haracze z liści dającym na wieńce.

Nie, żeby niebo oszczepom, a nogom podległa ziemia
żyźniejsze przyniosła plony, zorana gorączką przemian.

Nie, iżby wstała Jutrzenka Złotoramienna ponad nią
i gromkim echem zwycięstwa odbrzmiewał kamienny stadion.

Nie przeto, że mnie nagrodzą, kiedy opuszczę szranki,
najczulszym pocałowaniem wiśniowe wargi kochanki.

Nie, by mi dobry przeciwnik w podziwie głodnym zawiścił
najdoskonalszej harmonii z zielenią laurowych liści.

Na to mi triumf potrzebny, ażebym na przekór śmierci
śmiertelnie przelotne piękno na wieki wieczne utwierdził.

Krwią natchnę marmur i pieśni! modlitwą — Panie — nie skłamięć!
Wygodzi dumie chwalebnej latami dźwięcząca pamięć!

...By czas, burzyciel posągów, świętego lauru nie doścignął,
iżby mi dana została wieczysta chwała młodości!

Z CYKLU „WARSZAWA"

Poznałem był odległość i jej kolor modry —
jej formę wiem na pamięć od jedynej strony
wyznaczonej kroplami, co smak mają słony,
jak smak wiślanej wody nad brzegami Odry.

Wzdłuż doszczętnie rozbitych wierszowaniem traktów —
po bruku mlecznej szosy — poszlakami dymów
odmierzam oddalenie, bym na końcu wymógł
fortunne zakończenie ostatniego aktu.

To wszystko, co daleko, niech odważnie ślicznym
kolorem oczaruje mgły horyzontalne —
jedynie po to, żeby sentyment upalny
wyróżniał się wśród mgławic pozagalaktycznych.

Stoję w kierunku murów ulepionych z blasku
na miejscu, gdzie podróże do nieba są styczne,
gdzie wielkie rzeczy świecą, ale świecą płasko,
a plastykę ma detal architektoniczny.

PLAC TRZECH KRZYŻY

By spraw pamięci godnych głodny czas nie nadgryzł —
na pożytek potomnym — na większą cześć bożą
wzniósł uczony pan Aigner, wprzód skreśliwszy abrys,
Panteon w miniaturze — świętość na rozdrożu.

Pan Aloizy Feliński, uskrzydliwszy lutnię,
dla Anioła Pokoju układa peany,
a muzy smukłonogie, podkasawszy suknie,
czeredą brną po bruku w cień kolumn liścianych.

I tam już pozostają... Pan Aigner odchodzi —
A za nim pan Feliński Aloizy — a za nim
tylko cienie bez twarzy... O wieczornym chłodzie
drżą kolumny rzucone sam na sam z muzami.

I rozpaczliwie rosną — rozwijają liście —
kołyszą się na wietrze i szumią, by rano
przechodnie, do muz śpiesząc ze słońcem na wyścig,
znaleźli gruzy kwiatów — łby kolumn strzaskane.

KANONIA

Kiedy naszą ciekawość aż tutaj doniesiem,
zobaczymy, że chmury ciemnieją, że liście
czerwienieją nieznacznie — że zabawny wyścig
pór roku do serc naszych wygra dobra jesień.

Chmury leżą na murach. Wkoło placu grzecznie
attyki spacerują wyzębiając niebo —
między nimi gołębie — a reszta jak trzeba:
ludzie krótko żyjący — ściany długowieczne.

Dwa serca biją obok — dwa pulsują rytmy:
jeden: słońce niezmiernie powolne, a przy nim
kieszonkowy zegarek. Któż odstęp zawinił —
kto dał nam niedostatek serca nieuchwytny?

Nie trzeba nam arytmii. Nieznacznie oddalmy
niespodziany niepokój, co przeszkadza wiedzieć,
że wszystko po to tylko, by jesienią zwiedzić
sentymentalnym wierszem plac sentymentalny.

OPOWIEŚĆ O MĄDRYM STARCU I O TYM, JAK ŁUCZNIK ARCYCHANOWY SAM SIEBIE ZWYCIĘŻYŁ

I

Łucznik arcychanowy, najmężniejszy z chrobrych,
idzie świątka nawiedzić, by mu mądrość odkrył.

Taką mowę, przyszedłszy, kieruje do starca:
„Szczęścia żądam, o święty — a szczęście mną wzgardza.

Trzykroć otom ukrzywdzon. Sprawił los szyderca,
że pogardza hołdami Dama mego serca.

Koń chodziwy o krasie, której nic nie zaćmi,
zagarnięty bliższymi łask ojcowych braćmi.

Szukając nie najduję wśród celnych rycerzy
zawodnika godnego, by o prym się zmierzyć.

Bez rumaka i bitwy, niewsparte kochaniem,
stygnie serce, i bełty gnuśnieją w kołczanie".

W możnym carstwie Chotanu prawd największy znawca
myśl, nim słowom powierzy, długo sercem sprawdza.

W końcu mówi: „Rycerzu, twego życia przebieg
dawno widzę, gwiazdami pisany po niebie.

Oneć mówią: przy stopach Tar-Tańskiego szczytu
Szczęście znajdziesz, dla reszty śmiertelnych ukryte.

Tam przyszedłszy, o synu, męstwem serce osłoń,
strzałami czyń i łukiem rycerskie rzemiosło".

II

Łucznik Chana Chotanu sprzęt wojennej sławy —
łuk najtęższy — ujmuje i sajdak strzał rdzawych.

Nie ociera rdzy krwawej, która groty święci —
Kabłąk łuku krępuje najśpiewniejszą z cięciw.

Oręż ładząc, od modłów odwyknięte wargi
w hołdzie bogom otwiera litanią próśb żarkich.

Tak modlitwę wykańcza: „Turkusowi władcy.
Otom zwątpień się wyrzekł i skarg świętokradzkich.

Wypisana gwiazdami rzekła losu kolej,
że orężną sprawnością szczęście przyniewolę.

Z waszą pragnę pomocą, bym wroga zwyciężał,
w godnym ćwiczyć rzemiośle dłonie godne męża".

III

Przeminęły dwie zimy — trzecią świat zabłyszczał,
gdy chanowy drużynnik powraca przed mistrza.

Stając mówi: „Przydatne zachowawszy posty
długo rękę wprawiałem w miotaniu strzał ostrych.

O Najmędrszy, dziś pocisk mój chybiać nie przywykł
muchy w locie — a czemuż nie jestem szczęśliwy?

Trzema laty swych darów los umniejszył zasób:
koń, któregom był pragnął, pożarty wśród lasu".

Tedy mędrzec wiekowy tę mu myśl powierzy:
„Na to mędrce, by mówić — by słuchać, rycerze.

Wróć na puszczę i serce cierpliwością osłoń —
strzałami czyń i łukiem rycerskie rzemiosło".

IV

Mendel wiosen okwitłych gwiazdom oczy ściemnił,
gdy powraca przed świątka królewski wojennik.

Tymi słowy rzecz wiedzie: „Jako chciałeś, mistrzu,
dłoń ćwiczyłem, i jużem lęk z osierdzia wyszczuł.

Grot mój gwiazdę przekłuwa nad Tar-Tanu granią —
gwiazda spada — przecz radość nie przybiega za nią?

Mendlem roków zasoby szczęścia los uszczuplił:
zblakła krasa mej pani pod siwizną pukli".

W możnym carstwie Chotanu prawd najlepszy znawca
w słowa myśli przystraja, które sercem sprawdzał:

„Nim urośnie rycerzem — kwili małe dziecko.
Wracaj synu i sztukę uprawiaj strzelecką".

V

Idą lata. Cięciwa z tych co była włókien,
ale nie ta już ręka, która włada łukiem.

Oczy gasną i radość falą nie tak nagłą
wzmacnia dłonie, dzierżące za orężny kabląk.

„Wiek ramiona obciążył — w te słowa pomyśli —
jakby wiadra mi zadał kto na koromyśle.

Lepiej ciało ułożę na mchu miękki safian —
niechaj zamrę, gdy celnie jak dawniej nie trafiam".

Łucznik Chana Chotanu wzrok opuszcza — po czym
nowym światłem rozpala przygaszone oczy.

„Całe życie gdym rękę wprawiał do rzemiosła,
jakże teraz być może, bym na sercu osłabł?

Dłoń jeśli nie posłucha — wolą dłoń przymuszę.
Oko nie chce. Wżdy oko przezwyciężę duszą.

VI

Raz ostatni chanowy drużynnik łuk bierze
i wygina przemocą, godną sta rycerzy.

Świszcze strzała serdeczną popchnięta potęgą —
mija gwiazdy — i nieba błękitnego sięga.

Pruje niebo, i Pana, co po trzykroć święty
trwa na tronie, poraża w świetność boskiej pięty.

Ojciec bogów i ludzi grot piastując w palcach
twarz powoli pochyla i szuka zuchwalca.

Harde męstwo czczą bogi. Pan Wiekowej Baśni
dobrotliwym uśmiechem na szafirze zalśnił.

VII

Raz ostatni nawiedza stary rycerz chanów
największego proroka wśród magów Chotanu.

„Tłum jesieni — powiada — wypalił się w tajdze,
gdym cię młodo powitał. Dziś obaśmy starce.

Zapalczywie żądając potrójnego szczęścia,
anim wiedział, że jedno — zbyt obciąża pięści.

Znała wiedza twa, mistrzu, czegom ja nie przeczuł,
że odechcę rumaka pod sędziwy wieczór.

Że nie potrza mi będzie, gdy żar w żyłach wystygł,
miękkich dłoni, ni oczu spojrzeń powłóczystych.

To mi starcza, com posiadł — ja, pierwszy zapaśnik:
przeciwnika, godnego by o prym się zwaśnić.

Choć mi ręka zelżała, świat w źrenicach ściemniał —
zwyciężyłem sam siebie. Wróg mój mieszkał we mnie".

Raz ostatni głos bierze gwiazd uczony znawca:
„Com powiedział — mówiłem. Com rzekł — to się sprawdza.

Coś uczynił, nie zginie. Możnym losom gwoli
pójdzie imię twe pieśnią, szybciej piór sokolich.

I wypiszą potomni na głazach świątyni:
„Chwała temu, kto więcej niźli mógł — uczynił".

1944.

WŁADYSŁAW MILCZAREK

ŁUCZNICZKA

Nie wiem, czy jesteś Amorem, czy nowoczesną Dianą —
miłością wabisz uludnie, a śmiercią grozisz z kołczanu.

Przeciągasz się rozkosznie, ramiona drżą ci lekko,
gdy łuk napinasz jak brew nad przymrużoną powieką.

Mierzysz spokojnie, a pewność pokładasz w swojej sile:
grot strzały prosto w serce, a w twarz klasycznym profilem

O, teraz wysmukłe palce rozluźnisz, przechylisz głowę —
zaśpiewa sopranem cięciwa, bełt warknie kolorowo.

Zastygniesz w tanecznej pozie, alabastrowe zjawisko,
tylko ci usta drgną lekko i oczy dziwnie zabłysną.

O zostań tak na zawsze, masz w sobie niebiańską słodycz,
wzniesiemy cię na piedestał jak pomnik ludzkiej urody.

ŻONGLER

Cztery magiczne kule,
cztery złote księżyce,
nocą pod gwiazdy wyrzucę
świetlistą parabolą.

W sinej kosmicznej przestrzeni
drogi bezbłędnie obliczę
i zamknę w jednej dłoni
matematycznym kluczem.

Czy widzicie? pod niebem wysoko
złote kule wirują i brzęczą
i jak jabłka padają z obłoków
w moje czujnie otwarte ręce.

To nie ziemia je ściąga z powrotem,
to nie ziemia w fontannę wygina —
ja w elipsy pod niebem je splatam
magnetycznym mych oczu biegunem.

Jeśli zechcę — zadziwię was wszystkich,
złotą burzę rozpętam w przestrzeni —
jak przez Boga rzuconych sto dysków,
sto księżyców wyleci z mej dłoni.

TRZMIEL

Jestem odpryskiem słońca,
akordem letniej melodii —
świtów różowych gońcem,
pachnącą smugą miodu...

Tęsknotą wszystkich kwiatów,
poetą łąk, ogrodów —
skrzypiec najcichszą nutą,
a imię moje słodycz!...

KACZEŃCE

Na szmaragdowej łące
urosły kaczeńce,

zakwitły nad ranem
złotem i bursztynem.

Łąka jest pierścieniem,
kaczeńce kamieniem —

cóż za cudny klejnot
i kto go podejmie?...

Myślę, że na świecie
jedynie poeci

tej ozdoby godni...
Bo czyż nie jest cudny

pierścień szmaragdowy
z oczkiem bursztynowym?...

POLEGŁE KONIE

Po nas nie płaczą ludzie,
czy to kogo wzruszy,
że setki naszych trupów zawaliło szosy
barykadami mięsa,
skrwawionego ścierwa,
potokami krwi żywej,
gmatwaniną nerwów.

Napęczniały od słońca tułowia
jak góry,
nogi zastygły nagle w śmiertelnym galopie,
i po co to?...
Że się wojny chciało Europie,
my mamy za to ginąć,
nieszczęśliwe konie?!

Śmierć nasza was nie wzruszy,
po nas nie ma żalu,
ale wiecie na pewno, jak to strasznie boli,
gdy płat gorącej stali wypruje jelita
i bluźnie krwią czerwoną,
taką jak i wasza.
Popatrzcie w nasze oczy:
każdy z nich wyczyta
przerażenie i trwogę,
nie mniejszą od swojej.

Meldunki płyną z sztabów:
wielkie straty w koniach...
Szefowie w kancelariach

klną przy ewidencji
wykreślając nas z rubryk,
a na konferencjach
radzą nad rozdzielnikiem
nowego remontu.

A później...
na zachodzie
i na wschodnie fronty
pójdą transporty długie,
ładowne sianem, owsem
i końmi na ubój...

EDWARD FISZER

BAL MILIONERA

Łucjo! wieczór goreje,
z lip wykipiała żywica!
Okienka twojej facjatki
dyszą w objęciach księżyca.

Łucjo! gachy — chrabąszcze
wiszą u twoich warkoczy.
Pijany łazik — nietoperz
rozbija gwiazdy i oczy.

Łucjo! czekam za węgłem
i ćmy do serca zamykam.
Słuchaj! na łące gorącej
żaby rechocą walczyka.

Tam rosa pląsa w pokosach
i świętojanek z nią hasa.
A biały tuman ze strugi
majówkę płotem opasał.

Noc świetlikami pryska!
Zbieraj okruchy gwiazdek!
Łucjo! pluska na trawach
koncert światełek pod miastem.

PIEŚŃ O TRAMPIE

Z roku Olimpijskiego 1944

Stójcie sędziowie u mety!
Jeszcze nie wieczór igrzyska!
Serce ufnego herosa
Bije pośpieszne godziny.
Włóczęga, przybysz, wędrowiec
Przez tłum się gęsty przeciska
I wplata w liście laurowe
Gałązkę wiślanej wierzbiny.

Wystrzał armatni przy starcie
Zdmuchnął cię z bieżni na szlak,
Przybłędo!
Tobie gościniec
Gwiazdami wytyczą noce,
A w dzień, czy trafnie wędrujesz,
Przelotny sprawdza cię ptak,
A jeśli rzeźwo oddychasz,
Bocianie brawo klekoce.

Pod jakie słońce się trudzisz?
Na skrzydłach jakiej kurniawy?
Dobry obrońco proporca o barwach krwi i opłatka!
Czy wszędzie, dokąd przybijesz,
Etapem zasiadasz na ławy,
Czy zawsze chlebem i winem
Przygodna żywi cię matka?

Zapadasz w bieżnie pustynne,
Miotasz po rzutniach na ostre,
Od kładki ziemi odbijasz
W skoku huśtany przez fale.
Którąż pod stopą cierpliwą
Odczuwasz obecnie wiorstę,
Olimpijczyku, idący po kołach półkul wytrwale?

Żelazne zdrowie masz w łydach,
Bary sprawniejsze od wioseł,
A pierś wezbraną wichrami
Podajesz prosto w cel.

Sędziowie! czas wziąć pod miarę!
Na stadion duchem wpadł poseł,
Brązowe ciało powleka
Niepokalana biel.

Na maszty jadą proporce,
Do marszu trąbią fanfary,
A ty, pielgrzymi zawodnik — oddechom puściłeś wodze.
O, ty nie wstąpisz po wieniec
Na cokół ateńskiej wiary,
Ty czołem bijesz do świątka
W cieniu wierzbiny po drodze.

ROZKAZ

Żołnierze!
Weterani ognia i głodu!
Zostawcie armatnie narzędzie!
Dajcie odpocząć krwi!
Z ziemią, powietrzem, wodą
Rozbijmy namioty ciszy
Nad biwakiem nocy i dni.
Ostatnia czujka podsłucha,
Jak potwór zmęczony dyszy,
Jak radość wybucha.
Wyorać odłamki z pól!
Pozbierać gwoździe z dróg!
Ile żelaza chybiło —
Tylu ocalił Bóg.
Wreszcie policzmy w mogiłach
Grudę rzucaną po grudzie.
Tylu zabili ludzie.
Nie płaczmy! dosyć pochodów
Na cmentarzyska narodów.
Oddaliśmy cesarzom, co było cesarskie.
Piechurze!
Niegodne twoich butów są progi wersalskie,
Prosto z marszów podróżnych wstąp na wieczny cokół.
Spocznij w marmurze!
Rozkazuję: pokój!

KONSTYTUCJA

Witaj światło pożarne! Jutrzenko ogniowa!
Łuno krwawa, co plamisz generalskie borty!
Smaży się w zgliszczach miasta konstytucja nowa
Pod pancerną osłoną zachodniej kohorty.

Magdeburskim gotykiem zaludnione księgi
Gubernator zaborczy pieczętuje stalą.
Wiwatują ustawie palcami przysięgi
Służalcy, co w ukłonach szyje doskonalą.

Lecz tłum zmiotło z ulicy, tłum rewie pamięta,
Chorągwianym wspomnieniem stary rynek drzemie.
Wyjdź tłumie poza miasto, na majowe święta
I oklaskuj zieloną konstytucję — ziemię.

Twój paragraf się znaczy kłosem twego zboża,
Co miedze ma dalekie, jak mosty na Odrze!
Choćby dom twój stołeczny w każdej wojnie gorzał,
Czarnoziemnej ustawy żaden czołg nie podrze.

Vivant łąki graniczne, vivant lasy dumne!
Wiwat, matko, po polsku, śpiewających dzieci!
Gospodarzu! uformuj zagonów kolumnę,
Nim eskadra myśliwców na rewię przyleci.

Bo wiosną z suchej trawy pociski wygrabim
Pod melodię starego, wiejskiego kuranta,
Wyorzemy pługami nierdzewny karabin,
Zakopany we wrześniu przez kapitulanta.

KWATERA PRZED WYBUCHEM

Nie bój się wojny gosposiu!
Jeszcze się domek nie pali
Gdyby armaty huknęły,
Inaczej byśmy biegali.

A tu zaciszne podwórze...
Ogród pęcznieje owocem,
Poranki perlą się rosą,
Różami — zmierzchy i noce.

A tu kwatera przyjemna...
Stół i cienisty ganeczek.
— Nie będzie wojny, jeżeli
Postawisz wina z porzeczek.

— O gdyby tak, jakem skąpa —
Dałabym wina dzban pełny,
Lecz na was dźwięczy żelazo,
Łopaty, lufy i hełmy.

I co najmłodsze rekruty,
I oficery najstarsze!
Nic, tylko we dnie i w nocy
Jakieś okopy i marsze.

A w gminie piszą i piszą.
A chłopów biorą i biorą,
Żołnierzom miła kwatera,
A mnie na sercu niesporo. —

— Boisz się krwi gospodyni,
Dlatego zwiędły ci usta?
A szkoda, wdowo, szkoda,
Woziłbym cię po odpustach. —

I już rozjaśnia się wdowa,
I śmieje się nieprzystojnie...
Wtem stuk o próg! to ordynans!
— Odprawa! mówią o wojnie!

Wieczornym marszem na przełaj
Szliśmy ku ziemnym wądołom.
Nie trzeba świateł, żołnierze!
Łuny goreją wokoło...

STEFAN FLUKOWSKI

BAJECZKI

Antoniemu Janowi Wilderowi

GALANTERIA

W pewnym jeziorze w środku Polski
pytała żaba węgorza,
jak może być daleko do morza?
A na to ów galant włoski:
— Licząc, hm, pięć węzłów na godzinę,
to będzie, hm...
czy pani to odpowiada?... —
I począł swe zwykłe wykręty
wśród fal, a ona:
— O tak, rada, bardzo jestem rada.

SĄSIEDZI

— Patrz, idzie ta dewotka —
do gołębia gołębica słodka
rzekła strząsając pierze.
Jej mąż, tłusty wróbel, dodał:
— Wczoraj mnie za świadka podał
w sądzie pokoju. — A gołąb:
— Nic a nic panu nie wierzę.

KOMENTARZ

— Jednak miał rację ten labuś Krasicki
mówiąc, że złego miłe początki —
wół zajadając dary wiosny
mamrotał do łątki.
Zaś ona:
— Szkoda tylko, że myśl nieskończona,
powinien był przecież dodać:
„Lecz koniec żałosny".

RZECZOWOŚĆ

Gnąc się pod wiatrem mówiła trzcina
do raka leżącego u jej korzeni:
— Patrz, oto zefir pieści mą szyję,

wodę wokoło srebrem pierścieni,
z mych włosów odlatuje w nieznane.
Któż on, ten wiatr? —
A rak: — Powietrze słońcem ogrzane.
— A ja? — zagubiona w podmuchu trzcina.
— Ty? — brutal na to — Ty? Roślina.

WYMIANA ZDAŃ

Bąk błądząc po muzealnej sali
uderzył o portret Buffona.
— To Pliniusz młodszy — krzyknęła sroka
do stojącego za oknem jesiona.
— Przepraszam, Linneusz — wycedził z cicha
pająk na sieci rozpiętej u okna
strojnego w wino.
A bąk bijąc o łono Venus z Urbino
w gniewie: — Cóż u licha,
nie masz w tej budzie chociażby jednego okna?

NARODZINY ZŁOTEJ MYŚLI

Dzięcioł w kamizelce czerwonej
rankiem w stary dąb jął stukać.
— Proszę — zaspana sowa w dziupli,
bo echo poszło po dębach i bukach,
po puszczy zielonej.
Wtedy kos zagwizdał,
ozwał się sejm wróbli,
krzyknęła wilga.
A nietoperz głową w dół zwieszony pisnął:
— Oho, nie poszła w las nauka!

WYŻYCIE SIĘ

Pies oszczekał kota,
więc kot zastosował sus.
A tymczasem bez szmeru zza płota
słonecznik wodził za słońcem złotą tarczę.
Pies do niego w piekielnym hałasie
dalej szczekać i warczeć:
— A tybyś tylko rósł i rósł,
dryblasie!

E. N. DZELEPY

PRAWDA O MONACHIUM

I

Działalność polityczną Chamberlaina w dramatycznym miesiącu wrześniu 1938, który doprowadził Europę do Monachium, próbowano przedstawić jako szereg posunięć podyktowanych rozpaczą, zaimprowizowanych mniej lub bardziej pospiesznie — pod naciskiem wypadków rozwijających się z niesłychaną szybkością — i jedynie z troską o „uratowanie pokoju".

Jest to z gruntu fałszywe ujęcie. Analiza tych wypadków wykazuje niezbicie, że zbrodnia monachijska była obmyślona. Potwierdzają to świadectwa dwu głównych winowajców: papiery Neville'a Chamberlaina, opublikowane po jego śmierci przez rodzinę w celach apologetycznych [1], oraz pamiętniki sir Nevile'a Hendersona, ambasadora Wielkiej Brytanii w Berlinie.

Prawdziwy „kryzys czeski" — ten, co zdawało się zagrażał sprawie pokoju i na pozór usprawiedliwiał fatalne posunięcia premiera Anglii — wybuchł z okazji kongresu w Norymberdze, mianowicie po „podżegającym" przemówieniu Hitlera, wygłoszonym 12 września.

Otóż z wyżej wymienionych dokumentów jasno wynika, że już wiele tygodni przed tym przemówieniem, mianowicie od czasu pertraktacyj angloniemieckich w Londynie w lipcu 1938, Chamberlain nosił się z projektem bezpośrednich rozmów z Hitlerem, lub nawet osobistej wizyty u Führera. Była to jego „wielka idea", którą hodował w zupełnym sekrecie.

W jednym z listów do rodziny, z dnia 3 września 1938 — na cztery dni przed otwarciem kongresu w Norymberdze — Chamberlain napomykał o swoim projekcie i tłumaczył, jak wpadł na ten pomysł. Pisał: „Czyż nie jest to straszna myśl, że los setek milionów ludzi zależy od jednego człowieka — i że człowiek ten jest na wpół szalony?" Pod wpływem tej „strasznej myśli", bez przerwy „drążącej mu mózg", „starał się znaleźć sposób uniknięcia katastrofy, gdyby ta miała się zbliżyć". A jedynym środkiem, na jaki wpadł, był projekt wyjazdu w celu „porozmawiania" z tym „półwariatem". Nazywał to „niekonwencjonalnym i zuchwałym sposobem". Zaiste nie można było gorzej postawić

1 Keith Felling: *The life of Neville Chamberlain* (Życie Neville'a Chamberlaina). Macmillan, Londyn 1946.

problemu jak mówiąc, że wszystko zależy od na wpół szalonego człowieka — Hitlera. Ostatnie słowo należało do Anglii. Chamberlain wiedział o tym i uznawał to bez wykrętów. W innym liście, datowanym 11 września 1938, pisał: „Uświadamiam to sobie dobrze: jeżeli sprawy przyjmą zły obrót i doprowadzą do agresji, znajdzie się wiele osób, a wśród nich Winston (Churchill), które będą utrzymywały, że rząd brytyjski musi ponieść całkowitą odpowiedzialność za to; bo gdyby nasz rząd miał po prostu odwagę powiedzieć Hitlerowi od razu, że na wszelką próbę użycia siły odpowie natychmiastowym wypowiedzeniem wojny — wystarczyłoby to, aby go powstrzymać. Obecnie niemożliwością byłoby udowodnienie czegoś przeciwnego".

Jeżeli jednak pragnął koniecznie zobaczyć się z Hitlerem, to dlatego, że — jak dodawał — nie chciał pozwolić, aby „najważniejsza decyzja, jaką kraj może powziąć — decyzja: wojna czy pokój — przeszła z rąk Anglii do rąk szaleńca".

Otóż jeżeli Chamberlain źle stawiał problem pokoju, nie czynił tego bynajmniej przez nieświadomość; postępował tak po to, aby usprawiedliwić „zuchwały środek", który hodował w duszy: swoje spotkanie z Hitlerem. Nie pragnął go zaś dla zachowania inicjatywy w walce o pokój, lecz dla uzyskania niezbędnej swobody do zrealizowania swego „planu". Chamberlain miał bowiem „plan", który absorbował wszystkie jego myśli i całą jego energię.

Mówi o tym otwarcie w liście z 11 września 1938: że chodzi o pewien „plan" i że jego ewentualna realizacja miałaby konsekwencje wybiegające daleko poza obecny kryzys i mogłaby stać się przyczyną zupełnej zmiany w międzynarodowej sytuacji. Dlatego też wybaczał wspaniałomyślnie przeciwnikom swojej polityki, rozumował bowiem w ten sposób: krytykują go, ponieważ nie mogą „wpaść na myśl", że on ma „plan".

Poza kryzysem czechosłowackim Chamberlain miał wzrok utkwiony w miraż ogólnego uspokojenia oraz zbliżenia anglo-niemieckiego. To miał na myśli, kiedy twierdził w swym przemówieniu z 26 lipca 1938, że anglo-niemiecki traktat morski był dowodem możliwości porozumienia się Niemiec i Wielkiej Brytanii w sprawach, które są życiowymi interesami obu państw; i że, co za tym idzie, „nic nie powinno powstrzymać ich od kontynuowania" wysiłków w kierunku nowych „układów". Wyrażał też ukryte swoje myśli mówiąc, że gdyby można znaleźć „pokojowe rozwiązanie" problemu czechosłowackiego, „byłaby otwarta droga dla nowej próby powszechnego uspokojenia".

Rozwój „kryzysu czechosłowackiego" wykazał w pełni, że nie chodziło wcale o „sprawę mniejszości", lecz o „sprawę państwa Czechosłowacji", jak to pisała czarno na białym *Frankfurter Zeitung* z 26 maja 1938; że Europa — po raz trzeci po zajęciu zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej i po Anschlussie — została postawiona przed problemem germańskim w całej jego rozciągłości. Tym niemniej jednak Chamberlain rozpatrywał „kryzys czechosłowacki" z punktu widzenia swojego „planu". Przyglądał się zaś jego rozwojowi nie starając się go powstrzymać — ponieważ klimat „kryzysu" był najpomyślniejszy dla realizacji tego „planu". „Moment jego realizacji nie nadszedł jeszcze",

pisał w swym liście z 11 września. „Kryzys" jeszcze nie dojrzał. Chamberlain miał jedną tylko troskę: aby Hitler nie uczynił jakiegoś szaleństwa, które by ten „plan" uniemożliwiło. „Jest możliwe w każdej chwili, że Hitler zrobi coś takiego, iż plan zostanie pokrzyżowany" — pisał dalej, pełen niepokoju, w tym samym liście. Rzeczywiście, gdyby Hitler położył rękę na Czechosłowacji bez współudziału Chamberlaina, Anglia nie miałaby żadnej korzyści z tej operacji. Było to jedyne ryzyko, na jakie narażał się Chamberlain ośmielając Hitlera. Dlatego też nie chciał „uczynić czegoś, co by mogło narazić wymieniony plan na niepowodzenie" — na przykład gdyby się sprzeciwił Hitlerowi. Z tego też powodu należało działać szybko, aby nie być „zaskoczonym" przez jakieś szalone posunięcie Hitlera.

Kongres nazistowski rozpoczął się 7 września. Byłoby rzeczą wskazaną i pożyteczną ostrzec Hitlera jakimś wspólnym wystąpieniem mocarstw demokratycznych w przeddzień manifestacji norymberskiej, na której „sprawa czechosłowacka" miała być na porządku dziennym. Rząd francuski zasugerował wystąpienie w tym duchu; propozycja ta została poparta przez ambasadora Stanów Zjednoczonych w Londynie, pana Kennedy, jak również przez wielu wybitnych polityków angielskich oraz przez opozycje Partii Pracy i Liberałów. Gabinet brytyjski odrzucił ten pomysł. „Mówiono nam — oświadczył później w swym przemówieniu z 3 października 1938 Duff Cooper, wówczas pierwszy lord Admiralicji, — żebyśmy, uchowaj Boże, nie drażnili pana Hitlera, że irytowanie go zanim wygłosi publiczne przemówienie jest szczególnie niebezpieczne..."

Zamiast „ostrzeżenia" zjawił się w *Timesie* z dnia 7 września artykuł, w którym ten półoficjalny organ napomykał ni mniej ni więcej, tylko o odstąpieniu Sudetów Rzeszy. To „rozwiązanie" przewyższało wszystko, czego dotychczas żądali Niemcy. Bo przecież ani Henlein, ani Hitler — choć ten ostatni na pewno myślał o tym — nie wspominali jeszcze o przyłączeniu terytorium Sudetów do Rzeszy. Była to najbardziej skandaliczna zachęta, jaką Niemcy mogli otrzymać od Londynu. W chwili otwarcia Kongresu w Norymberdze, kiedy oczekiwano w napięciu, co powie Hitler na temat Czechosłowacji, mniej czy bardziej oficjalny głos z Londynu oświadczał, że Anglia gotowa jest dać Niemcom to, czego same nie ośmieliły się jeszcze zażądać!

Od tej chwili całe „zagadnienie czechosłowackie" zmieniło wygląd, lub raczej odnalazło swój prawdziwy wygląd. Zdaniem *Timesa*, który znów ruszył do ataku 9 września, zadanie do rozwiązania nie mieściło się już wyłącznie pomiędzy Czechami a Sudetami, lecz raczej między Niemcami a mocarstwami zainteresowanymi sprawą równowagi europejskiej. A wiadomo, co rozumiano w Londynie mówiąc „równowaga".

Sytuacja mogłaby przynajmniej zostać uratowana w Norymberdze. Lecz tam był sir Nevile Henderson. Ten ambasador Jego Królewskiej Mości przebywał tam nawet pięć dni i, jak sam mówi w swoich wspomnieniach, przejawiał „niezwykłą aktywność słowną". Miał długie rozmowy z wszystkimi oficjalnymi

osobistościami i skierował „całą serię ostrzeżeń do wielu dygnitarzy nazistowskich". Wszystkim mówił mniej więcej to samo. Jeżeli Niemcy zaatakują Czechosłowację, Francja, której honor wejdzie w grę, będzie zmuszona przyjść z pomocą Czechom; jeżeli zaś Francja rozpocznie wojnę, z kolei bezwzględnie zostanie wciągnięta Wielka Brytania. „Przeczuwał", że najważniejszą rzeczą jest „dobrze wbić" to Niemcom do głowy, tak żeby Hitler musiał poważnie zastanowić się nad tym, co powie w swoich wielkich przemówieniach politycznych, które miał wygłosić przed zamknięciem Kongresu.

O jednej tylko rzeczy nie pomyślał ten wielki dyplomata: mianowicie, że sama jego ówczesna obecność w Norymberdze odbierała wszelkie znaczenie jego „ostrzeżeniom"; tym bardziej że, z drugiej strony, Niemcy mieli wystarczające powody do myślenia, iż Anglia stara się przede wszystkim uniemożliwić Francji interwencję na korzyść Czechosłowacji, aby nie być zmuszoną pójść za jej przykładem.

Zresztą te „ostrzeżenia", udzielane otoczeniu Hitlera, aby go pośrednio dotknąć, podczas gdy Führer sam był obecny, nie miały żadnego znaczenia; musiały nawet sprawiać komiczne wrażenie.

Lecz cóż się działo w owej chwili w Norymberdze w obozie niemieckim? Podczas gdy reżim nazistowski głosił swą siłę i chwałę swojego Führera, wyższe dowództwo niemieckie przechodziło nowy kryzys, będący zresztą dalszym ciągiem kryzysu z lutego. Szef sztabu generalnego, generał Beck, musiał właśnie opuścić swoje stanowisko za to, że miał śmiałość przedstawić Hitlerowi memorandum, w którym go ostrzegał, że jeżeli Niemcy będą dążyły do osiągnięcia swych celów przemocą, to powstanie przeciwko nim nowa koalicja i poniosą nową klęskę[1].

Wspaniała kohorta generałów otaczających Hitlera na Kongresie podzielała poglądy generała Becka. Nie dlatego, żeby się obawiali, iż Hitler zacznie wojnę. Oni byli przekonani, że to jest tylko bluff. Również i całe wojsko tak myślało; trzeba było usilnych starań, aby je przekonać, że to nie jest bluff. Generałowie bali się tylko, aby Hitler nie posunął zbyt daleko tej niebezpiecznej gry, chcieli więc go powstrzymać, zanim będzie za późno. Byli bardziej zaniepokojeni niż w czasie zamachu na Austrię, byli bowiem przekonani, że tym razem mocarstwa zachodnie nie pozwolą na coś podobnego. Otóż podstawą „zielonego planu", — planu zamachu na Czechosłowację, opracowanego przez sztab generalny — było założenie, że mocarstwa Zachodnie nie będą interweniować i że ewentualna wojna będzie miała charakter lokalny.

Właściwie tylko generałowie niemieccy brali serio angielskie „ostrzeżenia". Toteż podczas gdy w zachodnich stolicach oczekiwano z niepokojem przemówień Hitlera, jego generałowie spiskowali przeciwko niemu. Był to z pewnością najtragiczniejszy paradoks tych krytycznych i niepewnych chwil pokoju: podczas gdy Hitler przyprawiał cały świat o drżenie i gdy zdawało się, że sprawa

---

[1] Oświadczenie generała Haldera, następcy generała Becka, na procesie norymberskim. (Przyp. aut.)

pokoju zawieszona jest na jego wargach — był on na łasce puczu swoich generałów!

Wojskowi bez wątpienia nie wiedzieli o dyplomatycznym przygotowywaniu agresji na Czechosłowację; toteż nie mogli pojąć istotnego znaczenia słów Hitlera, kiedy twierdził — na przykład w dyrektywie z czerwca 1938 — że przedsięweźmie akcję przeciwko Czechosłowacji tylko w tym wypadku, jeżeli będzie miał taką samą „pewność, że Francja nie wystąpi i, co za tym idzie, nie zainterweniuje Anglia — jaką miał w wypadku zajęcia nadreńskiej strefy zdemilitaryzowanej oraz w wypadku wkroczenia do Austrii".[1] Dlatego też generałowie nie mogli również podzielać zdania Hitlera, że uregulowanie — nawet siłą — „zagadnienia czechosłowackiego" nie jest dla Niemiec problemem wojskowym.

Optymizm Hitlera co do postawy potęg zachodnich, wynikający z jego rozumowania, musiał jeszcze bardziej zaniepokoić przywódców Wehrmachtu, kiedy zostali zwołani 9 września do Hitlera w Norymberdze, aby omówić z nim plan kampanii przeciwko Czechosłowacji: podczas tego zebrania nie brał on bowiem pod uwagę możliwości zastosowania jakiegokolwiek środka ostrożności przez państwa Zachodu — jak gdyby Francji i Anglii w ogóle nie było.

Jednym słowem generałowie oceniali sytuację w krańcowo przeciwny sposób niż Hitler. Podczas gdy oni obawiali się słownych manifestacyj i innych „prowokacyj" Hitlera w stosunku do mocarstw zachodnich, on w nich widział, na odwrót, zasadniczy element swojej polityki bluffu i szantażu. Im bardziej niebezpieczny wydawał się generałom, tym więcej się go bali Anglicy — i tym więcej szans wygranej miała jego gra.

II

„Momentem" oczekiwanym przez Chamberlaina dla urzeczywistnienia „planu" była „panika" wywołana podżegającym przemówieniem Hitlera, wygłoszonym 12 września na Kongresie Norymberskim. Chamberlain powiedział to później sam w *exposé* z 28 września w Izbie Gmin. „W tych okolicznościach" — twierdził — zadecydował, że nadszedł czas urzeczywistnienia planu, który obmyśliwał od dłuższego czasu i który uważał za „ostatnią możliwość". Po raz to pierwszy mówił publicznie o swoim „planie".

Dnia 13 września Chamberlain wysłał zatem prywatny telegram do Hitlera z propozycją „natychmiastowego widzenia się z nim w celu próby znalezienia pokojowego rozwązania".

W liście do starszej siostry z dnia 18 września 1938 lubuje się w opisie mechanizmu tego kroku, który uważał zapewne za bardzo zręczny. Jednocześnie przyznaje się do tego rodzaju spisku z „kryzysem": do swego „machiawelicz-

[1] Według *Dziennika* generała Jodla. (Przyp. aut.)

nego" pomysłu, który omawiał szerzej już w liście z 11 września. Widzimy wreszcie, jak czyhał na „kryzys", aby wysunąć swój „plan", widzimy jego dumę z tak mistrzowskiego postępku.

„Dwie rzeczy są konieczne" — twierdził:

„1⁰ Aby wypróbować plan w chwili, kiedy sprawy będą stały najgorzej;

2⁰ Aby spotkanie było zupełną niespodzianką".

Wieczorem 13 września — twierdzi dalej — zdał sobie sprawę, „że chwila nadeszła" i że musi „działać natychmiast", aby nie przybyć „za późno".

„Chwila nadeszła", dlatego że przemówienie Hitlera wywołało „panikę" i że, z drugiej strony, z raportów wysyłanych z Berlina przez sir Nevile Hendersona wynikało, iż sprawy stoją „najgorzej". Co gorsza, Hitler mógł go ubiec; więc, aby nie przybyć „za późno", pośpieszył się, aby go „zaskoczyć" posyłając mu swój doniosły — jak sam go określa — telegram i nic o tym nie mówiąc swoim współpracownikom. Dopiero na drugi dzień powiadomił o tym gabinet.

Teraz pozostawało dowiedzieć się, jaka będzie reakcja Hitlera i czy niespodzianka „udała się". Sądząc z listu, Chamberlain miał wtedy chwile niepokoju. Jeżeli Hitler odmówi, „plan" upadnie. Lecz wkrótce niepokój premiera został uśmierzony. Führer zgodził się. To był sukces! „Hitler był całkowicie na moje usługi" — kończy tryumfująco list.

Dnia 15 września rano premier angielski — po raz pierwszy w życiu — wystartował samolotem do Monachium.

W tym właśnie czasie generałowie mieli przystąpić do czynu. Zebrali się w mieszkaniu generała Haldera w Berlinie i czekali na przybycie Hitlera, aby go aresztować. Poczyniono już przygotowania, aż do ostatnich szczegółów włącznie, komendant garnizonu berlińskiego również należał do spisku. Do narodu niemieckiego miano wystosować po aresztowaniu Hitlera odezwę. Generałowie mówili w niej, że „Führer pcha Niemcy w objęcia katastrofalnej wojny" i że jest ich, generałów, „obowiązkiem" nie dopuścić do tego.

Zebranie nie skończyło się jeszcze (według zeznania generała Haldera), kiedy radio — nieprzerwanie informujące o postępach kryzysu — podało, że premier Neville Chamberlain zaproponował spotkanie się z Hitlerem i że leci do Berchtesgaden. „Ta wiadomość" — mówił Halder — „pokrzyżowała nasze plany. Niweczyła możliwość sukcesu, ponieważ Hitler, zamiast wrócić do Berlina, miał udać się do Berchtesgaden dla spotkania z Chamberlainem. Wiadomość ta zmieniała również założenia psychologiczne spiskujących: można było aresztować człowieka, który na oślep rzucał się w wojnę; nie można było zrobić tego z człowiekiem, który pertraktował. Postanowiliśmy to odłożyć". Spisek generałów nie udał się.

Cóż się zatem stało? Czy był to tylko złośliwy zbieg okoliczności? Czy też Chamberlain zainterweniował z całkowitą świadomością sprawy — po to, aby uratować Hitlera?

W każdym bądź razie jedno jest pewne: kiedy Chamberlain wystartował do Monachium, wiedział o spisku generałów. Ci ostatni — w swej naiwności nie poznawszy się na grze rządu brytyjskiego — uważali za stosowne zawiadomić rząd angielski, że mają zamiar pozbyć się Hitlera. Sądzili, że w ten sposób umocnią „postawę" Anglii. A jeżeli Anglia będzie się ostro trzymać, plany Hitlera — sądzili — zostaną udaremnione.

To wszystko wystarczy do wniosku, że jeśli Chamberlain pospieszył rano 15 września 1938 do stolicy Bawarii, to nie dlatego, że nie śmiał przyjąć wyzwania Hitlera wiedząc o „niedostatecznym" przygotowaniu militarnym Anglii i obawiając się najgorszego. Robiąc pierwszy krok w kierunku kapitulacji premier angielski dobrze wiedział, że człowiek, do którego pokornie się udawał, by złożyć u jego stóp niepodległość wolnego kraju, jest „bluffiarzem" i że ma właśnie być aresztowany przez swoich generałów.

Oczywiście można by powiedzieć, że przywiązywał większą wagę do alarmujących raportów, jakie mu przysyłał z Berlina Nevile Henderson, niż do spisku generałów. Lecz jeżeli tak było naprawdę, to jedynie dlatego, że zaufanie do tych raportów lepiej odpowiadało jego planom.

Interwencja osobista Chamberlaina — jeśli miała mieć jakieś znaczenie i na coś się przydać w tych wyjątkowych warunkach, w jakich się odbyła — musiała mieć charakter napomnienia. Istotnie taką interpretację dawano wówczas w oficjalnych notach Londynu temu zdarzeniu bez precedensu. Sam Chamberlain twierdził, że rozumiał je w ten sposób.

Rząd brytyjski przyjął wobec Francji i zwłaszcza wobec Czechosłowacji formalne zobowiązania na wypadek, gdyby polityka ofiar narzucona im przez Chamberlaina nie doprowadziła do niczego. Przyrzekł im mianowicie, że jeśli „misja" lorda Runcimana zawiedzie, premier weźmie oficjalnie sprawę w swoje ręce, aby narzucić Niemcom rozwiązanie.

Lecz, jak to Chamberlain powiedział później w swym *exposé* w Izbie Gmin, wdał się w tę nową grę głównie w „nadziei uratowania pokoju". A w tym celu miał zamiar „dostarczyć Hitlerowi do domu" terytorium Sudetów!

Według relacji Chamberlaina, jego rozmowa z Hitlerem miała charakter „szczery i przyjazny". Zarówno jednak z *exposé* w Izbie Gmin, jak i z listu do siostry z 18 września 1938 wynika, że „rozmowa" ta była właściwie długim monologiem Hitlera. To, w gruncie rzeczy, nie byłoby jeszcze takie groźne. Premier angielski nie miał zbyt wiele do powiedzenia; przybył głównie po to, aby „zaofiarować" i dowiedzieć się, jakie są „warunki" Hitlera. Zaniepokoił się jednak poważnie, kiedy zdał sobie sprawę, że „sytuacja jest o wiele poważniejsza" niż przypuszczał.

W języku Chamberlaina oznaczało to, że ten „szaleniec" był jednak w stanie „ubiec go" przez zamach na Czechosłowację — co zniweczyłoby zupełnie wszystkie jego projekty. „Wiedziałem" — pisze do siostry, tłumacząc jej swój niepokój — „że jego wojsko, czołgi, armaty i samoloty czekają jedynie jego rozkazu, aby zacząć działać; było więc rzeczą oczywistą, że należy się szybko

decydować, jeśli się chce uratować sytuację". Tym bardziej, że w pewnej chwili wydało mu się, jakoby Hitler „twierdził, że będzie działał natychmiast". Łatwo więc zrozumieć jego „oburzenie", któremu dał ujście wyrażając swe zdziwienie, dlaczego w takim razie Hitler „pozwolił mu przybyć z tak daleka".

Rzeczywiście było to irytujące: przybyć z Londynu w tak odpowiednim dla zrealizowania „planu" za pomocą „niespodzianki" momencie — i stwierdzić, że grozi mu „uprzedzenie" przez Hitlera. Musiało to oburzyć premiera Anglii. Oburzało go nie to, że wojsko, czołgi, armaty i samoloty zaatakują Czechosłowację, lecz to, że niemiecka machina wojskowa udaremni jego „plan"

Tą „sytuacją", którą chciał „uratować", nie było niebezpieczeństwo zagrażające sprawie pokoju, był nią ów „plan". A szybkimi decyzjami, jakie miał powziąć, nie były bynajmniej „ostrzeżenia" pod adresem Hitlera lub środki wojskowe, aby go nauczyć rozumu — lecz ustępstwa, jakie miał zamiar poczynić Hitlerowi, aby go powstrzymać od działania. Dlatego też ostrożnie zaniechał jakiejkolwiek dyskusji i od pierwszej chwili okazał całkowitą gotowość przyjęcia wszystkiego, byleby tylko uratować swój „plan".

Tak więc szantaż Hitlera działał tak silnie na Chamberlaina bynajmniej nie dlatego, żeby premier angielski obawiał się wojny i pragnął uniknąć jej „za wszelką cenę", ale jedynie dlatego, że akt gwałtu ze strony Hitlera groził zawaleniem się całej jego polityki zbliżenia z Niemcami i organizacji „frontu antysowieckiego". Gdyby chodziło o to, aby uniknąć wojny, znalazłby się — pod naciskiem opinii publicznej lub wydarzeń — inny sposób na powstrzymanie Hitlera, niż stałe ustępstwa. Lecz „niebezpieczeństwo", którego chciał uniknąć Chamberlain, zacierało granice ustępstw. Z tej też przyczyny polityka szantażu uprawiana przez Hitlera, która w innym wypadku mogłaby wywołać ostrą reakcję, miała większą skuteczność, niż mogli przypuszczać nawet sami Niemcy.

Wystarczy to w zupełności do wytłumaczenia zachowania się Chamberlaina, który w obliczu zuchwałego Hitlera dyktującego mu swoje warunki nie podniósł głosu, aby wymówić nareszcie decydujące słowo; słowo, które powinno było być zachowane na wypadek, jeśliby osobista interwencja premiera Anglii spotkała się z takim właśnie przyjęciem.

„W słowach uprzejmych, lecz k a t e g o r y c z n y c h — mówił Chamberlain w swoim *exposé* — Kanclerz Hitler powiedział mi wyraźnie, że chce, aby Sudety mogły rozporządzać sobą, że Sudety chcą wrócić do Rzeszy, a jeżeli to nie zostanie spełnione, on im pomoże. Oświadczył mi kategorycznie, że gotów jest raczej zaryzykować wojnę światową, niż czekać. Jednakże, dodał, będzie czekał, jeżeli premier angielski da mu zapewnienie, że rząd brytyjski zaakceptuje zasadę wolnego wyboru".

Jedyną reakcją Chamberlaina na ten „nieoczekiwany obrót" rozmowy z Hitlerem był argument braku kompetencji. Oto co mówi w *exposé:* „Oczywiście nie miałem zamiaru dać mu takiego zapewnienia — że rząd brytyjski przyjmie zasadę samookreślenia — lecz przyrzekłem, iż po powrocie do Londynu n a r a d z ę s i ę z m o i m i k o l e g a m i, i ze swej strony zaproponowałem mu,

aby przyrzekł, że nie poczyni żadnych wrogich wystąpień aż do chwili, kiedy otrzymam odpowiedź... Dał mi to zapewnienie, zastrzegając się jednak: jeżeli w Czechosłowacji nie zajdzie nic takiego, co by go zmusiło do czynu".

O jednej rzeczy nie wspomina Chamberlain: o tym mianowicie, że sam przyjął „warunki" Hitlera, to znaczy skapitulował i, co więcej, zobowiązał się „starać się uzyskać zgodę gabinetu, jak również zgodę rządów francuskiego i czeskiego".[1]

„Zdziwienie" bowiem Chamberlaina wobec żądań Hitlera — które mogłoby być dowodem (gdyby było szczere), do jakiego stopnia naiwny i nieuświadomiony potrafi być czasem polityk — zdziwienie to było całkowicie udane. Całokształt zasad stanowiących podstawę „propozycyj" Hitlera był przedmiotem nie tylko poprzedniej wymiany zdań między Londynem a Berlinem przed podróżą Chamberlaina do Berchtesgaden, o czym pisał *Le Petit Parisien* z dnia 18 września; zasady te były już przedmiotem rozważań podczas pertraktacyj anglo-niemieckich w lipcu 1938. Chamberlain udawał więc zdziwienie, aby usprawiedliwić postępek, który mógł uczynić wątpliwą jego „dobrą wiarę" „nawskróś uczciwego człowieka".

W liście do siostry tłumaczy swoje zachowanie się taką uwagą, którą zapewne wypowiedział również i wobec Hitlera: „Na ogół moje osobiste zdanie polega na tym, że w zasadzie mało mnie obchodzi, czy Sudety będą należały do Rzeszy czy nie, zgodnie z ich własnym życzeniem".

Z chwilą gdy Hitler przyrzekł, że nie wyda swym oddziałom rozkazu wymarszu, Chamberlain poczuł się w pełni zadowolony; było to wszystko, czego pragnął. Nic już nie zagrażało jego „planowi". Mógł więc spokojnie udać się do Londynu, odbyć narady i wrócić później na nowe spotkanie z Hitlerem. „Niespodzianka" jego udała się całkowicie. Führer „był nakręcony".

Chamberlain kończy tryumfująco, podkreślając swój „sukces": „Na ogół udało mi się stworzyć atmosferę pewnego zaufania, co było moim celem". Do tego stopnia, że rozstając się z tym „szaleńcem", miał „w końcu wrażenie", że ma do czynienia „z człowiekiem, do którego można mieć zaufanie z chwilą gdy coś przyrzeknie"...

Powróciwszy nazajutrz do Londynu Chamberlain zabrał się do roboty. Czas naglił. „Propozycje" Hitlera, które przywiózł, były prawdziwym ultimatum ze względu na termin 20 września ustalony dla odpowiedzi francusko-brytyjskiej. Należało sprawić, aby to ultimatum Hitlera zostało przyjęte.

Najpierw miał je przyjąć gabinet brytyjski. Ministrowie zwołani 17 września rano, aby się „naradzić" nad wynikiem spotkania w Berchtesgaden, usłyszeli, jak ich premier staje się rzecznikiem tego, co eufemistycznie nazywano „rozwiązaniem proponowanym przez Hitlera" dla załatwienia kwestii czechosłowackiej. Następnie miał je przyjąć rząd francuski. Skoro gabinet uznał

[1] Sir Nevile Henderson: *Deux ans avec Hitler*. (Flammarion).

„plan" Chamberlaina, co nie było wcale trudne do przeprowadzenia, premier — od razu po ukończeniu sesji — wysłał naglące zaproszenie do Daladiera i Bonneta, aby przybyli do Londynu dnia 18 września.

Teoretycznie chodziło o to, by „przedstawić" ministrom francuskim wyniki spotkania w Berchtesgaden. Faktycznie jednak absolutnie nie chodziło o „naradę", lecz po prostu o zakomunikowanie. Ministrowie francuscy zostali postawieni wobec ultimatum Hitlera, które im przedłożył premier Anglii i co do którego mieli się wypowiedzieć bezzwłocznie. Chamberlainowi zależało na tym, aby wszyscy zainteresowani, nie wyłączając Czechosłowacji, przyjęli je jak najprędzej, tak aby je mógł doręczyć osobiście Hitlerowi w wyznaczonym terminie.

Chamberlain postawił sprawę w sposób, który całkowicie odbierał jego rozmówcom swobodę decyzji. Anglia oświadczyła Francji, że skoro jej zdaniem istnieje możliwość „pokojowego rozwiązania" kwestii czechosłowackiej — a mianowicie rozbiór Czechosłowacji — rząd brytyjski zrzeka się wszelkiej odpowiedzialności w wypadku, gdyby rząd francuski odrzucił to „rozwiązanie". „Absolutna konieczność wytrwania w ścisłej współpracy z Londynem" narzucała (wciąż według *Le Petit Parisien)* zarówno przedstawicielom Francji jak i rządowi praskiemu „pozytywne rozpatrzenie sprawy, podporządkowujące uczucia chłodnemu rozsądkowi" — to znaczy ustąpienie naciskowi Anglii.

Chamberlain był tak mocno zdecydowany narzucić zainteresowanym państwom ultimatum Hitlera, że nie zaniedbał niczego, aby je uczynić „strawnym". Poprzedniego dnia dokazał tej sztuki, że przekonał swoich współpracowników o konieczności przyjęcia w zasadzie decyzji o gwarancji angielskiej dla przekształconej Czechosłowacji po sukcesie popieranego przezeń „rozwiązania".

Może szlachetni dżentelmeni byli już wtedy przekonani, że ta „gwarancja" nie będzie niczym więcej niż platoniczną obietnicą, jak to istotnie stało się w przyszłości — w każdym bądź razie ta „gwarancja" Anglii, dotychczas nie sięgająca poza Ren, była argumentem, który usunął ostatnie zastrzeżenia ministrów francuskich.

Wreszcie Chamberlain nie pominął okazji roztoczenia przed oczami swoich francuskich rozmówców wizji tego „ogólnego uspokojenia", które było pretekstem jego polityki ustępstw wobec państw totalnych, a którym posłużył się także i Hitler w Berchtesgaden. W tej chwili znów bowiem była mowa o zebraniu się konferencji czterech mocarstw zachodnich, a nawet wymieniano jako miejsce tego zebrania Monachium!

Sir Nevile Henderson robi na ten temat w swojej książce taką dumną uwagę: „P. Neville Chamberlain lojalnie (sic) dotrzymał swego przyrzeczenia". Rozumie się, swego „przyrzeczenia" wobec Hitlera.

Z chwilą, gdy ultimatum Hitlera zostało przyjęte przez ministrów francuskich, pozostawała do uregulowania najdelikatniejsza i najtrudniejsza kwestia: doręczenia tego strasznego dokumentu Pradze. Nad tą właśnie sprawą toczyły

się narady francusko-angielskie. Francja miała dać do zrozumienia swemu sprzymierzeńcowi, że nie może już na nią liczyć i że wszystko, co można mu ofiarować — to jego amputacja, ukazana jako jedyny środek uniknięcia ogólnej katastrofy.

Zamiast pocieszenia dla tego nieszczęśliwego kraju ci, którzy żądali jego samobójstwa pod pretekstem, że i tak jest skazany na śmierć, starali się go przekonać, że rodzaj śmierci, zalecany mu — wybrany dla niego — jest najkorzystniejszy ze wszystkich możliwych. I Praga ustąpiła.

Rozbiór Czechosłowacji z rozkazu Hitlera został więc postanowiony pod naciskiem dwóch „wielkich mocarstw demokratycznych", i podczas gdy Zgromadzenie Ligi Narodów urzędowało w Genewie — Chamberlain, prawdziwy tryumfator, pospiesznie udał się samolotem — rano 22 września — na spotkanie z Hitlerem, aby zdać mu sprawę, że żądania jego ultimatum zostały przyjęte.

III

Drugie spotkanie Chamberlaina z Hitlerem odbyło się w Godesbergu nad Renem. Obfitowało ono w niespodzianki dla premiera Anglii. Chamberlain zagaił rozmowę zdając, że tak powiemy, raport Hitlerowi. Otrzymawszy zgodę swojego gabinetu, rządu francuskiego, a nawet rządu czechosłowackiego, wraca — powiedział — aby naradzić się z Führerem co do sposobu wykonania umowy, tak jak to postanowili w Berchtesgaden.

Tymczasem Hitler powiedział kategorycznie: — „Żałuję bardzo, ale to już nie jest aktualne".

Chamberlain wyraził wówczas swe „zdziwienie i oburzenie". Po trzech godzinach burzliwej dyskusji posiedzenie się skończyło.

Premier Anglii podzielił się swym „zdziwieniem" kilka dni później (28 września) z Izbą Gmin. Jeśli mu wierzyć, znalazł się „w obliczu zupełnie nieoczekiwanej sytuacji". — „Spodziewałem się" — mówił dosłownie — „że wróciwszy do Godesbergu będę mógł spokojnie (sic) porozmawiać z nim (Hitlerem) o propozycjach, które przywiozłem ze sobą".

Premier angielski nie zdawał sobie sprawy z tego, że to był właśnie plon jego nadmiernej gorliwości. Im więcej ustępował, tym bardziej wymagający stawał się Hitler. „Zdobywszy jedną pozycję, pan Hitler już atakował następną" — zauważa sir Nevile Henderson objaśniając zachowanie się Hitlera w Godesbergu. Sam Chamberlain mówił w swoim *exposé* z 28 września, wśród śmiechu opozycji: — „On (Hitler) powiedział mi później, że ani przez chwilę nie spodziewał się mojego powrotu z potwierdzeniem przyjęcia zasady wolnego wyboru dla Sudetów".

W gruncie rzeczy Chamberlain był niewolnikiem swojego „planu" Sądził, że przybywając drugi raz w celu porozumienia się z Hitlerem położy wreszcie podwaliny pod anglo-niemieckie porozumienie. Przed odlotem z aerodromu w Heston w wywiadzie udzielonym dziennikarzom określił swoje spo-

tkanie z Hitlerem jako konieczny wstęp do bliższego porozumienia między angielskim a niemieckim narodem.

Hitler wiedział o tym, bo również podjął ten temat w Godesbergu, powtarzając „bardzo poważnie, że chce być przyjacielem Anglii, i że jeżeli tylko sprawa Sudetów zostanie załatwiona pokojowo, będzie rad ponownie przystąpić do pertraktacyj". (Według *exposé* Chamberlaina w Izbie Gmin 28 września 1938).

W tych warunkach premier wcale nie powinien był się „dziwić", ani też „być zaskoczonym". Hitler wymagał wciąż więcej, z taką samą logiką, z jaką on, Chamberlain, ustępował.

Toteż fakt, że Hitler „nadużył jego zaufania nie dotrzymując mu słowa", nie mógł zupełnie wpłynąć na pertraktacje. Postąpić inaczej znaczyłoby narazić swój „plan" na niebezpieczeństwo.

Pierwsza rozmowa skończyła się bez wyznaczenia następnego spotkania, i Chamberlain usiłował zorganizować nowe spotkanie; tym bardziej, że Hitler rozmyślnie nie dał znaku życia do późnych godzin popołudniowych następnego dnia. Chamberlain napisał najpierw dwa listy do Führera, który odpowiedział natychmiast; lecz nie wynikła stąd żadna zmiana wzajemnych stosunków. Następnie premier angielski posłał do Ribbentropa swych doradców, którzy mieli poddać mu pomysł, aby Hitler wyłożył w oficjalnym dokumencie „właściwy charakter" swoich propozycyj w sprawie zajęcia kraju Sudetów. Pomysł ten oczywiście przyjęto i rozmowy zostały podjęte wieczorem. Niemcy przygotowali już memorandum. Hitler twierdził, że jego żądania „są jego ostatnim słowem". Cóż prostszego? Już sam krok premiera angielskiego dopuszczał wysunięcie nowych żądań.

Hitler dawał rządowi czeskiemu tylko cztery dni na ewakuację terytorium Sudetów. Chamberlain zauważył, że jest to prawdziwe dyktando narzucone krajowi, który z własnej woli wyrzekał się części swego terytorium, nie będąc zwyciężonym „podczas wojny". Premier brytyjski niezupełnie jeszcze stracił poczucie rzeczywistości.

— To nie jest dyktando — odpowiedział Hitler. — Proszę spojrzeć na dokument: ma nagłówek memorandum...

Taki był ton tych rozmów, od których zależał — wraz z niepodległością jednego kraju — pokój całego świata.

Ten dokument przyjął Chamberlain pod pretekstem, że nie mógł odmówić jego przyjęcia „jako mediator" (sic) i podjął się przedłożenia go rządowi Czechosłowacji, oświadczając przy tym, że nie może go zalecić. Tymczasem, jak twierdził komunikat półoficjalnej agencji niemieckiej D. N. B., najważniejsze było to, że premier angielski „podjął się przekazania" ultimatum Hitlera rządowi czechosłowackiemu. Bo przecież, o ile chodziło o niego, sam fakt przyjęcia tego dokumentu świadczył o tym, że wyrażał on gotowość wzięcia pod uwagę nowych żądań Hitlera. I Hitler mógł liczyć na tego aż nazbyt przychylnego „mediatora", który się podejmował przeprowadzenia w łagodny sposób rozbioru Czechosłowacji.

Chamberlain opuścił Godesberg nazajutrz po swoim drugim widzeniu się z Hitlerem, tj. 24 września. Po powrocie do Londynu, mając za jedyny „rezultat swej misji", jak się sam wyraził, ultimatum Hitlera, znalazł się w obliczu zupełnie nowej sytuacji. We Francji od rana postanowiona była częściowa mobilizacja. Rada ministrów zwołana w godzinach popołudniowych w Paryżu dla naradzenia się nad „memorandum" godesberskim postanowiła je odrzucić. Od chwili rozpoczęcia się kryzysu po raz pierwszy opór Francji zarysował się w tak wyraźny sposób.

Z drugiej strony zaostrzała się opinia brytyjska. Opozycja przeciwko polityce premiera ujawniała się nawet wśród ministrów.

W tej to naprężonej atmosferze zebrała się w Londynie druga konferencja franko-brytyjska w sprawie Czechosłowacji. Ministrowie francuscy, którzy przybyli w tym celu do stolicy Anglii, poinformowali rząd angielski, że jeżeli Czechosłowacja zostanie zaatakowana, Francja wypełni zobowiązania traktatu. Tym razem Chamberlain nie mógł się wymigać. Musiał oświadczyć w imieniu swojego rządu, że jeżeli w konsekwencji tych zobowiązań Francja rozpocznie kroki przeciwko Niemcom, Anglia będzie się poczuwała do obowiązku poparcia jej. (*Exposé* Chamberlaina z 28 września 1938).

Tak więc Chamberlain musiał z przykrością stwierdzić, że gra nie jest jeszcze skończona. W Godesbergu udało mu się uniknąć zerwania z Hitlerem; otóż właśnie echa tego „sukcesu" w samej Anglii i w innych zainteresowanych krajach groziły teraz zniweczeniem jego pięknej pracy. Lecz jaka będzie ostatecznie postawa Anglii w stosunku do „memorandum" Hitlera? Wszystko zależało od tego. Moment zdawał się sprzyjać przyjęciu określonej i zdecydowanej postawy. Hitler miał wygłosić nazajutrz, 26 września, mowę, co do której przypuszczano, że będzie zasadniczym wydarzeniem, z którego wyniknie wojna — lub pokój. Chamberlainowi udało się odłożyć jakąkolwiek decyzję, aby zostawić otwartą drogę do nawiązania dalszych „pertraktacyj". A jego wielkim argumentem było to, że — ze względu na znaczenie przywiązywane do oczekiwanej mowy Hitlera — lepiej będzie zrobić ostateczny wysiłek, aby dojść do jakiegoś układu, zanim padnie „ostatnie słowo" Führera. W ten sposób premier angielski uzyskał bez trudu aprobatę ministrów francuskich dla posłania osobistego pisma do Führera. „Pertraktacje" trwały.

26 września sir Horacy Wilson wyleciał z Londynu samolotem, wioząc list premiera Anglii do Führera. Mówiono wtedy, że pismo to było właśnie tym ostrzeżeniem, na które czekali wszyscy. Premier po prostu znów podejmował dyskusję godesberską. Po wyłożeniu swej aktywności w charakterze mediatora, co było sposobem dla zaznaczenia neutralności Anglii, po podkreśleniu, że chodzi wyłącznie o niezgodę pod względem formalnym, a nie zasadniczym, Chamberlain rzucał pomysł zwołania konferencji niemiecko-czeskiej, w której mógłby brać udział — jako mediator — przedstawiciel Anglii, „dla natychmiastowego omówienia sytuacji... w celu uregulowania we wspólnym porozumieniu sposobu cesji terytorium Sudetów".

W międzyczasie pod adresem Pragi wysunięto pytanie o ewentualnym udziale Czechosłowacji w takiej konferencji; Praga natychmiast odpowiedziała, że się zgadza.

W chwili więc, kiedy Führer miał powiedzieć swoje „ostatnie słowo", zamiast jakiegokolwiek „ostrzeżenia" otrzymał z Londynu przyjacielski list („Drogi Kanclerzu Rzeszy..."), w którym premier brytyjski zdeklarował swoją „neutralność" i w ogóle starał się go przekonać, że nie miałoby sensu narażanie się na ryzyko wojny, aby wziąć gwałtem to, co on sam, Chamberlain, przyrzeka mu zapewnić na „pokojowej" drodze pertraktacyj.

IV

Przemówienie Hitlera z 26 września było prawdziwym ultimatum pod adresem Czechosłowacji. Jeżeli rząd czechosłowacki nie opuści z własnej woli całego kraju Sudetów w terminie do 1 października, Niemcy zajmą go w tym terminie.

Jednocześnie wszakże odwoływał się Hitler do neutralności Anglii robiąc pochlebcze aluzje do wysiłków Chamberlaina dla utrzymania pokoju, oraz potwierdzając własną chęć utrzymania dobrych stosunków z Anglią, czego dowodem, jak mówił, było zawarcie przymierza morskiego. Premier zaś Anglii czuł się do głębi wzruszony tym głosem syreny. Otrzymał zresztą w międzyczasie odpowiedź Führera na swój list, doręczony poprzedniego dnia przez sir Horacego Wilsona — odpowiedź oczywiście utrzymaną w tym samym tonie.

Mowa Hitlera nie przyniosła więc żadnej zmiany w jego postawie. Nazajutrz, 27 września, Chamberlain posłał nowe instrukcje i nowy list do sir Horacego Wilsona, aby go wręczył Führerowi. W tym liście oświadczał bez ogródek: „Jestem pewien, że pan może otrzymać zadośćuczynienie we wszystkich zasadniczych sprawach, bez wojny i bez zwłoki". I dodawał: „Jeśli pan sobie tego życzy, gotów jestem osobiście udać się do Berlina, aby omówić termin oddania Sudetów z panem i z przedstawicielami rządu czeskiego przy udziale przedstawicieli rządu francuskiego i włoskiego. Jestem przekonany, że w ciągu jednego tygodnia będziemy mogli dojść do porozumienia".

W ten sposób premier obiecał osobiście przybyć, by złożyć u stóp Führera, w jego stolicy, całkowitą kapitulację niepodległego państwa. I jak gdyby się obawiał, że to może być uważane za niewystarczające, zobowiązywał się również przyprowadzić ofiarę i brał na siebie zapewnienie jej posłuszeństwa.

„Jakakolwiek może być pańska nieufność w stosunku do rządu praskiego — pisał — nie może pan wątpić o tym, że rządy brytyjski i francuski mają możność sprawienia, aby przyrzeczenia były dotrzymane całkowicie i natychmiast. Pan wie o moim oświadczeniu, że jesteśmy gotowi uczynić wszystko, aby się tak stało".

Sir Horacy Wilson spotkał się z Hitlerem 27 września, o godzinie 12.15.

Jednak to spotkanie nie było szczęśliwsze od poprzedniego. Hitler cały czas zachowywał się jak w ataku furii. Krzyczał wściekle: „Ja zmiażdżę Czechów!"

Wtem stało się coś nieoczekiwanego: wysłannik angielski oświadczył Hitlerowi, że dostał od swego premiera polecenie zakomunikowania mu, iż „w wypadku jeżeli Francja spełniając zobowiązania wynikające z traktatów będzie wciągnięta we wrogie kroki w stosunku do Niemiec, Anglia będzie się poczuwała do obowiązku przyjścia jej z pomocą".

Führer od razu się uspokoił. Odpowiedział, że może jedynie przyjąć do wiadomości to oświadczenie.

— Jeżeli Francja i Anglia zaatakują — zawołał — wolna droga. Jest mi to zupełnie obojętne. Jestem przygotowany na każdą możliwość.

Rozmowa skończyła się tym dramatycznym akcentem. Sir Horacy Wilson wrócił do Londynu po południu tego samego dnia.

Otóż tych kilka stanowczych słów wypowiedzianych przez wysłannika angielskiego po tylu ośmielających oświadczeniach i tylu wspólnictwach — i po Berchtesgaden i Godesberg — wywarły swój skutek. Hitler był nimi wyraźnie strwożony. Z pewnością zadawał sobie pytanie, czy nie za daleko posunął swoją grę opartą na szantażu. Nic bowiem tak go nie przerażało, choć udawał, że przyjął wyzwanie, i choć twierdził, że jest „przygotowany na wszelkie możliwości" — jak myśl, że może być zaangażowany w konflikt, w którym Anglia i Francja będą walczyć wspólnie. Toteż pospiesznie się wycofał, pisząc natychmiast nowy list — tym razem w tonie przepraszającym.

W liście tym usiłował usprawiedliwić swoje zachowanie i prosił Chamberlaina, aby nadal używał swych wpływów dla przyprowadzenia rządu praskiego do rozsądku. Nie było więc już mowy o „zmiażdżeniu" Czechów. Wreszcie Hitler zapewniał premiera angielskiego, że z chwilą gdy kraj Niemców Sudeckich zostanie wcielony do Rzeszy, on sam przestanie interesować się Czechosłowacją i nie będzie robił żadnych zamachów na jej niepodległość.

List ten mógłby być punktem zwrotnym w „kryzysie czechosłowackim" i — może mógłby odwrócić Monachium. O co bowiem właściwie chodziło w tym „kryzysie"? O to, by wiedzieć, czy istniało rzeczywiste niebezpieczeństwo wojny, usprawiedliwiające politykę ustępstw Chamberlaina, czy też to wszystko było tylko bluffem. List do Chamberlaina przekonał najbardziej naiwnych i łatwowiernych, że Hitler bluffuje. Wystarczało przypuszczenie, że Anglia jednak mogłaby wystąpić przeciw Niemcom, aby srożący się Hitler stracił tupet.

Sam sir Nevile Henderson musiał przyznać w swych wspomnieniach, że „ten list był wyraźną próbą pogodzenia się i zdradzał pewną nerwowość" (sic). Ale dla tego dyplomaty-psychologa ten „zbawienny zwrot" w umyśle Hitlera nie został spowodowany ostrzeżeniem sir Horacego Wilsona, lecz „szczęśliwym przypadkiem"! Z tego widać, w jakich rękach spoczywały w tym krytycznym momencie los i życie milionów istot ludzkich.

Z listu Hitlera Chamberlain zapamiętał jedynie prośbę o interwencję w Pradze. Pośpieszył się też ze spełnieniem tej prośby. Porozumiał się niezwłocznie

z rządem francuskim i otrzymał zgodę na zaproszenie rządu czeskiego, aby zgodził się na „natychmiastowe" odstąpienie terenów Sudetów z „poszanowaniem" terminu zagwarantowanego (Hitlerowi!) przez rząd Jego Królewskiej Mości.

„Propozycje" te zostały zakomunikowane rządowi praskiemu z dodatkiem pogróżek Hitlera. Chamberlain przypominał o „decyzji" Führera zajęcia terytorium Sudetów w wypadku, jeśliby nie otrzymał natychmiastowej satysfakcji, i ukazywał ponury obraz przyszłości Czechosłowacji w razie gdyby nie ustąpiła bezzwłocznie. A więc właśnie w chwili, kiedy Führer się cofał — premier angielski podejmował się spełnienia wszystkich jego żądań. Faktycznie w dalszym ciągu „używał swego wpływu" dokładnie w tym znaczeniu, jakie mu wskazał Hitler w ostatnim liście. Wieczorem pamiętnego dnia 27 września przemówił w radio wyrażając *désintéressement* Anglii co do losów Czechosłowacji.

Premier angielski — odtąd pewny swej gry — zrzucił maskę. Po komedii „mediacji" „mediator" — zdoławszy sparaliżować Francję i uniemożliwić ofierze jakikolwiek opór, aby ją przyprowadzić do kata — porzucał jej obronę głosząc, że los jej nie wart tego, żeby się nim zajmować.

Jednocześnie stało się jasne, że „stanowczość", której dowód dał jego wysłannik, sir Horacy Wilson, podczas swego ostatniego widzenia się z Hitlerem, była jedynie manewrem taktycznym, nie mającym na celu nauczenia Hitlera rozumu. Chodziło tylko o nastraszenie Führera, aby stał się łatwy do prowadzenia i żeby się dał „pokierować" Chamberlainowi w myśl jego „planu". I udało się to całkowicie.

Wszystko to dowodzi, że w chwili gdy premier angielski twierdził, iż nie ma innego sposobu „uratowania pokoju" prócz kapitulacji wobec nazistowskich Niemiec — że w tej właśnie chwili był całkowicie świadomy zbawiennego wpływu, jaki mogło wywrzeć na Hitlera — w rzeczywistym interesie pokoju — zajęcie przez Anglię stanowczego i niedwuznacznego stanowiska.

V

Los Czechosłowacji został więc faktycznie rozstrzygnięty 27 września 1938; zgoda pomiędzy Hitlerem a Chamberlainem co do sposobu rozbioru tego kraju była zupełna; przewidywano konferencję w Monachium, a jej program był już całkowicie przygotowany: „propozycje" zostały przekazane przez rząd brytyjski rządowi praskiemu.

A więc Chamberlain przesadzał nieco pisząc kilka dni później (12 października) do jednej ze swych sióstr o „tych godzinach agonii, kiedy się wydawało, że znikła wszelka nadzieja". Teraz premier angielski mógł spokojnie upajać się sukcesem swego dzieła. Odtąd wykonanie „planu" było zapewnione.

Wypadki, które — jak wyrażał się Chamberlain w tym liście — „z przerażającą szybkością i pewnością popychały na skraj przepaści", były niczym

innym, jak zręcznie zrobioną i umiejętnie wykorzystaną inscenizacją; jej zadaniem było największe nasilenie „paniki" w celu urzeczywistnienia konferencji w Monachium — prawdziwego arcydzieła mistrzów z *Foreign Office* — która miała uwieńczyć tryumf premiera Anglii.

Jest faktem nie ulegającym wątpliwości, że w dniu 28 września policja i armia czechosłowacka najzupełniej panowały nad sytuacją na całym obszarze Republiki; słynna „mobilizacja" zwolenników Henleina i ich ochotniczych oddziałów" (*Freikorps*) o liczebności 150 000 ludzi, z ich „sztabem generalnym" złożonym z oficerów „armii Rzeszy", z którym się bardzo liczono w Londynie — okazała się zwykłą farsą. Wszystko to była propaganda, mająca na celu zatrwożenie opinii świata i ukazanie Czechosłowacji jako kraju w przededniu wewnętrznego rozprzężenia.

Obrót, jaki przybrały negocjacje z Hitlerem, zwłaszcza po jego cofnięciu się, ujawnionym w ostatnim jego liście do premiera Anglii, nie dawał żadnego powodu do pesymizmu. Pesymistyczny ton wprowadził Chamberlain w przemówienie radiowe w dniu 27 września. — W chwili obecnej — powiedział — nie widzę możliwości zrobienia czegoś więcej, jeśli chodzi o działalność pośredniczącą. Wyglądało na to, że „mediator" porzuca sprawę, wątpiąc o wyniku.

Korzystając z całkowitej niewiedzy opinii publicznej — a w pewnej mierze i rządu francuskiego — o tym, co się działo za kulisami, a mianowicie o sekretnej korespondencji pomiędzy Chamberlainem a Hitlerem, stworzono pozory, że wszystko — wojna czy pokój — zależy od decyzji, jaką miał powziąć nazajutrz Hitler. Jeżeli rząd praski nie zadośćuczyni jego żądaniom przyjmując „propozycje" wysunięte przez Londyn, powszechna mobilizacja rozpocznie się dnia 28 września o godzinie drugiej po południu.

W celu większego zaniepokojenia opinii publicznej wiadomość tę to dementowano, to znów potwierdzano. Z drugiej strony robiono wszystko, aby wzmocnić „panikę" przez pospiesznie stosowane posunięcia natury militarnej: kopanie rowów w parkach londyńskich, rozdawanie masek przeciwgazowych, ustawienie dział D. C. A. na skrzyżowaniach ulic i na mostach; posunięto się nawet do mobilizacji floty, co było, zapewne, środkiem ostrożności, ale tym niemniej wyglądało raczej na gest o charakterze widowiskowym.

— Były dni — powiedział Duff Cooper w przemówieniu z dnia 3 października 1938 — kiedy żądałem mobilizacji floty. Sądziłem, że to będzie jedyna mowa, którą pan Hitler łatwo zrozumie. W końcu sierpnia zażądałem, aby powzięto środki zmierzające ku temu. Zażądałem tego również przed podróżą Premiera do Berchtesgaden. Napomknąłem, że mobilizacja floty powinna być przedsięwzięta jednocześnie z misją sir Horacego Wilsona; przypominam sobie odpowiedź Premiera — że właśnie to posunięcie udaremniłoby tę misję...

Gdyby flota została zmobilizowana wtedy, gdy żądał tego odpowiedzialny za nią minister, miałoby to jakiś sens i na pewno dałoby Hitlerowi wiele do myślenia. W chwili jednak, kiedy mobilizacja została faktycznie przeprowadzona, nie mogła absolutnie mieć praktycznego znaczenia z tego powodu, że Chamber-

lain puścił już w ruch mechanizm konferencji monachijskiej.

Chamberlain był więc szczery w przemówieniu z 27 września, kiedy zapewniał słuchaczy, że „środki ostrożności" zastosowane przez niego niekoniecznie oznaczają, iż rząd postanowił prowadzić wojnę. Wiedział też dokładnie, co mówił, gdy — w tym samym przemówieniu — prosił słuchaczy, „aby spokojnie oczekiwali wypadków najbliższych dni". Myślał już wtedy o Monachium.

Historia mobilizacji niemieckiej mogła jednak wziąć zły obrót. Jeśliby nie wszystko poszło według przewidywań, jeśliby decyzja nie została powzięta przed drugą po południu, godziną ustaloną na mobilizację — Führer mógłby stracić swoją „niedźwiedzią skórę".

Aby zaradzić temu „niebezpieczeństwu", Chamberlain posłał sir Nevile'owi Hendersonowi do Berlina telegraficznie wiadomość dla Hitlera, w której powtarzał swe oświadczenie: że gotów jest „natychmiast" przybyć do Berlina dla omówienia procedury oddania Sudetów z nim i z przedstawicielami Czechosłowacji, a jeżeli Führer życzy sobie tego, również z przedstawicielami Francji i Włoch.

Jedynym powodem wysłania tej noty była chęć usprawiedliwienia depeszy do Mussoliniego, wysłanej w celu wywołania interwencji Włoch. W tej drugiej depeszy Chamberlain zawiadamiał Duce, że wystosował do Führera „ostatni apel"; prosił go nadto, aby zechciał oznajmić Führerowi, że Włochy gotowe są wziąć udział w konferencji, i aby ze swej strony skłonił go do przyjęcia propozycji Chamberlaina.

I stał się „cud"! Hitler spotkał się rano z p. François-Poncet, ambasadorem Francji, który miał mu zakomunikować to samo, co jego kolega z Wielkiej Brytanii. W toku rozmowy, dokładnie o godzinie 11 minut 40, Führer wyszedł z pokoju, aby przyjąć ambasadora Włoch; ten ostatni przybył z apelem Mussoliniego, aby odroczyć mobilizację na dwadzieścia cztery godziny. Hitler — który nie otrzymał nawet jeszcze telegramu od Chamberlaina! — od razu się zgodził. Jakby „szczęśliwym zbiegiem okoliczności" nota Duce nadeszła do Kancelarii Rzeszy dwie godziny dwadzieścia minut przed „godziną H".

Kiedy o 12.15 sir Nevile przybył do Hitlera, aby mu wręczyć posłanie premiera Anglii, ten krok był już nieaktualny. „W rzeczywistości" — zauważa z właściwą sobie naiwnością ambasador Jego Królewskiej Mości — sprawy ułożyły się tego rana jeszcze przed moim przybyciem do Kancelarii Rzeszy". Hitler mógł go już powiadomić o dobrej nowinie. Od razu na początku powiedział mu:

— Na prośbę mojego wielkiego przyjaciela i sprzymierzeńca, Mussoliniego, odroczyłem o dwadzieścia cztery godziny mobilizację mojego wojska".

W poprzednim telegramie Duce oznajmił Führerowi, że jest skłonny przyjąć propozycje angielskie w sprawie konferencji czterech mocarstw. Była to pierw-

sza „oficjalna" propozycja zebrania konferencji w Monachium. Mussolini doskonale odegrał swą rolę *deus ex machina,* podyktowaną mu przez Chamberlaina. Oczywiście Hitler przyjął również i tę nową sugestię swego „wielkiego przyjaciela". Natychmiast też wysłano do rządów londyńskiego i paryskiego zaproszenia na konferencję czterech w Monachium, podając jednocześnie wiadomość o odroczeniu mobilizacji niemieckiej.

O godzinie trzeciej po południu Chamberlain miał przemówienie w Izbie Gmin. Był to prawdziwie teatralny efekt: w chwili, gdy wszystko zdawało się stracone i gdy oczekiwano ultimatum pod adresem Niemiec — premier oznajmił, wśród frenetycznych oklasków Zgromadzenia, wielką nowinę: że Hitler zaprosił jego, Daladiera i Mussoliniego na konferencję, która odbędzie się nazajutrz w Monachium.

W liście do siostry z dnia 2 października Chamberlain określa wiadomość o odroczeniu mobilizacji niemieckiej jako „wiadomość o wybawieniu". A w przemówieniu z 28 września w Izbie Gmin przedstawił Mussoliniego jako „tego, który uratował pokój". Zapominając skromnie o swojej własnej roli twierdził, że interwencji Duce należy zawdzięczać „odroczenie końcowego etapu mobilizacji na dwadzieścia cztery godziny" w celu dania mocarstwom „możliwości omówienia sytuacji"...

Sir Nevile Henderson ze swojej strony pisze o tym w pamiętnikach: „Gdyby został wydany rozkaz mobilizacji, cofnięcie się byłoby niemożliwe i Czechosłowację spotkałby ten sam los, co w rok później Polskę. Gdyby nic nie zaszło do godziny drugiej po południu, Hitler niewątpliwie dałby swym wojskom rozkaz wymarszu".

Otóż nic nie wskazuje na to, że bez interwencji Mussoliniego zostałby wydany rozkaz mobilizacji i że wojska niemieckie ruszyłyby na Pragę; przeciwnie, można równie dobrze twierdzić, że bez interwencji Mussoliniego Führer przestałby się „nadymać", a jego bluff zostałby ujawniony. Najprawdopodobniej bowiem nie odważyłby się wykonać swej groźby mobilizacji.

Niewątpliwie, jak mówi sir Nevile Henderson, interwencja włoska była „decydującym i ostatecznym czynnikiem zachowania pokoju". Ale ta interwencja doszła do skutku na wyraźną prośbę Chamberlaina. Jak się wyraził ambasador angielski, „pozwoliło to Hitlerowi cofnąć powzięte postanowienie bez ujmy dla honoru".

Zresztą w tej inscenizacji konferencji monachijskiej, gdzie wszystko zostało zawczasu ułożone, przewidziane i przygotowane, nawet rola *deus ex machina,* którą odegrał Mussolini, była ustalona przedtem. Chamberlain pozostawał w kontakcie z Duce od czasu Berchtesgaden, skąd posłał do niego depeszę 15 września, po swojej rozmowie z Hitlerem. (*Times* z dnia 16 września). Nazajutrz angielski *chargé d'affaires* w Rzymie spotkał się z hrabią Ciano. Omówili wspólnie „możliwość współpracy obu rządów", oczywiście współpracy dotyczącej sprawy czechosłowackiej (*Times* z dnia 17 września). Wreszcie w tym samym czasie w Londynie lord Halifax odbył rozmowę z hrabią

Grandi, ambasadorem Włoch, i z lordem Perth, ambasadorem Wielkiej Brytanii w Rzymie; na skutek tej rozmowy ten ostatni, przebywający wówczas na urlòpie, wrócił natychmiast do Rzymu.

Konferencja monachijska była również — i przede wszystkim — tryumfem polityki zbliżenia z Niemcami. Dla Anglii najważniejszym wydarzeniem tych „historycznych dni" było angielsko-niemieckie oświadczenie, podpisane przed porozumieniem „Czterech" przez Chamberlaina i Hitlera.

Fakt ten rzuca oślepiające światło na politykę Chamberlaina w ogóle, a w szczególności na z góry ułożone rezultaty Monachium. W liście do siostry z dnia 2 października 1938 Chamberlain „odkrywa tajemnicę", że „udając się do Monachium miał w kieszeni przygotowany tekst deklaracji anglo-niemieckiej".

„Kiedy oczekiwaliśmy ostatecznego zredagowania tekstu dokumentów (porozumienia monachijskiego) — opowiada dalej, — około pierwszej rano zapytałem Hitlera, czy uważa za stosowne odbycie ze mną rozmowy na osobności. Zapalił się do tego pomysłu i poprosił mnie, abym mu towarzyszył do jego prywatnego mieszkania, znajdującego się w kamienicy, której inne piętra zamieszkiwały zwyczajne osoby cywilne". Rozmowa ich była „przyjacielska". Mówiono o Hiszpanii, o stosunkach ekonomicznych z południowo-wschodnią Europą i o rozbrojeniu. Hitler nie uczynił najmniejszej wzmianki o koloniach. „Na ostatku — dodaje Chamberlain — wyjąłem z kieszeni deklarację, którą uprzednio przygotowałem, i spytałem, czy zechce ją podpisać. W miarę tłómaczenia jej na niemiecki Hitler zaznaczał ustępy słowami *Ja, ja,* a kiedy skończyłem, powiedział: — Oczywiście podpiszę. Kiedy to zrobimy? — Odpowiedziałem: — Natychmiast. — Co zostało wykonane.

Był to prawdziwy „sukces" Chamberlaina, urzeczywistnienie jego „planu". Premier Anglii wyraził swe najskrytsze dotąd myśli w wywiadzie udzielonym gazecie *Voelkischer Beobachter* (1 października) przed wyjazdem ze stolicy Bawarii. Mówi tam:

„Nigdy nie ukrywałem, że gdy zaczynałem rozpatrywać kwestię sudecką, miałem o wiele rozleglejsze zamiary... Cieszyłem się z tego, że kryzys doprowadził do osobistego kontaktu między działaczami politycznymi obarczonymi największą odpowiedzialnością, a zwłaszcza z kontaktu z Führerem...".

W „kryzysie czechosłowackim" — w tej amputacji zaprzyjaźnionego kraju — ten „naprawdę uczciwy człowiek" dostrzegał jedynie coś, co go napełniało radością: okazję, jakiej mu to dostarczało do porozumienia się z Hitlerem!

Tę właśnie anglo-niemiecką deklarację monachijską, tryumf Chamberlaina, pokazywał z dumą premier angielski szalejącemu tłumowi na lotnisku w Heston po swym powrocie do Londynu. Mówił przy tym: — „Jest to pokój dla naszej epoki!"

sprawie zbiorowego bezpieczeństwa? W każdym bądź razie był pewien, że zostawiając Niemcom „wolne ręce na Wschodzie", zapewniał pokój Anglii.

W przemówieniu, jakie miał 1 października — po swoim powrocie do Londynu — w Izbie Gmin, zrobił następujące wyznanie, które dokładnie wyjaśniało całą jego politykę na tle „kryzysu czechosłowackiego":

— Pod względem geograficznym Niemcy powinny zajmować naczelne stanowisko w tej (środkowej) części Europy... Teraz to stanowisko zajmują faktycznie! — I dodał: — Co do nas, nie pragniemy wcale zabronić Niemcom dostępu do tych krajów.

Było to cyniczne przyznanie się do tego, że odegrał w „kryzysie czechosłowackim" ponurą komedię: podał się za bezstronnego „mediatora", podczas gdy miał „znacznie rozleglejsze zamiary" i myślał jedynie o tym, by stanąwszy na trupie Czechosłowacji podać rękę Hitlerowi.

Europe, październik 1947.

Przełożyła *Maria Leśniewska*

„W GRZMIĄCEJ" PO RAZ DRUGI

Władysław Kowalski: *W Grzmiącej*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1947; str. 272 i 4 nl.

SZKLĄNE DOMY I WZNIESIONA PIĘŚĆ

Przerzucając w pamięci te karty naszej literatury, na których chłop polski został utrwalony w kształcie artystycznym, stwierdzimy, że występują tutaj dwie odrębne koncepcje ideologiczne, decydujące o problematyce i stylu utworów. Jedna opiera się na romantycznej wierze w lud, w drzemiącą na dnie jego duszy moralną moc, na sielankowej i nierealnej wizji wiejskiego życia. Druga na istniejącym od wieków konflikcie społecznym.

Te dwie koncepcje splatają się nieraz ze sobą w czujnej wrażliwości na chłopską nędzę, by rozejść się znowu w poszukiwaniu rozwiązań. Jedno z nich bowiem leży na drodze utopijnego w realnym układzie socjalnym altruizmu i zbratania wszystkich warstw społecznych w imię wspólnego dobra. Drugie na drodze nieubłaganej klasowej walki, która wychowuje gnębionych w świadomości krzywdy i pragnieniu odwetu.

Po jednej stronie znajdzie się zarówno „wieś spokojna, wieś wesoła" Kochanowskiego, jak mickiewiczowskie „prawdy żywe" znane jedynie dla ludu, jak naiwny solidaryzm hasła „z szlachtą polską polski lud" i „harmonijne dążenia wszystkich warstw narodu do wspólnego celu — udoskonalenia się" — jak głosi manifest Towarzystwa Demokratycznego. Tutaj także wyrośnie zmonumentalizowana postać Boryny z *Chłopów*, który jeszcze stygnącą ręką rzuca ziarno w umiłowaną ziemię, tutaj w sąsiedztwie „wyspiańszczyzny" i „reymontowszczyzny" ukaże się wizja błędnego rycerza-bandosa, który „deptał strudzonymi stopami wszystkie gościńce ideów" marząc, że kiedyś „ustanie skarga żeńców lecąca po rannych rosach z pokolenia na pokolenie"; tutaj wreszcie Franek Rakoczy z orkanowskich Roztok sam jeden podejmie walkę z opornym społeczeństwem o kolektywną gospodarkę w przystopskiej gminie i będzie snuł marzenia o „szklanych domach" — białej szkole, czyściutkich osiedlach, kwiecących się sadach i kosiarzach chylących się w ochotnej pracy ludzi wolnych.

W ramach drugiej koncepcji znajduje wyraz problematyka realnych społecznych konfliktów — przygotowana przez literaturę polityczną od Modrzewskiego do Staszica, z żarliwością wysunięta na czoło zagadnień przez emigracyjną gromadę „Grudziąż" — szeroko wreszcie rozbudowana w powieści i noweli od czasu pozytywizmu po dzień dzisiejszy. Jest rzeczą charakterystyczną, że w problematyce tej najwięcej miejsca zajmuje konflikt między dworem a wsią, co więcej, rozrasta się on wówczas właśnie, gdy pańszczyzna — przynajmniej w swych dotychczasowych normach prawnych — przestała istnieć. Owa „problematyka pańszczyźniana" (jeśli tak nazwiemy kompleks zagadnień związanych z niewolą chłopa nawet po jego uwłaszczeniu), znajdująca wyraz w utworach Konopnickiej, nowelach Sienkiewicza i Prusa, pobrzmiewająca także u Reymonta i Sewera — nabiera szczególnej ostrości w literaturze dwudziestolecia międzywojennego, w powieściach Kruczkowskiego, Wasilewskiej, Kowalskiego i innych. Co więcej — snuje się nadal w powieści najnowszej, zarówno u Hołuja jak Gałaja.

Fakt, że rozrost tej problematyki nastąpił dopiero po zniesieniu pańszczyzny, jest uzasadniony nie tylko rozkwitem prozy, która dawała szersze niż dotąd pole dla odtworzenia życia gromady, lecz przede wszystkim przyczynami natury społecznej. Oto wówczas dopiero, gdy ustąpiła zmora

ciążąca nad chłopem w ciągu trzech wieków, ujawniły się w pełni jej skutki: straszliwa ciemnota i głęboko w psychikę sięgające poniżenie. Okazało się ponadto — co było o wiele bardziej istotne — że zniesienie pańszczyzny przyniosło zmianę tylko pozorną, że ucisk i nędza przetrwały nadal, że chłop bez kawałka ziemi wystarczającego na wyżywienie dla niego i na paszę dla krowy był nadal niewolnikiem dworu, którego wpływ gospodarczy ciążył nad okolicą. Tutaj tkwi geneza problematyki *Placówki* i zarysowany tu konflikt między dworem i wsią — owo „dopraszanie się łaski jaśnie pana dziedzica" w sprawach decydujących o bycie chłopa, jak np. wzięcie pańskiej łąki w arendę, owa ugruntowana w ciągu wieków nieufność wobec dziedzica, u którego nawet dobroć jest jedną z pańskich fanaberii.

Obraz chłopskiego życia odtworzony przez pisarzy doby pozytywizmu i późniejszych, w okresie politycznej niewoli, wspierał się jednak — co było zupełnie naturalne — o nadzieję sprawiedliwego ustroju w niepodległej Polsce. Nawet w *Placówce*, choć nie pada tu słowo „ojczyzna", dominuje wola narodowego przetrwania. W wielu zaś innych wypadkach wizja przyszłej wolnej ojczyzny stępiała ostrze społeczne, co Konopnicka wyraziła w słowach: „Kto krzywdę płodzi, niech jeszcze ją płodzi, a który płacze, ten jeszcze niech płacze, noc się przesiła i dzień już przychodzi... Obaczę!" Dopiero więc w drugim dziesiątku niepodległości, gdy w konfrontacji z rzeczywistością zawiodły rachuby zarówno marzycieli, jak trzeźwych organizatorów mas chłopskich — rozkwitła świadoma, choć nie zawsze w pełni mogąca się wypowiedzieć proza radykalnej myśli społecznej. Tutaj także tkwi zarzewie walki, która dopiero po drugiej wojnie światowej objęła szersze tereny: walki z mitologią romantyczną, z owymi właśnie „szklanymi domami" budowanymi przez szlachetne, silne duchem jednostki z pominięciem praw rządzących życiem gromady, której wzniesiona pięść przesłonić musi poetyckie wizje.

W KRĘGU NEGACJI I PAŃSZCZYŹNIANYCH STRASZYDEŁ

Przebieg tej walki z mitologią romantyczną i społecznym wstecznictwem przybiera niejednokrotnie bardzo ostry, a w nowych warunkach rzeczywistości chłopskiej powojennej kto wie, czy nie zbyt przesadny obrót. Jako przykład — zresztą spoza terenu literatury — może posłużyć dyskusja, którą wzbudził drukowany przed kilkoma miesiącami we *Wsi* artykuł Józefa Kapuścińskiego pt. *Wieś doskonała*.

Autor ukazał na terenie pewnej wsi rzeszowskiej współpracę wszystkich warstw społeczeństwa, a więc zarówno ludności chłopskiej, jak nauczyciela, dziedzica i księdza, nad gospodarczym i kulturalnym podniesieniem wsi, i przedstawił w postaci ścisłych danych rezultaty tej współpracy na przestrzeni paru dziesiątków lat. Stanowisko autora spotkało się z ostrym sprzeciwem zarówno ze strony redakcji *Wsi* jak Józefa Pogana, który w dyskusji zarzucił autorowi wsteczną propagandę z tej racji, że uwydatnił pozytywne skutki zbiorowego wysiłku na gruncie wadliwego ustroju, zamiast zwrócić uwagę, że jedyną właściwą drogą było skierowanie całej energii na walkę z istniejącym ustrojem, z księdzem i dziedzicem, który czy to jako okrutnik, czy jako szlachetny filantrop jest równie szkodliwym społecznie zjawiskiem.

Spójrzmy, jak ten spór przedstawia się w swym wydaniu powieściowym. Problematyka społeczna *Kordiana i chama*, *Ojczyzny* czy *W Grzmiącej* opiera się ciągle na tym samym konflikcie wsi i dworu, na schemacie ucisk — niewola, dziedzic — chłop, dobrobyt — nędza, krzywda — odwet; twórczy potencjał tkwiący w psychice chłopa, jego możliwości rozwojowe poruszane są tylko w odniesieniu do innej warstwy i do innej skali wartości. Co więcej, to dziedzictwo stosunków pańszczyźnianych ciąży także na stylu utworów, przejawia się w niemożności wyzwolenia się z pewnych schematów formalnych, uporczywym powracaniu do pewnych artystycznych chwytów, w powtarzaniu programowych wypowiedzi o tym samym niemal wewnętrznym rytmie. Dziedzictwo to było może zrozumiałe przed laty kilkudziesięciu czy przed kilkunastu, lecz objawem niepokojącym staje się, kiedy sięga ono aż do dzisiaj, kiedy autorzy nie mogą wyjść nadal z zaklętego kręgu problematyki związanej z latami negacji i ulegają literackim, a niekiedy publicystycznym konwencjom.

Oto parę przykładów. W oczach Ślimaka miejsce chłopa w świecie, ustalone według odwiecznej hierarchii przez Boga i ludzi, wygląda w ten sposób: „Pan Bóg taki rząd postanowił na świecie, żeby nie było równości. Dlatego niebo jest wyżej, ziemia niżej, sosna wielka, a leszczyna mała, a trawa jeszcze mniejsza. Dlatego i między ludźmi jest jeden stary, drugi młody, jeden ojciec, drugi syn, jeden gospodarz, drugi parobek, jeden pan, drugi chłop".

Czy ujęcie tego motywu zmieniło się po

latach kilkudziesięciu, gdy Wasilewska tak oto widzi świat oczyma Magdy (*Ojczyzna*): „Widział się Magdzie świat jak wielgachna drabina. U samego wierzchu kto wie, kto tam jest? Pewnie królowie i cesarzowie, albo papież i tak sobie społem siedzą. A niżej dziedzice, panowie. Jeszcze niżej chłop, co na grubych morgach siedzi. A zaś niżej ten co tylko zuchelek roli ma, ...na samym dole fornalski naród".

Innej formy ujęcia chłopskiego losu nie znajduje także Gałaj (*Paweł Łękis*), gdy mówi o kurkowskich wyrobnikach: „Budowali... kurne chałupki z oknami, że u niejednego gospodarza w stajni większe były. Ale...nie mieli pretensji. Ks. Hyłek wyraźnie mówił, że każdemu jest wyznaczony jego los przez Boga. Bóg stawia każdego tam, gdzie uważa. Bogacza w pałacu. Biedaka — w nędzy". A motyw chłopskiej i pańskiej ojczyzny, zaakcentowany silnie już przez publicystykę Gromady Grudziąż: „Wy sami dobijecie się swojej ojczyzny, bo my drugą, przeciwną wam jesteśmy ojczyzną" — powtarzany w tej samej niemal formie nie tylko w powieściach z czasów powstania listopadowego (Kruczkowski i Hołuj), lecz także u Wasilewskiej, Kowalskiego i Gałaja?

Uporczywa monotonia pewnych scen sprawia niemal wrażenie obsesji. Ileż to razy od czasu *Janka Muzykanta* i obrazków Konopnickiej chłopska tragedia rozgrywa się na oczach wytwornych dziedziczek, wiejska krzywda rzucona jest na dekoracyjne tło miękkiego pańskiego życia, panny wysyłają listy miłosne za pośrednictwem powolnych sług, słowem powtarzają się owe efekty wzruszające w sposób najłatwiejszy, samym układem prymitywnie kontrastujących elementów treściowych według takiego choćby schematu: „Kiedy panowie spijali najlepsze wino i zajadali słowicze języki — dziadowie nasi marli z głodu i żywili się korą drzewną i trawą... Sami mieszkają w pałacach, jeżdżą do ciepłych wód, przegrywają miliony w karty i ruletę... a za co? Za naszą krwawicę" itd. Nie może opuścić naszej literatury — od czasów Pana Młodego z *Wesela* do Kurka i Gałaja — ani motyw zgrywania się inteligenta na łonie natury, ani literacka konwencja rozmowy chłopów pod okiem pańskiego sługi (*Kopanie* Józefa Pogana).

Dosyć przykładów. Celem ich było wykazanie, że autorzy „powieści chłopskich" nie zdołali w przeszłości — tutaj są wytłumaczeni! — i nadal nie umieją wyzbyć się dziedzictwa problematyki pańszczyźnianej w treści i w formie. Od wielu lat nadmiernie rozbudowane w tych utworach negatywne momenty zależności chłopa stały się czymś w rodzaju tradycji literackiej i konwencji tak silnej, że z drogi tej nie łatwo — mimo zmiany warunków społecznych — zawrócić. Czyżby nadal ciążyły nad literaturą owe „pańszczyźniane straszydła", których — jak pisze Gałaj — nie zapomni dziesiąte pokolenie chłopskie? A warto przytoczyć dla przeciwstawienia słowa Jana Wiktora z *Orki na ugorze*, utworu, który leży poza kręgiem „problematyki pańszczyźnianej": „Pańszczyzna to noc. Od nocy trzeba odejść w nowy dzień. Musimy naprzód iść, bośmy za długo stali w miejscu. Daleka nasza droga. Od pługa — w świat".

Przypuszczam, że jedna z głównych trudności w stworzeniu pozytywnego bohatera wywodzącego się z kręgu wsi, a taka postać stanie rychło jako zadanie przed pisarzami sięgającymi po temat wiejski, tkwi właśnie tutaj, w dziedzinie negacji, która — do czasu zrozumiała w swojej funkcji socjologicznej — stała się czymś na kształt krępującej konwencji. Niestygnące powodzenie powieści Jana Wiktora, wciąż nowe wydania, uwaga przywiązywana przez nie inteligenckich czytelników nawet do tak fałszywego pozytywu, jak *Janosik* Kurka — oto świadectwa, że ta potrzeba istnieje z niezmniejszoną siłą. I że pisarze naprawdę postępowi powinni ją zacząć zaspokajać. Podobnie jak przed powieścią z inteligenckiego kręgu staje jako najbliższy obowiązek zaniechanie rozrachunku i kajania się z inteligenckich win, tak w powieści wiejskiej obowiązkiem podobnym wydaje się ostateczne przepędzenie pańszczyźnianych straszydeł. A ponieważ na kartach literatury wszelkie upiory mają obyczaj straszyć dłużej niż w rzeczywistości — zaznaczmy postulat i bądźmy cierpliwi.

Te zbyt długie dygresje, w których nazwisko autora *W Grzmiącej* powtórzyło się parę razy wśród szeregu innych, dotyczyły jednak książki tej w sposób istotny. Jest to bowiem powieść, wokół której krąg negacji zaciska się najsilniej, nad którą noc pańszczyźniana jest najgłębsza. Jak zawsze noc — przed świtem. Zarazem jest to utwór, którego artystyczna forma jest bodaj najdalsza od schematu literackich konwencji powieści o problematyce chłopskiej, utwór, który w literaturze międzywojennej ma niewątpliwie pozycję mocną i osobną.

PLACÓWKA MICHAŁA KUBASA

Rok wydania powieści Kowalskiego (1936) stawia ją obok tylu innych pisanych w dobie kryzysu: Kruczkowskiego,

Wasilewskiej, Dąbrowskiej, Boguszewskiej, Buczkowskiego, Kurka, i choć można by przeprowadzić między nimi dość głęboko sięgające analogie, nasuwa się jednak w stopniu o wiele silniejszym pokusa zestawienia książki Kowalskiego z inną, bardziej czasowo odległą powieścią. Dlatego może, że na tle pewnych zbieżności tym silniej wystąpią różnice, mierzone przestrzenią czasu i rytmem narastających przemian. Powieścią tą jest *Placówka*.

Wyznaczmy punkty styczne. Zarówno Ślimak jak Kubas to chłopi, którym nie było dane korzystać z dobrodziejstw oświaty. Jedyną ich bronią w borykaniu się z życiem jest zdrowy chłopski rozsądek i nabyte z latami doświadczenie. Zakres ich pojęć wyznaczają stosunki z najbliższym środowiskiem — dworem, plebanią, sąsiadami. Codzienna troska kręci się wokół zdobycia paszy dla krowy-żywicielki, uzyskania dla niej od dziedzica za ciężko uciułany grosz kawałka łąki. Zarówno jeden jak drugi zna dwie najprostsze reakcje wobec pańskich propozycji i obietnic — nieufność i strach.

Takim samym niemal torem dla Ślimaka i Kubasa toczy się również możliwość poprawy losu; tam niemiecka kolonizacja, tutaj zamieszki wojenne i coraz to we wsi zmieniające się rządy dozwalają na pewne machinacje dające szanse szybkiego zbogacenia się. Ślimak „handluje" z kolejarzami, Kubas zakłada gorzelnię. I tu, i tam dziedzic należy do tej samej rasy gnębicieli i okrutników, czy to gdy proponuje chłopu kupno łąki za bezcen, by zakpić z jego głupoty, czy gdy każe pić jednym tchem pół litra gorzałki, a potem gwizdnąć. I tu, i tam w orbicie dworu poruszają się bezproduktywne społecznie jednostki, jak panicz-liberał i sentymentalny chłopoman Łazowski, który tak bardzo pragnie wieś zrozumieć i z dworem ją pojednać. I tu, i tam pańszczyźniana zależność chłopa od dworu jest problemem centralnym, zarysowanym w konkretnym przekroju życia pewnej wsi, w odtworzeniu pojęć jej mieszkańców.

Podkreślenie dalszych podobieństw nie jest celowe, bowiem już w tej chwili, w ramach wyraźnie zbliżonego schematu konstrukcyjnego, występują głębokie różnice, o których wykazanie chodziło.

Przysłowiową już niemal cechą Ślimaka jest jego ślepe przywiazanie do ziemi, którą skłonny jest sprzedać chyba w momencie krańcowej desperacji. To umiłowanie ziemi, które zdolne było zrównoważyć wszystkie złe strony Ślimaka — ciemnotę, głupotę, wytachowanie, lenistwo, chciwość — w powieści Kowalskiego wali się w gruzy. Jest bowiem mitem wyhodowanym w głowach inteligentów, którzy jak Łazowski „widać lubią, jak chłop taki do ziemi przywiązany". Kubas nie jest do ziemi przywiązany, o nie. Uciekłby stąd w jednej chwili, marzy od dawna, żeby „sprzedać tę chałaburdę gospodarkę i przenieść się do miasta", gdzie ludzie lepiej żyją i codziennie mięso jedzą, a że dotąd tego nie zrobił, to już taki los, który zawsze wszystko w jego życiu obracał na opak. Z racji braku tego przywiązania do ziemi chłop Kowalskiego — mimo wielu cech wspólnych ze Ślimakiem — staje się zupełnie innym człowiekiem. Brak mu dosłownie gruntu pod nogami, tej właśnie p l a c ó w k i, na której tamten wytrwał do końca.

Michał Kubas nie ma przywiązania do ziemi, gdyż wie, że nie jest ona w stanie zapewnić mu dobrobytu i niezależności. Dlatego też Łazowski nie doczekał się od niego potępienia pracy „na państwowym" w Rosji Sowieckiej. „Kto wie, czy im nie lepiej wyjdzie — mówi Kubas — ono i tak tutaj nie jest moje. Nic z tego nie ma. A urzędniki lepiej na rządowym żyją". Kubasowi jest wszystko jedno, na czyjej ziemi i pod czyją władzą żyje. Kubas nie buntuje się, nie trafia do niego żadna ideologia, która niesie ze sobą nadzieję lepszej, sprawiedliwej przyszłości — jego filozofia życiowa jest oportunistyczna na poziomie ustawicznie zwalczanej nędzy: n i e d a ć s i ę, b r o n i ć s i ę wszystkimi możliwymi sposobami, łgarstwem, kradzieżą, wykrętem, omijać zastawione sidła, umykać ciosom zanim spadną na plecy, chwycić w garść to, co do życia potrzebne, korzystając z chwili osłabienia czujności tych, którzy są silniejsi.

„Co ukradnę, to moje! Tyle uratuję swojego, ile wyłżę lub schowam" — oto prawo głodnego i słabego człowieka, przeciwko któremu sprzysięgło się wszystko, którego wrogiem jest każda władza, polska czy obca, zarówno okrutny Olpiński, jak szlachetny Łazowski, zarówno wachmistrz Karolenko, jak Hans Raciążek, zarówno fornal pański, jak sąsiad Gawryś (choć płaszczyzna porachunków z nim jest inna), zarówno dorobkiewicz Klicki, jak tajemniczy „obraźnik" Klaska. Wszyscy, których wymieniłam, i nie tylko oni, gdyż rolę gnębiciela gra także ślepy przypadek, jaki zawsze zwraca się przeciwko nimu. Realna ocena własnych życiowych możliwości każe Kubasowi być ciągle w pogotowiu. Jego „placówką" w walce z osaczającym go ze wszystkich stron życiem jest krzak przy-

drożny, za którym się przyczai, gdy widzi dziedzica lub fornala, bujny łan żyta, w którym skryje worek z kradzioną koniczyną, dół wykopany w ziemi, gdzie zakopie trochę ziarna.

Droga, jaką przeszedł chłop polski od wsi nad rzeką Białką do Grzmiącej i Podlipny, jest drogą tragiczną, gdyż u jej punktu dojścia kryje się możliwość jeszcze przez Staszica i Kołłątaja uważana za najgorszą: pełna świadomość własnej nędzy bez nadziei wydostania się z niej. Ślimak był głupi, ciemny, pogodzony z odwiecznym porządkiem rzeczy, i w oparciu o ramię Jagny mocno tkwiący na swej placówce. Kubasowi, który odczuwał silnie ostrość społecznego konfliktu, a zarazem wyzbyty był wszelkiej wiary w człowieczeństwo i możliwość zbiorowego oporu, pozostaje w walce z wrogiem czyhającym na każdym zakręcie — jedynie taktyka ściganego zwierzęcia.

Społeczna postawa autora zobrazowana poprzez postać Kubasa jest gorzka: człowiek jako funkcja układu stosunków ekonomicznych rysuje się tutaj jasno. Ślimaka urobiły wieki pańszczyzny, nie dając mu nie tylko możliwości rozwoju, lecz nawet świadomości ich istnienia. Stoi on jeszcze u progu człowieczeństwa. Kubas nosi już na sobie ciężar pięćdziesięciu lat popańszczyźnianych. Lat, w których mówiło się pięknie o wolności chłopa, by spychać go nadal w wyżłobione od wieków koryto, lat obiecanek i rozczarowań, rozdmuchiwania człowieczeństwa po to, by realne warunki nakazywały zejście poniżej jego granicy. Co więcej, nad Kubasem ciążyły te lata, które dopiero po nim miały nadejść — lata rozbudzonego ruchu ludowego na wsi i rozczarowania tym cięższe, gdy żaden z rządów w niepodległej Polsce nie spełnił swych obietnic — lata odtworzone przez Gałaja, a jako krańcowe zgorzknienie tkwiące potencjalnie w postawie społecznej autora *W Grzmiącej*.

Powieść Kowalskiego jest bowiem gorzka i pesymistyczna. Autor swoją postawę przekazuje czytelnikom nie w formie bezpośrednich wypowiedzi, ani też konwencjonalnych chwytów i powierzchownych kontrastów. Ta postawa wynika z niezwykle logicznego schematu konstrukcyjnego, który opiera się na rytmicznie powtarzającym się cyklu nieprzewidzianych wypadków w życiu Kubasa, wypadków z których każdy kończony jest jakby refrenem streszczającym filozofię życiową bohatera:

„Nie wiadomo co skąd przyleci, powikła wszystko..." „Ciągle się na człowieka ktoś czai..." „Stało się to tak nagle i niespodziewanie jak wszystko, co się w Grzmiącej od dawien dawna działo". ...„Jeśli szczęśliwie minie kiedyś dzień w Grzmiącej, stanie się coś w Glinkach... albo Młodziankowicach. Jak się nie stanie nic samo z siebie, urząd się wtrąci i narobi harmidru". „Żeby się był pięć minut spóźnił, już go mogło to zło ominąć... ale ono na wsi zawsze utrafi... a tak się nie wiadomo skąd weźmie". ...„Ale zaraz do tego trafu musiał dojść inny — żeby już tak wycelowało jedno w drugie". ...„Na wszystko trzeba trafu, którego nie szuka nikt, a on sam się zjawia i zawsze w porę".

W Grzmiącej nie posiada fabuły w ścisłym tego słowa znaczeniu. Akcja toczy się tutaj dosłownie od wypadku do wypadku, z których każdy jest jednakowo oczekiwany, co stanowi kontrast z walącymi się jak gromy z jasnego nieba nieszczęściami w *Placówce*. Jaskrawym przykładem jest moment śmierci dwojga dzieci Kubasa. Czytelnikowi śmierć ta wydaje się zupełnie naturalna. Autor biegiem poprzednich wypadków przygotował go do tego, że żarliwa modlitwa rzesz chłopskich „od nagłej a niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie" — nie spełni się w losach Kubasa. Dzieci umierają tak samo zwyczajnie, jak dzieje się wszystko zło w jego życiu, ot tak: „Idąca przodem Agata nagle podskoczyła odrobinę a jakby figlując zatoczyła półobrotem i legła na ziemię. Michałek zaś przewrócił boleśnie oczy i tak jakoś dziwacznie przysiadł do ziemi, jakby go ktoś gniótł za ramiona". To wszystko. Błysk buntu w oczach Kubasa i obciążenie możnych odpowiedzialnością za wzniecenie wojny jest w tym momencie nie akcentem luźno doczepionym do tekstu, lecz wynika z rozwoju wypadków i psychiki bohatera.

W ten konsekwentnie artystyczny sposób Kowalski podkreśla tragizm losu Kubasa j a k o f o r m ę. Jednym z dalszych przejawów tego świadomego konstruowania ludzkiego losu na płaszczyźnie powieściowej jest brak komentarza. Widoczny jest rygor wewnętrzny, który autor sobie nadaje, by w relacji wypadków nie wykroczyć poza granice wyznaczone terenem Grzmiącej i widzeniem świata bohaterów, by nie stylizować w sposób literacki ich sylwetek wyrastających z terenu, by nie dawać nigdy gotowej formułki od strony patrzącego z góry i „wiedzącego lepiej" narratora.

Proza Kowalskiego przylega ściśle do

uporczywego, twardego przegryzania się chłopa przez rzeczywistość, która go przerasta, którą jednak asymiluje i usiłuje objąć w dostępnych mu fragmentach. Pisarz nigdy nie ulega pokusie stworzenia malowniczego opisu przyrody, lecz zawsze stara się sprzęgnąć zaobserwowany fragment z rozmową lub myślą patrzącego człowieka. Jeśli rzuca spostrzeżenie: „Na wsi zima jest długa okropnie. A letnie miesiące to tak migają, że ani je okiem chwycić", zaraz potem podaje refleksje Kubasa: „Dobre, gdy się zjawi, to nie wiadomo, gdzie w mig się zapodzieje, złe siedzi ścierwo, choć nikt mu nie rad". A oto w jaki sposób związał zachód słońca z terenem i światem wyobrażeń bohaterów: „Słońce koloru rozpalonego żelaza a wielkości zadniego koła u wozu chłopskiego utknęło dolną krawędzią na ziemi, górną wisiało zaczepione o strzęp rudej chmury. Markowski wycelował weń ręką. — He he — uśmiechnął się naiwnie, he he he. Polazło akurat za Kozłowice. Na Wyrawach stoi. Cyknąć mu tak z armatki, co?"

Oszczędność słowna Kowalskiego i troska o to, by wypadki dziejowe widziane były we właściwej perspektywie, jakby w postaci kół rozchodzących się koncentrycznie wokół jednego punktu — występują wyraźnie w zestawieniu z powieścią Gałaja, który postawił sobie za cel odtworzenie w sposób szczegółowy reakcji mystkowiaków na rozgrywające się wypadki. Mimo iż niektóre prymitywne wypowiedzi Łękisa o sytuacji na froncie lub o partiach politycznych są niezwykle trafne, w wielu jednak punktach autor wpada w uproszczoną dziennikarską relację, lub w sytuacjach nieco bardziej zawiłych przechodzi na inteligencki sposób komentowania zjawisk, np. Łękis zadaje „pytania retoryczne, czy wojna... która wdarła się w życie Mystkowic niby wściekła burza w ciche letnie popołudnie... nauczyła chłopa tyle, by zrozumiał, że historia postawiła go w obliczu wielkich zagadnień i zmian".

Autor *W Grzmiącej* postawił Kubasa w obliczu tych zmian bez nadużywania słów, interpretując jego ustami wydarzenia wojenne w ten oto sposób: „Ani ten Rusek naprzód ani w tył, ugrzązł na jednym miejscu i tak poprzez te Wyraje praży do Niemca". Trzeba oczywiście wziąć pod uwagę, że Gałaj objął o wiele szerszy teren zagadnień, że pragnął dać przekrój ruchu ludowego we wszystkich najważniejszych jego etapach — na dobro Kowalskiego trzeba jednak zapisać fakt, że wybrał taki tylko zakres treści, w którym świat przeżyć chłopa tłumaczyłby się sam przez się bez udziału komentatora. Konsekwencja w przestrzeganiu tej postawy sprawia, że artyzm tej powieści jest trudny, nie ma tu bowiem ani silnych akcentów dramatycznych, wokół których koncentrowałoby się napięcie, ani interesującej fabuły. Pole akcji posuwa się naprzód opornie i twardo, i trzeba przezwyciężać pewne opory, by odczuć wysoką jakość tej prozy, pozbawionej wszelkich efektownych chwytów i wygładzeń ułatwiających lekturę.

NA GRANICY

Bohaterem powieści Kowalskiego jest człowiek, na którego psychice tak zaciążyły wieki krzywdy i pańszczyzny, tak w nim stłumiły pierwiastki ludzkie i drugim przychylne, że oprócz nieufności i nienawiści niewiele mu w duszy pozostało. Nie z jego naturalnie winy! Nienawiść i pragnienie odwetu nie służą tutaj jednak stworzeniu lepszego, sprawiedliwego ładu społecznego, stają się jedynie nawykiem w walce o byt. Powieść Kowalskiego stanowi bowiem g r a n i c ę, granicę negacji jako postawy zatwierdzonej właściwym wyrazem artystycznym. W łańcuchu powieści opartych na problematyce pańszczyźnianej *W Grzmiącej* stanowi ostatnie, mocno związane ogniwo walki.

Ostatnie w kilku znaczeniach tego przymiotnika. Przede wszystkim książka ta, gdyby ją potraktować jako oderwany dokument literacki, oderwany od czasu powstania i ówczesnej swej funkcji, czyniłaby wrażenie przerażające. Niewątpliwie dokładniejsza analiza socjologiczna ujawniłaby *W Grzmiącej* zacieki pesymizmu tak charakterystycznego dla lat trzydziestych. Nie o tych związkach pragniemy jednak mówić. Napisało się już, że noc przed świtem, noc na granicy nocy bywa najciemniejsza. Powieść Kowalskiego wygląda niczym odpowiedź na pytanie: — A gdyby się nic w świecie ucisku klasowego zmienić nie miało i nie mogło, wtedy co? — Wtedy nie ma odpowiedzi innej, jak los Kubasa: energia nagromadzonej od pokoleń nieufności i nienawiści przemieniona w zwierzęce podstępy i czujność. Jej jedyne ujście.

Oszczędna we wszelkim komentarzu powieść Kowalskiego nie mówi tego nigdzie wprost. Ale sytuacja społeczna, w jakiej ta książka powstała, jej funkcja ostrzeżenia poprzez obraz twardy, o celowo przez pisarza zamkniętych ujściach w inne perspektywy, mówi to wyraźnie. Pisarze noszą w swoim sumieniu pełny trybunał orzekający o winach rzeczywistości — prokuratora, obrońcę i rzecznika ponad nimi. Bywa, że zaznaczają

obecność każdego z nich. Kowalski dopuścił do głosu tylko opanowanego, ale świadomego, co przez swoje opanowanie ukryć pragnie — prokuratora.

Ukryć bowiem pragnie i ukrywa obecność rzecznika nadrzędnego, który przekreśla obraz dostarczony przez prokuratora. Takich skreśleń dokonuje się w realnej walce społecznej. Powieść Kowalskiego *W Grzmiącej* była przed laty kilkunastu najbardziej na granicy postawionym instrumentem tej walki. Dzisiaj jest nie mniej krańcowym jej dokumentem. W kraju, gdzie leży Grzmiąca, nie powstały szklane domy, bo trudno w nich mieszkać, a zaciśnięta do walki pięść zaciska się dzisiaj na uchwycie pługa worywającego się w popańszczyźnianą i podworską ziemię.

Krystyna Kuliczkowska

„PŁOMIENIE" BRZOZOWSKIEGO

STANISŁAW BRZOZOWSKI: *Płomienie. Z papierów po Michale Kaniowskim.* Wydanie trzecie. Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik", Kraków, 1946-47; tom I — str. 328, tom II — str. 366. Opracował i przygotował do druku Piotr Grzegorczyk.

Długi czas nie mogłem się zdecydować na podjęcie lektury nowego wydania powieści Brzozowskiego. Po raz pierwszy czytałem tę książkę gdzieś przed laty trzynastu, jako piętnastoletni sztubak. Modna była w kręgu mych kolegów, namiętnie a gorąco przeżywających swój wczesny radykalizm i zaczytujących się całymi miesiącami już to w klasykach marksizmu, już to w radzieckiej literaturze pięknej.

Płomienie pasowały wtedy do tego doskonale. Pochłanialiśmy je jednym tchem, tak gorąco — że fabuła powieści rychło z nas wyparowała, pozostawiając tylko niejasne wspomnienie anarchistyczno-rewolucyjnej atmosfery, jaka przepaja to niewątpliwie najbardziej wykończone dzieło Brzozowskiego. Na pamięć *Płomieni* nasunęły się później inne pozycje Brzozowskiego, jego krytyka i publicystyka literacka — wszystkie one pozostawiły po sobie pewien osad raczej niechęci. Publicystyka Brzozowskiego była może najbardziej drastycznym okazem „młodo-polskiej" szkoły pisarskiej, z jej niewątpliwymi zaletami, ale równocześnie koszmarnymi wadami i pozami, jej namiętnościami — tak bardzo już dalekimi od młodego człowieka wychowanego w międzywojennym dwudziestoleciu.

Wojna i związane z nią perturbacje intelektualne bodaj że pogłębiły jeszcze niechęć do Brzozowskiego, do jego rozwichrzonej metody pisarskiej i do obsesyjnego poszukiwania jakichś transcendentnych a mało konkretnych wartości. Przestał być czytelny Przybyszewski. Wielki Żeromski znalazł się na cenzurowanym. O Brzozowskim w ogóle przestawałem już myśleć. I jeśli w końcu zmusiłem się do podjęcia lektury *Płomieni* — to głównie po to, by skonfrontować wspomnienia z teraźniejszością i wobec siebie samego ostatecznie ferować wyrok nieczytelności tego pisarza.

Przez pierwszych parę stron brnąłem z niechęcią i powoli. Nie znalazły we mnie oddźwięku przygody młodych anarcho-rewolucjonistów, w gruncie rzeczy kiepskich nihilistów, z powiatowego gimnazjum. I dopiero później, gdy Michał Kaniowski wyjechał na swe dalsze studia do Petersburga — książka wciągnęła i anim się opatrzył, gdy siedemset stron powieści znalazło się poza mną. Stałem się uczestnikiem dziwnej przygody literackiej. Musiałem stwierdzić, że wznowienie *Płomieni* jest czynem kulturalnie wartościowym, że powieść jest w roku 1947 tak samo czytelna, jak była w roku 1934.

Pierwszym — i kto wie czy nie najważniejszym — powodem aktualnej żywotności *Płomieni* jest temat powieści. To nie ulega żadnej wątpliwości. Sprawy rewolucyjne i konspiracyjne jeszcze długo będą fascynować polskiego czytelnika, który jak dotąd w każdym pokoleniu miał fatalną możność konfrontowania fabuły powieści ze swymi własnymi doświadczeniami. A wzgląd tego rodzaju walnie decyduje o poczytności książki, o czym świadczy choćby staranna lektura wspomnień z obozów koncentracyjnych, uprawiana w pierwszym rzędzie przez samych byłych więźniów.

Tak też i z *Płomieniami*. Dzisiejszy czytelnik polski podświadomie wprost porównuje konspirację *Narodnej Woli* z konspiracją ostatniej wojny. Wyścigi Michała i jego towarzyszy z carską policją jakże wyraźnie przypominają konkursy w przebiegłości i sprycie uprawiane wobec *Gestapo*. Wypada tutaj właśnie zarejestrować szczegół mało na ogół znany: w czasie ostatniej wojny *Płomienie* ukazały się w języku hebrajskim w Palestynie. Nie sądzę, by wydawcy palestyńskiemu atrakcyjne handlowo wydawały się rozważania Breneisena, Popowa czy Wołżskiego o prawdach

absolutnych, natomiast przypuszczam, iż członków żydowskich palestyńskich organizacji podziemnych, podobnie jak byłych uczestników AK, specjalnie pasjonują momenty walki konspiracyjnej w ich całym — tak niesłychanie bogatym — wachlarzu, ujawnionym przez Brzozowskiego.

Walor atrakcyjności tematu jest łatwy do sprawdzenia przy innej powieści Stanisława Brzozowskiego. *Sam wśród ludzi* — powieść dziś już prawie nie do zrozumienia — najbardziej interesująca jest właśnie w tych momentach, gdy głupia awantura po społu z nieszczęsną, udręczoną miłością małżeńską wyrzuca Romana na emigrację, dając Brzozowskiemu możność kreślenia znakomitej charakterystyki nieszczęśliwego środowiska ludzi oderwanych od swej ziemi rodzimej, zawieszonych w próżni między jedną ojczyzną, która już nią być przestała, a drugą, której jeszcze pod stopami nie wyczuli.

Inną przyczyną budzącą zainteresowanie dzisiejszego czytelnika jest sprawa rosyjska w *Płomieniach*. Jest to rzecz zresztą szczególnie skomplikowana. W istocie całe młode pokolenie polskie wychowane w okresie po uzyskaniu Niepodległości nie miało i nie ma wielkiego pojęcia o Rosji i o Rosjanach. Rosja — była dla nas jakimś rozdziałem wrogim i już zamkniętym. Ojcowie wspominali ją raczej niechętnie, a my nie odczuwaliśmy wielkiej potrzeby interesowania się dawną Rosją, choćby dlatego, że Rosja współczesna nam, Rosja Sowiecka, była czymś znacznie ciekawszym i ważniejszym. Trzeba było dopiero kataklizmu wojennego, radzieckiej „Wojny Ojczyźnianej", czołgów idących na Berlin pod hasłem Suworowa i Kutuzowa, byśmy mogli pojąć, że Rosja radziecka nie zerwała wszystkich więzów łączących ją z Rosją dawną, nie carską, ale narodową, dziesięciowieczną.

Zdaliśmy sobie sprawę z tego, że jak naukę czytania rozpoczyna się od rozumienia dźwięków i wyglądu liter alfabetu, tak i klucz zrozumienia tak dziwnych dla nas niekiedy reakcji radzieckiego człowieka winien być odszukiwany w czasach jeszcze carskich, w psychice Rosjanina, modyfikującej się w zależności od ustroju społecznego, ale posiadającej pewne cechy zasadnicze, niezmienne. Wydaje mi się, iż nie nazbyt daleki będę od prawdy, gdy powiem, że w tej chwili istnieje ogromny głód wiadomości o Rosji; nie tyle jednak wiadomości o odbudowie takiej czy innej ilości gmachów, zasianiu tej czy innej ilości hektarów, ile właśnie o cechach najbardziej zasadniczych tego narodu: o jego charakterze, historii, talentach. Oczywiście pod warunkiem, iż materiał informacyjny wykraczać będzie poza granice papierowej propagandy, poza ramy dziennikarskiego artykułu.

Płomienie dostarczają właśnie pewnej sumy wiadomości o jednym z najciekawszych okresów historii Wszechrosji i o jednej z najciekawszych grup rosyjskich. Jest znamienne, jak dalece Brzozowski — i to nie tylko w *Płomieniach*, ale i w innych swych książkach — potrafił przerwać manierę narodowego milczenia lub pisania o Rosji w sposób możliwie pejoratywny, co w żadnym razie nie ułatwiło wzajemnego poznania się i zbliżenia. Brzozowski, zgodnie ze swoimi przekonaniami socjalistycznymi, nader starannie odróżnia naród rosyjski od carskiego reżimu. Poza jednym jeszcze Daniłowskim, wieloma akcentami poezji publicystyki Mickiewicza — ton to na ogół obcy naszej literaturze.

I oto Brzozowski dokonuje posunięcia bardzo ryzykownego. Tworzy dzieło, w którym Rosjanie zasadniczo okazują się lepsi, niż Polacy. Wybiera małomiasteczkowe środowisko polskie, łączy je z paru bankrutującymi ziemianami — jednym słowem opisuje bodaj najmniej wartościową grupę społeczną polską i zestawia ją z bardzo wartościowym, wysoce inteligentnym, żywym, ruchliwym, bardzo ideowym środowiskiem rosyjskich grup rewolucyjnych, zwących się *Narodną Wolą*.

Porównanie wypada na niekorzyść środowiska polskiego. Bardziej wartościowe jego elementy, Michał i Oleńka, rusyfikują się „totalnie"; obca jest im myśl o niepodległości Polski, za własną uznają tylko sprawę walki z caratem toczoną przez lud, raczej podówczas przez inteligencję rosyjską. Michał Kaniowski wybija się wśród rewolucjonistów rosyjskich, staje się wśród nich *persona grata*. Może to miało być wyrazem tendencji autora, dostrzegającego wielkie możliwości dla elementu polskiego we wspólnym działaniu z Rosjanami?

Nie trzeba oczywiście wyjaśniać, że tego rodzaju uproszczony schemat stosunków polsko-rosyjskich, jakie znajdujemy w *Płomieniach*, nie jest prawdziwy. Nie wszystkie środowiska polskie były tak fatalne i kołtuńskie jak rodzina i znajomi Michała Kaniowskiego, i nie wszyscy Rosjanie byli takimi idealistami jak rewolucjoniści z *Narodnej Woli*. Pisarzowi wolno jednak wybierać sobie schematy i układy najzupełniej dowolne i nikt nie ma prawa czynić mu z tego powodu zarzutów. Można podziwiać tylko śmiałość Brzozowskiego, który zdecydował się — właśnie na początku wieku XX, gdy drogi PPS i drogi SDKP

i L (esdeków) rozchodziły się najzupełniej wyraźnie — podjąć w tak radykalny sposób problem przyjaźni, współpracy, nawet jedności rewolucyjnej polsko-rosyjskiej.

Ten właśnie motyw jest dla dzisiejszego czytelnika szczególnie frapujący. Dla jednych frapujący w sposób pozytywny, afirmujący — dla innych negatywny, wrogi; dziś jednak dla wszystkich — istotny. Rosja była dla nas krajem bardzo egzotycznym. I mimo wydarzeń politycznych — być nim nie przestaje. A już ten okres jej historii, który poprzedził ukształtowanie się wyraźnego ruchu komunistycznego — rozbitego tylko na bolszewików i mieńszewików — ten okres anarchistycznych i nihilistycznych grup rewolucyjnych jest dla nas prawdziwą „ziemią nieznaną". A przecież od „narodo- i ziemlewolców" aż po dni dzisiejsze wije się wyraźna nić czerwona, nie przerwana ani na chwilę.

Suma wiadomości o narodzie rosyjskim (trudno mi orzec, nie znając w gruncie rzeczy tego narodu, jak dalece wizerunki Brzozowskiego odpowiadają prawdzie!) — jest magnesem, który przez cały czas lektury mocno trzyma naszą uwagę przy książce. Oczywiście wnioski z tej lektury mogą być — jak już powiedziałem — najróżnorodniejsze, ale sam materiał jest ciekawy dla wszystkich.

Dwom innym powieściom Brzozowskiego — *Dębinie* czy urywkom *Starej Kobiety* — brak jest momentów wyżej zarejestrowanych, nie są też teraz w stanie tak przytrzymać uwagę i wywołać napięcie czytelnika jak *Płomienie*. Może zresztą dlatego, że są tylko fragmentami. *Książka o starej kobiecie* — jako całość — byłaby przecież bardzo zbliżoną do *Płomieni*, a dalsze tomy *Dębiny* w planie autora zajmują się właśnie arcyinteresującym tematem emigracji.

Najciekawsza jednak fabuła, najbardziej istotny problem potrafi zostać tak zduszony przez techniczną strukturę powieści, przez styl autora, że ginie pod nimi niemal bez śladu.

Otóż styl w *Płomieniach* jest — bardzo ciekawy. Przez całe siedemset stron dzisiejszy czytelnik raz po raz potykać się będzie o partie powieści zapełnione właściwie jakimś „pustosłownym wodolejstwem", tak zresztą charakterystycznym dla nieopanowanej zupełnie i nie poddanej żadnym wewnętrznym rygorom publicystyki Brzozowskiego, szczytem której będzie chyba *Legenda Młodej Polski*. Inna sprawa, że — jak się wydaje — całe to środowisko *Narodnej Woli* było właśnie takie — jakie są *Płomienie*.

Jeżeli natomiast chodziło o konkretną akcję rewolucyjną, o działanie, o czyn — wszystko było sprawne, sprężyste i jasne. Te strony *Płomieni*, na których autor tylko referuje, w sposób wręcz znakomity, akcje konspiracyjne, działalność rewolucyjną, zamachy, ucieczki, walkę z policją, czy w ogóle jakiekolwiek czynności, zdarzenia (pierwsze przygody erotyczne, perypetie gimnazjalne) — są wręcz kapitalne, wartkie, bezapelacyjnie trafne w doborze słów i gradacji zdań. Są właśnie takie, jakich trzeba, by akcja trzymała czytelnika w napięciu. Tam jednak, gdzie zamiast czynu przychodziło słowo, gdy zaczynano „wybebeszać" nawzajem swoje teoretyczne urazy i ambicje — tam rodziło się z miejsca zwyczajne mętniactwo, tam terminologia grafomańskiej poezji zastępowała normalny ludzki język komunikatywny.

Tacy byli ci młodzi studenci petersburscy i moskiewscy, tacy byli później w latach swych starszych, taki był wreszcie i sam Stanisław Brzozowski. I takie są te rozdziały *Płomieni*, gdzie bohaterscy spiskowcy zaczynają roztrząsać prawdy absolutne i prawdy własnej jaźni, by kończyć jakimś poetyckim mitologizowaniem. Ponieważ jednak podobna metoda intelektualna w powieści może być nawet bardzo interesująca — a talent i impet pisarski Brzozowskiego rzeczywiście ją taką czynią — więc też kiedy w *Płomieniach* stwierdzamy jej obecność, denerwuje nas, ale nie psuje całości książki. Tym bardziej, iż odczuwamy, że właśnie w ten sposób autor dokładnie i rzetelnie uchwycił atmosferę opisywanego środowiska.

Ta żywiołowość, miejscami wręcz oszałamiający impet poetycki prozy Brzozowskiego są niewątpliwie doskonałe w powieści. Gdzie indziej, nie mając równoważnika w sensacyjnej fabule, na przykład w *Sam wśród ludzi*, denerwują niesamowicie, albo wręcz nudzą. Dla porównania jednak przeczytałem zaraz po *Płomieniach* zarówno reprezentatywną *Legendę Młodej Polski* jak i mniej popularne szkice o współczesnej powieści, o współczesnej krytyce, o Wyspiańskim.

Maniera pisarska Brzozowskiego, owo publicystyczne poetyzowanie, owa gonitwa myśli i koncepcji, nie ujarzmiona żadnymi rygorami porządku, logiki rozumowania — sprawia, iż właściwie te wszystkie pozycje są już dziś nieczytelne. Sens myśli Brzozowskiego odszyfrowany musi być z trudem niemałym. Jest to pisarz-publicysta piekielnie zawiły. Prócz właściwej temu czasowi manięry zawinił tu niewątpliwie fantastyczny temperament pisarski tego

schorowanego człowieka. Wydaje się, iż jego erudycja przerosła możliwości czasowe i jej uporządkowania. Brzozowski po prostu umarł za wcześnie, a pisał po to, by — zgodnie ze swą postawą obcą jakiejkolwiek neutralności — wziąć udział w toczącej się podówczas walce myśli i kierunków. Roznosiło go — i ślady tego niespokojnego ducha widać w konstrukcji jego artykułów, rozdziałów książek, paragrafów pism. „Wir idei" prześladował tego człowieka; pogoń myśli nie pozwalała mu przeprowadzić jasnego i chłodnego wykładu. Wyrzucał z siebie jak wulkan lawinę słów i zdań, w potopie których, wśród rzeczy zgoła niepotrzebnych, zwykłego śmiecia, dość często wyłowić można kruszce myśli i koncepcji ciekawych, niekiedy wręcz drogocennych.

To wszystko jednak nie zaszkodziło *Płomieniom*. Pasja piszącego udziela się czytającemu; sensacyjna fabuła i aktualny wielce problem podtrzymują jego uwagę i pozwalają strawić filozoficzną stronę powieści. Wydaje się, iż jest to jedno z wartościowszych i trafniejszych wznowień dokonanych po wojnie. Ciekawe będzie wysłuchać o książce tej głosów obecnej młodzieży. Czy będzie ona — mając za sobą takie historyczne przeżycia — równie gorąco i pozytywnie reagować na Brzozowskiego, jak czynili to uczniowie lat międzywojennych? Ciekawe też będzie posłuchać za parę miesięcy opinii krytyków czeskich — książka wyjdzie niebawem po czesku.

Płomienie cieszą się w tej chwili pewnym powodzeniem. Należy jednak przestrzec wydawców przed zbyt pochopnym wznawianiem całego dorobku Brzozowskiego. Pisarz ten stanowczo nie ma szczęścia. Przed wojną też wyrządzono mu zasadniczą krzywdę, gdyż rozpoczęto wydawnictwo (nieukończone!) jego dzieł wszystkich — zamiast sprezentować wreszcie Brzozowskiego publiczności polskiej w wyborze jego najcelniejszych wyjątków, aby wreszcie przeciętny inteligent polski mógł poznać tego ciekawego, a tak dziś trudnego do przeczytania pisarza. Dobrze się stało, że przypomnienie Brzozowskiego rozpoczęto od jego najlepszej pozycji, od *Płomieni*, ale z dalszymi należy jednak zachować ostrożność i przezorność, podyktowaną choćby względami na pamięć pisarza o temperamencie literackim, jakich mało poza nim w naszej literaturze.

Kazimierz Koźniewski

DZBAN WINA I KROPLA GORYCZY

ROMAIN ROLLAND: *Colas Breugnon*. Przełożył E. Mirandola. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", 1947; str. 272 i 4 nl.

I

Przedziwna to niespodzianka w literaturze Francji pierwszej ćwierci tego wieku, okresu Barrèsa, Charles Péguy, André Gide'a, Suarèsa, Claudela i — Romain Rollanda (1868—1944).

Rosną we Francji napięcia dramatyczne u progu XX wieku. Po klęsce w wojnie pruskiej, po krwawym dramacie paryskiej komuny, po operetce Boulangera[1], po nerwowym napięciu i budzącym niesmak finale wycofała się intelektualna Francja na wygodne pozycje sceptycyzmu i znużenia. Bezwład woli i niemoc myślenia znaczą swym piętnem czoło elity narodu. Z perwersyjnym uporem nurzają się pisarze w stojącej wodzie pesymizmu i nihilizmu wartości.

Renan zawoła ze sztucznym patosem przejrzałości: „Francja umiera!", Péladan tworzyć będzie wtedy cykl powieściowy pod hasłem „dekadencji łacińskiej", Bourget poskarży się na „śmiertelne zmęczenie życiem, ponurą świadomość próżności wszelkiego wysiłku". Młody Barrès w 1885 roku napisze w „Plamach atramentu": „Bogowie wszyscy pomarli albo odeszli daleko... podobnie i nasze ideały nie pozostaną żywe. Omotała nas głęboka obojętność. Cierpienie nawet utraciło ostrze. Każdy z nas stąpa po swej drodze bez nadziei, z niesmakiem na wargach, banalnie a ciągle tak samo drepcąc w miejscu — od bolesnego krzyku narodzin po jęk agonii — ostatniej pewności, poza którą otwierają się wszelkie niepewności"...

Francja umiera: „Je suis l'Empire en sa décadence"... („Jam Cesarstwo u schyłku wielkiego konania" — tak ów początek słynnego sonetu Verlaine'a tłumaczy Miriam-Przesmycki).

[1] Gen. J. Boulanger (1837—1891), minister wojny w latach 1886—87, który usiłował powtórzyć dyktatorską karierę Napoleona III, zasiał we Francji wiele zamętu politycznego, a kiedy rządy III Republiki silniej przeciw niemu wystąpiły, — skończył samobójstwem w Brukseli.

Nagle — nieoczekiwany głęboki wstrząs przeszywa znużone jej ciało. Zatajone pod płaszczem zmęczenia siły wyzwalają się z gwałtownością powodzi. Sprawa Dreyfusa. Następuje mobilizacja sumień, krystalizacja wartości, narzuca się nieodparta konieczność — wyboru. Naród okazuje swą zdolność do podjęcia walki, zrzucając maskę bezwładu i słabości. Walka, wyrosła z poprzedniego stadium nerwowego wyczerpania, przybiera niekiedy kształty histeryczne, ale działa jak wyzwalający wstrząs elektryczny, stosowany w leczeniu patologicznej melancholii w zakładach psychiatrycznych. Wstrząs taki zabija lub uzdrawia.

Francja w roku 1898 została uzdrowiona.

Wyzwolone energie skupiają się dokoła nowych osi krystalizacji. Zarysowują się ideologie i obozy. Przyczajone przeciwieństwa błyskawicami myśli i pomrukiem przesuwanych barykad przygotowują nowy okres politycznej i socjalnej historii Francji. Na ulice wychodzą sztandary. Barrès skupia wiernych tradycji i „ziemi" — na trybuny wstępuje płomienny i otwarty przywódca ludu, Jaurès.

W owych to latach w szeregach walczących o nową Francję, nowego człowieka i nowy ład ziemi stanie Romain Rolland. Na rękopisie swoim w roku 1888 wyryje zdecydowaną ręką hasło swego życia i przyszłej twórczości: *Credo, quia verum!* Napisze: „Od dziś już bez metafizyki! Znalazłem pewność, nie mam wątpliwości; czuję teraz mocny grunt pod nogami. Odtąd należy iść naprzód i tworzyć".

Pamiętamy surową pastorską postać Romain Rollanda, twardą, pociągłą twarz, wnikliwe, o chłodnym spojrzeniu oczy, wyraz zdecydowany i spokojny, tchnący niezłomnością purytańską.

Gdy w roku 1914 zahuczą działa na granicy, opuści ojczyznę i będzie działać w Szwajcarskim Czerwonym Krzyżu, skoro walkę między narodami potępi, a współdziałanie w niej stanie w sprzeczności z zasadniczą tezą jego osobistych i pisarskich przekonań. Autor *Jana Krzysztofa*, w którym przedstawił przyjaźń Niemca z Francuzem i dopełnianie się wartości dwu społeczności i kultur, nie zechce zaprzeczyć głoszonej z pełnią odpowiedzialności wierze, a nie uwierzy, by wojna imperializmów była wojną ludów. Choćby miał ucierpieć od własnej ojczyzny, która poczyta go niemal za zdrajcę.

Surowy myśliciel, asceta w osobistym życiu, wpatrzony w principia ideologiczne (choćby stopniowo ulegały ewolucji), w renesansowym zarazem bogactwie talentu łącząc miłość i znawstwo muzyki z umiłowaniem słowa — będzie tworzyć dzieła literackie w tonacji patetycznej, dialektyczne wewnętrznie i dramatyczne w wyrazie.

Od *Empedoklesa, Świętego Ludwika, Aerta* i bohaterów tetralogii rewolucyjnej *(Wilki, Tryumf rozumu, Danton* i *Czternasty lipca)* przeniesie się myślą ku wielkim postaciom dramatycznym, by w *Żywotach mężów sławnych* objawiać potęgę genialnych indywidualności Beethovena, Michała Anioła, Tołstoja.

Ze źródeł zamyśleń nad człowiekiem, zwłaszcza nad duszą artysty, z analizy układów społecznych i złóż kultury europejskiej, zwłaszcza francuskiej i niemieckiej, wypłynie szeroka rzeka jego wielkiej powieści o dziejach Jana Krzysztofa Kraffta, niespokojnego syna Nadrenii, walczącego w imię swej osobowości i własnej sztuki ze światem, łamiącego się w zwadach z ludzką małością i zawsze wracającego do siebie, a w tym sporze z otoczeniem socjalnym poznającego wartości objawiane i zdobywane poprzez cierpienie.

W przedmowie do ostatniego tomu *Jana Krzysztofa* napisze Romain Rolland: „Przedstawiłem tragedię pokolenia, które przemija. Starałem się nie ukryć nic z jego błędów i cnót, z jego przygniatającego smutku, jego chaotycznej dumy, bohaterskich wysiłków i znużenia pod przemożnym ciężarem nadludzkiego zadania: odbudowy wszystkiego co jest w świecie — moralności, wiary, nowej ludzkości.

To my! Kolej na was, młodzi, do których należy dzień dzisiejszy. Z naszych ciał uczyńcie sobie stopnie i ruszajcie po nich naprzód. Bądźcie więksi i szczęśliwsi od nas. Ja sam swojej dawniejszej duszy mówię słowa pożegnania. Porzucam ją poza sobą, niczym pustą powłokę. Życie jest ciągłym następstwem śmierci i zmartwychpowstań. Trzeba umrzeć, Krzysztofie, żeby znów się narodzić..."

Zanim chwyci pióro, by utrzymać się czasu wojny na swym stanowisku *Au-dessus de la mêlée* i zanim, znowu epickim tchnieniem owiany, pocznie snuć opowieść o *Duszy zaczarowanej* — jeszcze przed wielką rozprawą roku 1914 przywoła do życia swą klechdę o niezrównanym rodaku z Clamecy, zacnym kpiarzu Colas Breugnon.

2

I to jest właśnie niespodzianka. Rzecz nieoczekiwana zarówno na tle zarysowanej dramatycznej epoki F r a n c j i pierwszego ćwierćwiecza, jak i na tle patetycznie rzeźbionej twórczości samego pisarza.

Twórca zdawał sobie z tego sprawę. W przedmowie wyznaje:

„Pracowałem nad innymi utworami, dramatem i powieścią na tematy współczesne, w tejże samej co *Jan Krzysztof*, nieco tragicznej atmosferze wyrosłe. Nagle musiałem rzucić w kąt wszystkie notatki i przygotowane sceny i jąłem się tej niewinnej książki, o której nie myślałem jeszcze dnia poprzedniego".

Jeśli wielki pisarz genezę swego utworu tłumaczy — dalej — zmęczeniem wynikłym z długoletniego trwania „w zbroi „Jana Krzysztofa'" i zetknięciem się ponownym z własną ziemią rodzinną, to — stwierdzając niewątpliwą słuszność motywu anteuszowego przerodzenia wskutek zanurzenia się w atmosferze i tradycji regionalnej oraz w bujnym życiu pulsującym treściami bogatej przyrody — motyw pierwszy należy rozszerzyć. Nie *Jan Krzysztof* jedynie, ale cała aura myśli i dzieła Rollanda „laurowa" była i „ciemna". Wysilony poszukiwaniem prawdy najgłębszej, tego, o czym w młodości już chciał powiedzieć, iż w to „wierzy, bowiem jest prawdą", przejęty mocą dramatycznych konfliktów ideologicznych, socjalnych i psychologicznych, urzeczony tragiczną wielkością genialnych twórców — nagle, znalazłszy się pośród winnic rodzących napój słoneczny zwyczajnej, niedalekiej, ludzkiej radości, uczuł zmęczenie wysokością, potrzebę poddania się oddechowi pogodnej prowincji, wypoczynku nad brzegiem niwernejskiego Beuvronu.

Colas Breugnon to przystanek na drodze trudnej twórczości, a jednak — zarazem — etap.

Spójrzmy jeszcze przez chwilę na Francję, jak się nam objawia w dziejach swego piśmiennictwa. Dokonując pewnego uproszczenia wolno nam dostrzec trojaką postawę, skrystalizowaną i uosobioną szczególnie wyraziście w trzech wielkich pisarzach. Niechaj nimi będą: Rabelais, Montaigne i Pascal. „*Vivo et gaudeo*", „*cogito et dubito*", „*credo et confiteor*". (Żyję i raduję się", „myślę i wątpię", „wierzę i wyznaję").

Z trzech wskazanych postaw kardynalnych — typ montaigne'owski zarówno najliczniejsze wydał potomstwo, jak najdalej idące w swej ewolucji wysnuł konsekwencje. Duch analizy i krytyki, odwagi myślenia swobodnego, niezależnego i zarazem zupełnie osobistego — tak dalece wolnego od obciążeń tradycją, nawykiem i konformizmem — wydawszy Descartesa, poprzez krytycznych „moralistów" doszedłszy do rozkwitu w epoce wolteriańskiej, w negatywnej swej konsekwencji najpełniejsze owoce sceptycyzmu wydał w okresie, na jaki przypadła młodość Romain Rollanda. Tu miejsce i Anatola France'a.

Pascalowska postawa nie jest postawą wyznawcy przejętych dziedzictwem tradycji czy leniwie uznanych za wiarę bezmyślnych nałogów, ale wyznawcy z trudem śmiertelnym walczącego z Aniołem o prawdę, potrząsającego z siłą kratami granic ludzkiej zdolności poznawczej, by w olśnieniu nagłym zapalić się w ogniu pewności.

Pascal będzie raczej mitem, widniejąc jako możliwość, cel albo dążenie. Znalazłszy wcielenie (zakłócimy tu chronologię) w legendach o św. Ludwiku i Joannie d'Arc, w postaciach wielkich bojowników Rewolucji, zamilknie i skarleje w epoce mieszczańskiej, by zjawić się znów na horyzoncie naszego wieku. Zdaje się, że Romain Rolland pracą swego życia i dzieła literackiego należy do pascalowskiego kręgu.

Ale Colas Breugnon to prawnuk Rabelais'go. Z ducha *Gargantui* i *Pantagruela* wywodzą się dwa elementy opowieści Rollanda: radosna miłość świata, nie ekstatyczna, lecz bachiczna, afirmująca „wszystkość" życia, pełna pogańskiej życzliwości ciału, bytowi biologicznemu, fizjologicznemu wprost, *nihil turpe quod naturale* (nic nie jest szpetne, co naturalne), oraz fantastyka burleski, szeroki śmiech wobec groteskowego widowiska uplecionego z prawdy przemienionej w dziwaczną feerię obrazów będących konsekwentną transformacją rzeczywistości. Zabawna to *Welt als ob*, świat na niby, ale nie filozoficznej abstrakcji, lecz gigantomachii przerastających swe normalne miary elementów realności.

Tylko że *Colas Breugnon* nie jest wyrazem żywiołowej pasji pierwotnego Rabelais'go, lecz człowieka i twórcy, który mając w przekazie kulturalnym montaigne'owską analizę i dyssekcję sceptyczną, a sam dźwigając ciężar walki o jedyną pewność prawdy — zadania swoje rozwiązuje pod naciskiem prób już przebytych.

Humor opowieści nie jest prymitywnym widzeniem śmieszności widowiska świata, ani nie polega na niedostrzeganiu paradoksu zła. Humorysta wielkiej skali nie zamyka oczu na niedostatek słuszności etycznej w zjawiskach życia, nie jest niewrażliwy na „smutek istnienia". Theatrum życia ludzkiego nie obserwuje z zimnym i ironicznym obiektywizmem. Nie ma tu wszakże gorzkiego pesymizmu nurzającego się wyłącznie w cieniach, ani też — byle jakiej zgody z życiem.

Jest natomiast afirmacja „mimo wszystko", osiągnięta w pełnej świadomości

smutku i radości, optymizm wysoki i ostateczny. Synteza to zdobyta poprzez i ponad ostrą dialektyką przeciwieństw w stopie dobrotliwego wybaczenia. Miara bezwzględna względnych proporcji życia.

Nie po kwiatach bo jedynie stąpa Colas. Przeżywa czarne noce bólu, w których rodzi się bunt przeciw bezsensowi świata. Gdyby się tak nie działo, byłby może tylko daleką abstrakcją, fikcją Arkadii i Schlaraffenlandu, tezą poetycką. Ale Colas jest żywym człowiekiem, którego odnajdzie nieszczęście i rzuci na drogi klęski. W mroczne i niespokojne noce rozpaczy tworzy swe manifesty gniewu i przeciwstawia się naciskowi świata. Nie są to litanie pokory. Burgundzka zadzierżystość każe mu mocno zaciskać pięści.

„Nie jesteś tedy" — twarda mowa niwernejczyka! — „nie jesteś tedy, mocny Boże, każdego dnia w tygodniu dobry, miewasz kaprysy, złośliwostki, zbiera cię ochota robić na złość! Od czasu do czasu odczuwasz wielkie pragnienie niszczenia, popróbowania siły, krew ci się burzy, jesteś w złym humorze, drzesz i niszczysz dla zabicia czasu, a wszystko to, jak rzekłem, nie dziwi mnie wielce. Stać nas na to... nas, ludzi i ciebie, by się popróbować, i nieraz wypowiadaliśmy ci otwarcie nasze poglądy..."

Ale po dominujących smutkach i bezlitosnych klęskach Colas, bezdomny, okaleczały i unieruchomiony, on, który w wędrówkach beztroskich chwalił sobie życie — „robiąc bilans za rok ubiegły", stwierdza:

„Stwierdzam, że w ciągu sześciu miesięcy straciłem wszystko: żonę, dom, pieniądze i wreszcie nogę. Ale najdziwniejsze jest to, że mimo strat posiadam wszystko, co dawniej posiadałem. Posiadam zdrowie, świeżość umysłu i spokój ducha. Nie uwierzyłbym przed rokiem, że zniosę wszystkie nieszczęścia tak łatwo. Czyż nie przysięgałem sobie niedawno jeszcze, iż do samej śmierci będę panem na własnych śmieciach, że zachowam niezależność, prawo dbania o utrzymanie własne i prawo do własnych wybryków. Człowiek strzela, a Bóg kule nosi. Wszystko poszło inaczej niż chciałem, i właśnie dobrze się stało! Człowiek jest niby wosk w rękach ducha, który zeń lepi formę potrzebną w danej chwili. O jakże mile czuć tę podatność w sobie, jakże przyjemnie wiedzieć, że się może być rybą w wodzie, ptakiem w powietrzu, salamandrą w ogniu, a na ziemi człowiekiem, który walczy z wszystkimi przeszkodami. Im mniej się posiada, tym się jest bogatszym, bo duch włada wówczas swobodniej gliną i tworzy to, czego mu potrzeba. Drzewo gęste rośnie lepiej wzwyż, gdy mu się przerzedzi gałęzie".

Colas Breugnon zawiera tu w sobie przezwyciężenie kompleksu Hioba. Gdy poznaje gorycz opuszczenia i utraty, ten „opój" i „włóczykij", gębacz nie znający — zda się — więzów obowiązku i norm, dzień nie na pracy spędzać rad, jeno na gapieniu się na ciekawe i przezabawne widowisko życia, z całym wprost niezrozumiałym i bezsensownym dla rozsądnych mieszczan z Clamecy uporem będzie ciągle pracować nad rekonstrukcją. Jak symbolicznie niemal dźwiga się wnet z nieszczęścia ku odbudowie domu, zniszczonego przez głupotę i chciwość współobywateli, tak rekonstruować będzie we wszystkim to, co najgoręcej umiłował w swoim sercu: wolność. Nie materialna bowiem strata domu zabolała go najdotkliwiej, lecz to, iż w nim spłonęła najpewniejsza gwarancja osobistej niezależności.

Jest jeszcze w tej postaci coś chaplinowskiego, bunt przeciw utartym normom i mechanizacji życia, przy jakiejś komicznej bezradności zaradność w obronie własnej absolutnej niezależności — i nadto magia otwartych dróg, wiodących ku beztrosce.

Tylko — gdy go zestawić z Chaplinem czy Don Kiszotem — pamiętać trzeba, że w jego żyłach płynie nie melancholiczna limfa, ale gorąca krew i przednie wino burgundzkiej ziemi. Jest w nim siła witalna człowieka nie z pierza, lecz z mięsa. I jeśli znów opromienia jego postać aureola panteistycznego zespolenia z „wszystkością świata", to nie w barwach poetyckiej nirwany, ale w kolorach, jakimi się jarzy to, co jest naprawdę mocne i tęgie, jak jabłko w słońcach sierpnia i wino w dzbanie. Dlatego to Colas, głowę trzymając wysoko u nieba, nogami stąpa mocno po tłustej, rodnej ziemi.

„Lubię — powiada — jak nasze cisawe woły przeżuwać wieczór strawę połkniętą z rana. O jakże miło oglądać, przewracać, mieszać to wszystko, co się myślało, obserwowało, zbierało, jakże przyjemnie rozdziobywać, kosztować, smakować, by się rozpływało na języku, i pomału... pomału połykać. Tych rozkoszy doznaje człowiek opowiadając sobie od początku wszystko, co się pospiesznie chwyciło w przelocie, nie mając czasu na należytą, spokojną ocenę".

„Błogosławiony dzień mego przyjścia na świat! Mój Boże, jakże dobrą rzeczą jest życie. Choćbym się nie wiedzieć jak napchał, głodny jestem, zawsze mi idzie ślinka; muszę być chyba chory, bo nie ma takiej chwili przez cały boży dzień, bym nie pragnął zasiąść do stołu zastawionego darami ziemi i słońca".

Przed opowieścią całą wyrasta właśnie postać samego Colas Breugnon. W niej skupiony jest sens dzieła — zarówno ideologiczny jak artystyczny (poza stylizacją) — i ona jest owym nieoczekiwanym tworem Romain Rollanda, wyrazem przemijającego momentu pogodzenia się z rzeczywistością. Tego też pogodzenia, nie tchórzliwego i pełnego słabości, lecz męskiego i śmiałego pojednania, uczy.

Optymizm utworu, ale nie naiwny, humor, ale filozoficzny, materializm, ale wyrosły z zespolenia serdecznego ze wszystkim, co dane, spirytualizm, ale będący wyrazem wiary w wartości najprostsze — oto co czyni z tej książki porywający rapsod na cześć życia. Ta niepospolita książka uczy, w ostatecznym rozrachunku, zgody poprzez negację, a ponad wszystko naucza radości pomimo smutku.

Książka ta jest niby dzban burgundzkiego wina, choć rozpuszczona w nim kropla goryczy.

3

Stąd to — mimo wszelkich naszych zastrzeżeń wobec takiej, jak tu, gloryfikacji nieokreślonego modernistycznego „życia", apoteozy mało użytecznego, często w konsekwencji niebezpiecznego mitu — dobrze się stało, że ten niezwykły utwór francuskiego pisarza doczekał się tak rychłego po wojnie wznowienia. Nie stał się wprawdzie nigdy w polskiej krytyce przedmiotem szczególniejszego zainteresowania. Przesłaniał go cień wielkich kompozycji epickich Romain Rollanda. Rzecz ciekawa, że i krytyka francuska nie poświęciła mu wiele uwagi; i — charakterystyczne! — nie we Francji, lecz w Niemczech znalazł się pilny badacz utworu w osobie Georgetty Schüler, która mu poświęciła 26-stronicowe studium (w *Romanische Forschungen).*

A jednak jest to książka żywa, ulubiona i często wybierana spośród wielu przez niejednego czytelnika dobrej prozy. Zarówno we Francji, jak właśnie — w Polsce. Być może, że trafia szczególnie celnie w ton, tak chętnie słyszany u nas. Swoją prostotą i optymizmem podstawowym daje zadowolenie sarmackim poszukiwaczom łatwych rozwiązań. Nie drażni i nie męczy, kołysząc na łagodnej fali uwielbienia życia, witalistycznego biologizmu. Radosne potwierdzenie przesłania w oczach czytelnika i zataja niemal wewnętrznie przezwyciężony pesymizm. Obca nam jest na ogół i nie odczytana owa mroczna karta, na której pisane barwne strofy afirmacji „mimo wszystko".

A dziś? Daleka jest podstawowym problemom współczesności, nie dopomoże rozwiązaniu dialektycznych przeciwieństw i procesów. Pozostanie jednak — i niechaj tak będzie! — wartościową pozycją w kategorii tych książek, po których „łatwiej żyć", indywidualną dobrą nowiną, książką po prostu „rozrywkową" — w najlepszym sensie tego określenia. Książka też miewa prawo, aby nie być niczym więcej ponad rozumne wytchnienie, a takim rozumnym wytchnieniem utwór Romain Rollanda jest na pewno.

Tak ją widzą zresztą i czytelnicy francuscy, dla których jest jakby etiudą stylizowaną, zabawną i radosną, przyjemnym *divertissement* bez konsekwencji.

O samym wznowieniu jeszcze słów kilka. Dokonała go *Wiedza* z widoczną starannością i dbałością o kształt zewnętrzny. Z rzetelnym humorem zdobił książkę M. Jurgielewicz, umiejętnie trafiając w burleskowy ton narracji.

Przekład Mirandoli z r. 1922 — w *Bibliotece Laureatów Nobla* — spotkał się niegdyś z ostrą krytyką Elzenberga w *Przeglądzie Warszawskim.* Zarzuty, zasadniczo słuszne, godziły w ścisłość tłumaczenia. Jednakże wydaje się, iż mimo niedokładności, Mirandoli udało się wyjątkowo uchwycić i przetransponować styl utworu, zachowując jego zamaszystą barwność i humor. Niewątpliwie jest to jedno z najcelniejszych osiągnięć tego, kiedy indziej często niedbałego tłumacza. Inne zarzuty wymierzone były raczej w wydawcę, który pominął obie przedmowy autora (z r. 1914 i 1918), a z tekstu wyłączył nawet dwie większe (aż ponad 5-stronicowe) partie pełne uroku. Należy stwierdzić z zadowoleniem, że obecny wydawca nie poprzestał na prostym przedruku dawniejszej edycji, lecz uczynił zadość obowiązkowi pietyzmu wobec utworu, uzupełniając przekład opuszczonymi poprzednio przedmowami i ustępami tekstu.

Czemu jednak nie ma zwyczaju zaznaczania, na jakich wydaniach dawniejszych opierają się powojenne wznowienia i w jakim są do nich stosunku?

Jan Nowakowski

O Romain Rollandzie por. *Ostatnia książka Romain Rollanda, Twórczość*, 1946, nr 5.

MONOGRAFIA KOCHANOWSKIEGO

STANISŁAW WINDAKIEWICZ: *Jan Kochanowski.* Wydanie drugie. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" (Kraków), 1947; str. 202, 2 nl i 1 podobizna poety.

Najciekawsza postać naszej starej literatury, uosobioną synteza polskiego Renesansu, Jan Kochanowski, nie może doczekać się godnej siebie monografii, mimo że osoba jego i twórczość fascynuje coraz nowe pokolenia badaczy. Rośnie obfita literatura przedmiotu, jednak liczba pozycyj monograficznych z najstarszymi włącznie nie przekracza kilku. Ilość ta jest zresztą tylko wykazem bibliograficznym. Prace bowiem Romana Plenkiewicza (1897) i Stanisława Tarnowskiego (1888) są już właściwie martwymi pozycjami historycznymi; nie do pominięcia dla historyka specjalisty, nie mogą one jednak reprezentować współczesnej wiedzy o Kochanowskim. Wstęp Brücknera do jego wydania zbiorowego dzieł Jana Kochanowskiego z 1924 r. jest tylko 80-ciostronicowym szkicem. Mamy więc właściwie jedną tylko obszerniejszą pracę o poecie czarnoleskim — jest nią monografia Windakiewicza *Jan Kochanowski* *.

Jakkolwiek najlepsza z dotychczasowych, monografia Windakiewicza daleka jest od tego, żeby w całości mogła zadowolić. Szczupłe jej rozmiary dają tylko zarys zagadnień z twórczością i życiem poety związanych. Dzisiejszy czytelnik nie zgodzi się z założeniami metodycznymi autora. Książka nie jest pisana równo, obok rozdziałów odkrywczych i świetnych są takie, które budzą liczne zastrzeżenia. Monografia ta ma jednak doniosłe znaczenie, stwarzając bowiem ogólny rzut syntetyczny toruje drogi dla pracy obszerniejszej, bardziej gruntownej, na jaką zasługuje wciąż żywotny patriarcha naszej poezji.

Praca taka jest jednak na razie postulatem wysuwanym pod adresem nieokreślonej bliżej przyszłości. Nie może na nią czekać studiujący polonista, trzeba także dać przewodnik po zagadnieniach związanych z Kochanowskim szerokim kołom nauczycielskim i oświatowym. Powinna istnieć łatwo dostępna książka, którą można by polecić młodzieży uczącej się, wreszcie, po którą mógłby sięgnąć każdy, kogo zainteresuje postać i twórczość tego poety. Gdy przyszło dać taką książkę czytelnikom, okazało się, że trzeba wrócić do Windakiewicza, że monografia ta może z powodzeniem i musi te zadania wypełnić. Ogłoszona przed 18 laty, jest wciąż jeszcze ostatnią i najlepszą, jaką napisano w języku polskim, i nie wiadomo jak długo przyjdzie jej jeszcze swoją służbę społeczną pełnić.

Jedną z głównych przyczyn, dla której temat tak wdzięczny miał tak mało siły atrakcyjnej, jest fakt, że wiedza o poecie, jeśli idzie o życie i chronologię dzieł, w dużej mierze nie wychodzi poza sferę domysłów. Puścizna poetycka Kochanowskiego formuje wizerunek autora żywy i pełny, uderza wyobraźnię finezją i bogactwem rysów. Gdy jednak przyjdzie oprzeć ten obraz o konkretne fakty jego życia — spotykamy się z głuchym milczeniem historii, z której da się wydrzeć tylko kilkanaście suchych dat.

Dysproporcja ta nie przestaje intrygować historyków literatury i przyczynia się do piętrzenia bez liku domysłów i hipotez, mających zapełnić pustkę faktów wokół poety i rozwiązać zagadkę jego osoby i życia. Stan ten nie może natchnąć odwagą do pracy syntetycznej. Trzeba zdać sobie dobrze sprawę z tego, jak wielkie trudności miał do pokonania Stanisław Windakiewicz, aby jego wkład w naszą wiedzę o Kochanowskim dobrze ocenić. Należało z jednej strony nic nie uronić z wielostronnej i o sprzecznych nieraz rysach, a jednak harmonijnej postaci poety, z drugiej, krytycznie przebić się przez gąszcz legend, rozsnutych w braku konkretnych danych między odosobnionymi lakonicznymi relacjami dokumentów. Trzeba przyznać, że ogólny rezultat pracy wypadł szczęśliwie, mimo że w szczegółach autor nie zawsze wychodzi zwycięsko z zasadzek swego przedsięwzięcia. Z ogłoszeniem jednak monografii Windakiewicza otrzymaliśmy wreszcie solidny fundament syntezy Kochanowskiego. Jest to wartość bezwzględna i historyczna tej pracy.

Monografia Windakiewicza w czternastu rozdziałach omawia życie i twórczość poety w chronologicznej kolejności. Dominującym problemem, który określił konstrukcję książki, są zagadnienia biograficzne. Ponieważ ta część wiedzy o poecie jest najbardziej uboga i ciemna, rzeczą zrozumiałą jest, że ona właśnie wzbudziła największe zainteresowanie monografisty. Stało się to po części ze szkodą dla zagadnień związanych

* W języku francuskim współzawodniczy z nią ogłoszona w dwa lata później monografia o Kochanowskim J. Langlade'a, francuskiego badacza i wielbiciela naszego poety. (*Jean Kochanowski*, Paris, 1932).

w sposób bardziej istotny z twórczością Kochanowskiego.

Zastrzeżenia metodologiczne, jakie można by wysunąć pod adresem monografii, są dziś przebrzmiałe. Książka powstała dostatecznie dawno, żeby mieć prawo do przeżytych metod badawczych, którymi nowsi krytycy i historycy literatury już się na ogół nie posługują. Z wynikami rozważań biograficznych Windakiewicza nie zawsze można się zgodzić, zwłaszcza, gdy podejmuje się on rozwikłać arkana erotycznych przeżyć Kochanowskiego. Wobec braku historycznych danych za jedyne źródło służą mu utwory, których kolejność jest zresztą domniemana. W biograficznej interpretacji dzieł poety autor nieraz popełnia grzech naiwnego psychologizmu. Trafia się przy tym zdanie zbudowane tak nieostrożnie, że można by go przenieść do gabinetu osobliwości naukowo - stylistycznych: „Miłość to była gorąca i zmysłowa i zmusiła Kochanowskiego do szczegółowych studiów nad elegią starożytną".

Nie chodzi tutaj o drobne złośliwości. Po prostu trudno dzisiaj zrozumieć pasję naszych najtęższych badaczy literackich, luminarzy polonistyki, w polemice nad zagadnieniem, czy Lidia z elegij Kochanowskiego jest zmyślona czy nie, czy był to jeden romans, czy więcej. Sztuczność układania romansów z elegii i pieśni nie mogła dać nic prócz wątpliwych hipotez. Jedną z nich jest tak szeroko i malowniczo przez Windakiewicza rozbudowany schemat miłości do Bezimiennej, powtórzenie koncepcji autora z 1902 r. (*Pamiętnik Literacki: Erotyk Kochanowskiego).* Schemat swój Windakiewicz zbudował w ten sposób, że z pieśni, fraszek i elegij wybrał szereg utworów i ułożył z nich dosyć szczegółowy romans od zakochania do zerwania. Miała to być po Lidii padewskiej nowa płomienna miłość Kochanowskiego, rozgrywająca się w okresie dworskim jego życia i zmierzająca do małżeństwa, lecz zakończona nieszczęśliwie. Przekorny los chciał, że w chwili, kiedy Windakiewicz wydał swoją monografię, znane już było odkrycie akrostychów przez Zygmunta Hajkowskiego (*Akrostychy Jana Kochanowskiego, Ruch Literacki* 1929, styczeń).

Okazało się mianowicie, że trzy pieśni z „Fragmentów" mają swoistą budowę — pierwsze litery wiersza każdej z nich tworzą imię i nazwisko osoby, dla której utwór był przeznaczony. Dla sprawy Bezimiennej ważne są dwa z tych akrostychów: „Kto mi dać wiary nie chce, daj ją oku swemu" i „Juno porzuć gniew swój długi". Są to te same pieśni, które mają naczelną pozycję w schemacie Windakiewicza, cytowane i omawiane szeroko w monografii jako rzekome dowody gorącego i podniosłego uczucia poety do Bezimiennej. Hajkowski wykazał, że pieśni te są igraszkami wersyfikacyjnymi, skierowanymi do dwu różnych adresatek: Katarzyny Wodzińskiej i Agnieszki Kryskiej. W ten sposób upadły filary koncepcji Windakiewicza. Do spadku po Bezimiennej pretendują dwie kandydatki, a w dodatku do szeregu wierszy z tego kompleksu ma pretensje Brückner w imieniu trzeciej spadkobierczyni — Lidii padewskiej.

Są to jednak tylko słabe miejsca monografii Windakiewicza, która posiada prócz tego wiele cennych zalet. Jedną z najważniejszych jest ta, że książka pisana z temperamentem i rozmiłowaniem w poecie potrafiła stworzyć portret Kochanowskiego sugestywny i przekonywający. Autor osiągnął zamierzenie przedmowy i dzieło jego rzeczywiście ukazuje oblicze poety zmienne, pełne ruchu i zajmujących przeobrażeń. Na partiach poświęconych analizie dzieł Kochanowskiego zaciążyły trochę biograficzne zainteresowania autora. Twórczość poety zbyt wyłącznie jest rozpatrywana pod tym kątem widzenia, tak że zostaję proporcjonalnie mało miejsca na krytyczne jej opracowanie. Ujęte w sposób raczej ogólny, opracowanie to jest jednak trafne i wydobywa najbardziej charakterystyczne i ciekawe strony utworów poety.

Dwa rozdziały książki zasługują na specjalne omówienie, są bowiem jej największym osiągnięciem i pozostaną jej najpiękniejszą i trwałą wartością. Jeden z nich to „Poezja życia rodzinnego". Windakiewicz dokonał tu odkrycia nowych pokładów poezji Kochanowskiego — liryki domu i rodziny. Z *Pieśni, Fraszek, Sobótki* i przede wszystkim *Trenów* wydobył i zgrupował utwory liryce tej poświęcone, ukazał czar tej poezji, rozmaitość tematyki i głęboki ton uczuciowy. Jest to dużej wartości zdobycz w naszej ocenie twórczości Kochanowskiego i pozostanie to zasługą Windakiewicza, że on ją nam przyniósł.

Drugim osiągnięciem krytycznym monografii jest świetnie przeprowadzona analiza *Psałterza.* Autor interesująco pokazał pracę literacką poety nad tłumaczeniem, wartość i oryginalność parafraz Kochanowskiego, umiejętnie i subtelnie przedstawił piękno języka i obrazowania poetyckiego, szczyty artyzmu poezji czarnoleskiej, która dziś jeszcze nie straciła swej władzy. Jednocześnie słusznie podkreśla Windakiewicz,

że *Psałterz Dawidowy* stracił w ogładzie humanistycznej tłumaczenia swoją pierwotność i siłę; równie trafnie zauważył on oprawę retoryczną przekładu. Dokładna formalna analiza Weintrauba w jego precyzyjnej pracy *Styl Jana Kochanowskiego* (1932) potwierdziła rezultaty Windakiewicza.

Praca Windakiewicza pisana była w okresie żywych zainteresowań naszych historyków literatury twórczością i osobą Kochanowskiego. Warto przypomnieć że data jej wydania zbiegła się z 400-letnią rocznicą urodzin poety i ze zorganizowanym z tej okazji w Krakowie zjazdem naukowym jemu poświęconym. *Pamiętnik Zjazdu* daje ciekawy przekrój zagadnień z Kochanowskim związanych, zajmujących w owym czasie naszych uczonych, i charakteryzuje zarazem stosunek dwudziestolecia do poety. Każdy okres historyczny odmienną zajmował postawę wobec poety i odmiennie kształtował problematykę badań nad nim, w zależności od dominanty światopoglądowej swego czasu. Jak bardzo odmiennie, dowodzi tego artykuł Zawodzińskiego *Czterdzieści lat z Kochanowskim (Twórczość*, 1946, z. 5).

Okres dwudziestolecia został już zamknięty. Monografia Windakiewicza, *Pamiętnik Zjazdu* i w sposób najbardziej skondensowany śliczne studium Borowego *Kochanowski żywy* wyznaczają stosunek dwudziestolecia do Kochanowskiego. Rozpoczęliśmy po wojnie nowy okres historyczny, przewidywać więc należy powstanie nowego zespołu problemów z Kochanowskim związanych i nowego na poetę spojrzenia. Wzrastające tendencje socjologicznego ujęcia zjawisk literackich mogą i powinny ożywić i wzbogacić naszą wiedzę o osobie i twórczości poety z Czarnolasu. Przypuszczamy, że książka Windakiewicza również wówczas swojej wartości nie straci.

Aniela Łempicka

NA POSTERUNKU SZTUKI HUMANISTYCZNEJ

GRAFIKA MARII HISZPAŃSKIEJ

Jedynym artystą polskim w chwili obecnej, który pracuje wyłącznie w zakresie twórczości graficznej, który pokazuje owoce tej pracy i który rozwija się w sposób widoczny i budzący nadzieje — jest Maria Hiszpańska. Chyba to jedyny żywy płomień na tle popiołów wygasłego ogniska, niedawno jeszcze tak jasnego.

Zastój w polskiej grafice artystycznej nie da się już, niestety, tłumaczyć warunkami technicznymi. Lata, które upłynęły od zakończenia wojny, zbyt wiele widziały osiągnięć w innych dziedzinach odbudowującego się życia kulturalnego, aby można było jeszcze wierzyć w techniczne tylko powody graficznego milczenia. Zresztą właśnie nie milczenie, lecz, przeciwnie, nieliczne głosy, które usiłowały je przerwać, nastrajają zdecydowanie pesymistycznie.

To, co oglądaliśmy na wystawach w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, jest wystarczającym dowodem braku wybitniejszych talentów, a w każdym razie indywidualności artystycznych. Gdy dołączyć do tego fakt, że ci z dawnych grafików polskich, którzy przetrwali wojnę, nie biorą rylców do ręki, czy też nie publikują swych nowych graficznych prac (Bartłomiejczyk, Kulisiewicz, Jurgielewicz, Fijałkowska) — obraz, który się zarysuje, będzie tak niepokojący, że wywołać może rewizjonizm w stosunku do widoków rozwojowych polskiej grafiki przedwojennej. Celowość takiego rewizjonizmu wszakże byłaby chyba wątpliwa wobec braku wielu najwybitniejszych aktorów tych procesów, które przed wojną znajdowały się w stanie kulminacji. Faktem jest, że przechodzimy kryzys w tej dziedzinie plastyki, która, co jeszcze bardziej dotkliwe, winna właśnie obecnie przeżywać okres rozwoju.

Tym bardziej warta podkreślenia i bliższej analizy jest twórczość Hiszpańskiej, bogata i wszechstronna. Momentem uderzającym, tak bardzo dzielącym ją od przeważnej części polskiej plastyki współczesnej, jest żywy i emocjonalny stosunek do rzeczy przedstawianych. Trudno zaprzeczyć, że intensywne zainteresowanie, miłość, nabożeństwo czy podziw, jakim artysta otacza to, co maluje, jest doniosłym czynnikiem procesu twórczego, którego ślad nie tylko pozostaje w wykonanym utworze, ale — przede wszystkim — nadaje mu zgoła specjalną wartość. Niewątpliwie nie jest to rozumowanie w kategoriach tzw. „myślenia plastycznego". Nie będę też negował, że liczne i cenne dzieła sztuki bywały wynikiem zainteresowań natury czysto formalnej: kompozycyjnej, kolorystycznej czy fakturowej. Z drugiej strony umiłowanie obiektów przedstawianych towarzyszyć może nieudolnemu grafomaństwu plastycznemu.

Trzeba jednak przyznać, że treść wielu najwybitniejszych dzieł, jakie znamy z dziejów plastyki, nosiła w sobie silny ładunek uczuciowy w momentach poczęcia ich przez artystów. Nawet sprawy „mało ważne", przedmioty codzienne, wydzielone z otoczenia dłonią pełną miłości, stają się rilkeańską „ewangelią rzeczy" — owym *still-life* — życiem, uchwyconym na momencie i zatrzymanym w spokoju. Pełne dostojności naczynia Hedy czy Piersona z Muzeum Warszawskiego są wynikiem tej sublimującej twórczej miłości.

Ale obok owej doniosłości subiektywnej — stosunku artysty do tematu — istnieje jego doniosłość obiektywna. I znów zastrzeżenie — wiem, nie wpadnę znów w błędy de Piles'a czy Ruskina. Doniosłość tematu to klauzula zbyt szeroka i zbyt wą-

ska zarazem. Proszę jednak o uwzględnienie tego momentu i spojrzenie pod jego kątem na niedomagania naszej współczesnej plastyki.

Z nieprzebranego bogactwa problematyki związanej ze sztuką żyje w niej dziś ile? dwa, może trzy zagadnienia — natury czysto wizualnej, niekiedy ekspresyjnej, i to raczej w sensie czynnym — muzycznym. Tylko najwięksi artyści, jak Paweł Klee, umieli zachować w swych dziełach polifonię pełni i bogactwo form i problemów. Hermetyczność sztuki współczesnej wywołana jest w dużej mierze faktem braku zestrojenia, braku harmonijnego współbrzmienia zagadnień i osiągnięć natury czysto plastycznej i natury intelektualnej. Zabawne: oskarżenie o brak intelektualizmu? Jest on, ale przecież zbyt jednostronny. Może to zresztą wina ogólnych podstaw myślowych naszego czasu. Ich przecież wyrazem jest plastyka współczesna. Hiszpańska próbuje przełamać szaniec — walczy o równouprawnienie strony plastycznej dzieła sztuki i jego sensu humanistycznego.

Tu jest nazwa. Sztuka Hiszpańskiej, w przeciwieństwie do większości jej starszych i rówieśnych kolegów (ze zdecydowanym wyjątkiem w twórczości Kulisiewicza) jest sztuką humanistyczną, w której widać dążenie do harmonijnego rozegrania koncertu pomiędzy treścią plastyczną, treścią myślową i stosunkiem emocjonalnym do nich obu. Stąd bogactwo tej sztuki, która zastanawia nawet wówczas, gdy jest na złej drodze.

A trzeba powiedzieć, że Hiszpańska brnie przez drogi i bezdroża obranego szlaku, zaznając sukcesów i porażek. Wszystkie zalety i niebezpieczeństwa, jakie „doniosły temat" i „emocjonalny" stosunek niosą z sobą, dadzą się tu odnaleźć.

Sztukę jej należy rozpatrywać na przestrzeni rozwoju blisko dziesięcioletniego. Czas ten, zamykający w sobie studia w warszawskiej ASP, okupację, lata niewoli w obozie w Ravensbrück, a wreszcie płodny okres pracy powojennej, daje bogaty obraz przeobrażeń w rozmaitych zakresach twórczości tej graficzki.

Momentem narzucającym się od razu jest różnorodność i wszechstronność. W przeciwieństwie do koryfeuszów polskiej grafiki przedwojennej Hiszpańska jest już dziś artystką wielu technik; uprawiając grafikę użytkową obok artystycznej, w tej ostatniej posługuje się przede wszystkim drzeworytem, obok niego jednak również technikami metalowymi, i to zarówno rytowanymi (sucha igła), jak i trawionymi (akwaforta). Opanowanie techniczne metod graficznych stoi u niej na wysokim poziomie, a na skutek widocznej wytężonej pracy udoskonala się coraz bardziej.

Tematyka da się określić rzuconym już poprzednio terminem humanizmu. Tematyka rozumiana szeroko, nie jako określenie desygnatów czy przedmiotów przedstawionych. Jest to sztuka, której nigdy sprawy ludzkie nie są obce, która, jeśli nawet posługuje się motywem drzewa czy krajobrazu jako środkiem wypowiedzi, czyni go znakiem człowieczym, animizuje rzeczy nieożywione, lub podkreśla ich związanie z życiem ludzkim.

Realistycznemu spojrzeniu Hiszpańskiej człowiek nie ukazuje się jako realizacja idei piękna czy doskonałości. Nie ma tu piękna rzeczy czy spraw przedstawianych. Dominantą życia jej sztuki jest cierpienie ludzkie. Majorowa ciepła tonacja utworów przedwojennych, lubujących się w ukazywaniu pracy człowieka, działania pogodnego — szarego, ale pełnego spokoju — życia (np. prząśniczki, grajków) — tonacja ta ustępuje miejsca pracy, która jest ciężarem, bólem, rozpaczą. W długich, strasznych, zdeformowanych kobietach nieco ekspresjonistyczne drzeworyty Hiszpańskiej zamknęły noc cierpienia. Artystka uwalnia się od obsesji powracających obrazów minionych lat; nie chce zapomnieć bez reszty, lecz chce pozbyć się tego balastu. Ravensbrück jednak w niej trwa. Wielkość przeżycia utrudnia znalezienie własnego wyrazu, wzory ekspresjonistyczne narzucają się zbyt łatwo, zbyt gotowe dają środki wypowiedzi. Wspomnienia Kollwitz, Muncha, czy Kulisiewicza odzywają się niekiedy, odsuwając chwilę odnalezienia świata zupełnie własnego. Ale przeżycie i szczerość są własne.

Równolegle idzie rozwój formalny. Bogate zainteresowania fakturowe drzeworytów przedwojennych ustępują dość prostemu cięciu, problemy życia, śmierci i cierpienia zyskują ogromną przewagę nad problemami formy. To właśnie Scylla i Charybda, o której mówiłem. Lecz w miarę uwalniania się od spraw zbyt ciężkich, zbyt przesłaniających plastykę, w miarę milknięcia broni odzywają się muzy.

Walka Hiszpańskiej z powracającym widmem Ravensbrücku toczy się długo. Pojawiają się formy gotyckie, pojawiają się pejzaże dolnośląskie, cięte jeszcze dość prostą fakturą, proste też w typie ukazywanego życia, ale pozwalające na bardziej beznamiętne rozwiązywanie zagadnień fakturowych i kompozycyjnych. Później znów wracają ludzie znękani — podpatrywani

w pociągach, poczekalniach, w miasteczkach, wsiach i na przedmieściach. Hiszpańska nie rozstaje się ze szkicownikiem. Grafika jej staje się chwilami nieledwie reporterska — melduje. Jest jednak prawie obiektywna — nie walczy i nie płacze. I to już jest sukces.

Dużym drzeworytem przedstawiającym kobietę na zgliszczach domu Hiszpańska pożegnała „wojnę". Otworzyła zaś nowy okres fakturowy. Bogactwo cięcia wzrasta i doskonali się, dojdzie ono do mistrzostwa po twardej pracy u Waśkowskiego, a faktura ostatnich drzeworytów z jesieni i zimy 1947 zapowiada duże i ciekawe możliwości.

Mimo rozwoju proporcji udziału warstwy plastycznej i warstwy uczuciowej i intelektualnej, jaki usiłowałem nakreślić, nawet w momentach największych zainteresowań formalnych nie rezygnuje Hiszpańska z sensu właśnie również pozaplastycznego. Wysoka tonacja treści i stosunku emocjonalnego prowokuje formę do godnego akompaniamentu. Jeśli nawet nie zawsze stoi on na wysokości zadania, to jednak ciągły rozwój świadczy o pracy i możliwościach.

Sztuka Hiszpańskiej balansuje niekiedy pomiędzy artystycznym zapatrzeniem we wzory przeszłości a postępowością. Jest to sztuka przystępna i zrozumiała, nie zawsze łatwa, często bogata w problemy i rozwiązania natury bardzo specjalnej, bardzo graficznej.

Ryciny wykonane w technikach metalowych z lata 47 stanowią dość duży skok. Nowe techniki prowokują nową fakturę, nowe zadania i nowe rozwiązania. Miejsce cierpiących ludzi zajmują ogromne, nie mniej cierpiące drzewa, ludzie przyjmują nagle nową postać w nieco żartobliwej, sceptycznej adaptacji skrótów i chwytów rysunkowych *École de Paris*.

Ostatnie utwory są już dziełami naprawdę dojrzałymi. Żeby stworzyć takie akwaforty, trzeba było wiele przeżyć, wiele stylów przezwyciężyć, pracowite noce poświęcić ryciu w złocistych deskach bukszpanowych, trzeba było wiele przemyśleć i wiele przecierpieć, trzeba było walczyć długo z drzewem i metalem o wywołanie z nich widzianych w sobie obrazów. Nic dziwnego, że miłość, jaką Hiszpańska otacza świat ludzi pokrzywdzonych, tych *humbles*, którym poświęciła tak wiele doskonałych rycin, że miłość ta znalazła swój ideał w postaci asyżskiego świętego. Drzeworyt przeznaczony do nowego wydania Franciszkańskich *Kwiatków*, inspirowany przez współczesny prawie „ptasiemu kaznodziei" portret, malowany przez Berlinghieriego — jest jednym z największych osiągnięć Hiszpańskiej-drzeworytniczki.

Sztuka Hiszpańskiej wydaje się najbliższą ideału sztuki społecznej — sztuki o wysokim poziomie formalnym, sztuki dobrej a przystępnej, zrozumiałej, podejmującej tematy ważne, a — co najważniejsze — żywej i rozwijającej się, walczącej wciąż o lepszy wyraz, tworzonej w niepewnościach, entuzjazmach i załamaniach, sztuki, która nie jest czymś oderwanym od życia tworzącej ją artystki, sztuki przeżywanej jako jedyny i najważniejszy problem indywidualnego istnienia.

Chwalebną inicjatywę wykazała *Wiedza* oddając w jej ręce zadanie zilustrowania *Pieśni o Rolandzie*, *Janosika z Tarchowej* Dobrowolskiego i wielu innych utworów. Zamówienia te wpływały głęboko na twórczość artystki, kształtowały jej psychikę, która ilustrowanym dziełom nadawała swe własne formy.

Zadanie do wykonania czy technika, każdy z tych momentów zmienia nieco drogi wędrówek artystycznych bogatego talentu Hiszpańskiej. Sztuka jej jednak będzie zawsze przykładem anachronicznej dla speców, lecz, jak mi się wydaje, potrzebnej walki o powrót do postawy humanistycznej w sztuce. Przykładem, jak pracowicie i uczciwie, biorąc pod uwagę lekcje twórców najbardziej nawet hermetycznych, buduje się sztukę naprawdę dla wszystkich.

Jan Białostocki

ODCZYTY JULIANA BENDY

Wśród słuchaczy, których zgromadziły w miastach polskich — Warszawie, Łodzi i Krakowie — trzy odczyty Juliana Bendy, mimo woli szukaliśmy wzrokiem tego, który mógłby się zwać nie uczniem, ale w każdym razie — duchowym sojusznikiem prelegenta: Karola Irzykowskiego. Ruchliwy, paradoksalny, przekorny, wiecznie zmienny umysł autora *Słonia wśród porcelany* był w pewnym sensie antytezą konserwatywnego w gruncie rzeczy i trochę nawet schematycznego czy szkolarskiego świata pojęć Juliana Bendy.

Pasja intelektualna, wiara w prymat rozumu, intensywny wysiłek myśli — to były jedyne, ale jakże silne podobieństwa

między Francuzem a Polakiem. Zdaje się, że Irzykowski nigdy nie rozmawiał z Bendą, że znał tylko z czytania autora książki o *Zdradzie klerków*, którą tak chętnie cytował. Ciekawe, jak byłby przyjął pewne twierdzenia Bendy, o których powiem za chwilę. Kto wie, czy nie wzruszyłby ramionami, a może nawet nie opuściłby z oburzeniem sali.

Rzecz interesująca, że podczas wojny ich postawa nie była odmienna. Irzykowski żył tak wyłącznie w świecie swych myśli, że był prawie niedosiężny dla nastrojów zdenerwowania i depresji. Benda w swej kryjówce, ignorując całkowicie grożące mu ze strony Niemców ustawiczne niebezpieczeństwo, bez najmniejszego niepokoju czy lęku ustawicznie i wytrwale kontynuował swą pracę — jak Condorcet, który w więzieniu pisał o wieczystym postępie ludzkości. Ale epizod wojenny skończył się dla Bendy szczęśliwie. Raz jeszcze podejmuje on więc obronę tradycjonalizmu intelektualnego, i to w dwóch dziedzinach równocześnie: filozoficznej i literackiej. W odczytach swych mówił Benda o kryzysie racjonalizmu i o kryzysie literatury. Zgodnie z tradycjami starofrancuskiej kartezjańskiej szkoły myślenia — wywody swe rozpoczął od definicji. Odpowiedział na pytanie, co rozumie przez słowo „kryzys".

Pojęcie to jest dla Bendy równoznaczne z atakiem na stare pozycje racjonalizmu, atakiem, który podejmują nie tylko wrogowie intelektualizmu, ale i przedstawiciele nowoczesnych kierunków filozofii i nauk przyrodniczych. Za pierwszy atak tego rodzaju uważa Benda intuicjonizm Bergsona (i wywołany nim szeroki oddźwięk filozoficzny). Drugim zamachem jest egzystencjalizm. Trzecie wreszcie — i to najgroźniejsze! — niebezpieczeństwo stanowią niektórzy ludzie, decydujący dziś o rozwoju nauk ścisłych. Mówi się dziś bowiem — stwierdza Benda — o „dynamizmie nauki" i o „stałej transformacji myślenia" (Gaston Bachelard). Filozof Brunschwig napisał książkę „o epokach inteligencji". Teoria ta wynika, zdaniem Bendy, z pomieszania terminologii. Wyjaśnia to na przykładzie. W związku z odkryciem Einsteina podważono pojęcia czasu, przestrzeni i ciągłości zjawisk (tzn. że natura nie czyni skoków). Być może, iż te pojęcia w pewnym sensie zmieniają się — ale niezmienna jest, zdaniem Bendy, nasza zdolność tworzenia pojęć. Zdolność ta jest elementem stałym.

Inny przykład: pojęcia czasu i przestrzeni muszą być dzisiaj pojmowane łącznie, nie można ich rozdzielać. Tak samo pojęcia siły i masy. Ale z tego nie wynika, by same te pojęcia straciły wszelką wartość.

Geniusz nauki polega, zdaniem Bendy, na tworzeniu nowych kombinacyj ze starych materiałów. Autor *Zdrady klerków* głosi chwałę tradycjonalistów naukowych, tych, co nie rzucają się na nowe teorie z entuzjazmem i nierozwagą, ale rozpatrują je z krytyczną ostrożnością. Oddali oni, zdaniem Bendy, wielkie korzyści nauce. Przeciwstawia się Benda słowom Ludwika de Broglie o pojęciach „jeszcze nienarodzonych", oraz przekonaniu, że stary racjonalizm trzeba zastąpić nowym „surracjonalizmem", czy „transracjonalizmem".

Cóż to jest racjonalizm? — zapytuje Julian Benda. Jest to zdolność rozumowania, tj. wyciągania odpowiednich wniosków z ustalonych założeń. Zdolność ta nie zmieniła się od 3 000 lat, od czasów Euklidesa; zmieniły się tylko nasze wobec racjonalizmu wymagania. Rozszerzają się pojęcia, zmieniają założenia, wysubtelnia tok rozumowania (nowa fizyka) — ale zasady racjonalizmu są niezmienne. Zasady rozumowania uformowały się niegdyś pod naciskiem rzeczywistości. Raz sformułowane — są czymś stałym. Są skrystalizowane, choć nieskończenie plastyczne. Można to nawet uważać za zło i tęsknić do pierwotnej ruchliwości umysłu — ale faktowi zaprzeczyć nie podobna.

Przyjrzyjmy się teraz poglądom Bendy na współczesną literaturę. Przeżywa ona, jego zdaniem, taki sam kryzys, jak filozofia i nauka. Przez kryzys literatury rozumie on stan, w którym literatura zaczyna doznawać z m i a n z a s a d n i c z y c h i gdy zrywa ona z dotychczasową swą tradycją. Otóż zdaniem Bendy w dzisiejszym francuskim życiu literackim są pisarze, którzy pozostali wierni tradycji; a więc ich dzieła nie są objęte zjawiskiem tak pojętego kryzysu (Jules Romains, Duhamel, Martin du Gard). Kontynuują oni tradycję powieści bądź psychologicznej, bądź też obserwacyjno-obyczajowej.

Za sprawców przesilenia uważa autor *Zdrady klerków* pisarzy innych: Claudela, Giraudoux, Valéry'ego, Gide'a, surrealistów, Suarèsa i egzystencjalistów. Proponują oni coś całkiem nowego w literaturze i zmieniają samo jej dotychczasowe we Francji pojęcie.

Zasadniczą cechą przewrotu jest — zdaniem Bendy — a n t y i n t e l e k t u a l i z m. Jest to, w pewnym sensie, rewanż pokonanego na polu bitew narodu niemieckiego —

gdyż Niemcy byli zawsze przeciwnikami intelektualizmu. (Trudno nie zauważyć, że ta nawiasowa uwaga Bendy jest uderzająco demagogiczna i powierzchowna). Owi pisarze antyintelektualiści, których Benda wymienia, odrzucają, jego zdaniem, idee i myśli zorganizowane. Głoszą natomiast chwałę myślenia zmiennego i ulotnego. Otóż inteligencja polega właśnie na tym, że dąży do unieruchomienia — że nie może być czymś ustawicznie ulotnym i zmiennym. Inteligencja to jest, zdaniem Bendy, wola posiadania myśli j e d n o l i t e j. Postępowanie przeciwne jest więc mistycyzmem — może bowiem istnieć mistycyzm myśli, jak istnieje mistycyzm uczucia.

Oto jest, zdaniem Bendy, specjalna pozycja Valéry'ego, odpowiadająca w poezji filozoficznej postawie Bergsona. Nadrealiści idą jeszcze dalej. Przeciwstawiają myśl rozumowi. Valéry natomiast przeciwstawia myśl rozumowaniu. Wszyscy odrzucają myśl uzasadnioną i marzą o myśli bezpodstawnej (*la pensée gratuite*). Przykładem takiej właśnie myśli jest zdanie Gide'a: „że człowiek przychodzi na świat po to, aby być szczęśliwym — o tym świadczy cała natura". Myśl, zdaniem Bendy, absolutnie pozbawiona gruntu! Innym przykładem tej herezji intelektualnej są, zdaniem Bendy, myśli sporadyczne i nieskoordynowane.

Chodzi jeszcze niektórym pisarzom o to, by myśl miała wygląd szczególny i oryginalny. (Tu wymienia Benda Alaina i Giraudoux). Otóż, zdaniem prelegenta, idee rzadko spotykane bywają zazwyczaj fałszywe. To samo można powiedzieć o dążeniu, by myśli ożywiające literaturę były ściśle osobiste, oraz o poglądach następujących: a) że wartość myśli zależy szczególnie od jej formy, b) że myśl jest niekomunikatywna i nieprzenośna, c) że literatura nie może mieć charakteru powszechnego (pewne miesięczniki literackie stają się jakby pismami specjalistów).

Z antyintelektualizmem łączy się, według Bendy, jeszcze i coś innego: wola skupienia wysiłku artystycznego nie na osądzaniu życia, ale na ukazywaniu samego przebiegu tego życia. W rezultacie pisarze wprowadzają poezję do innych dziedzin twórczych, a w szczególności do prozy powieściowej. Powieść staje się świadomie i celowo — wyrazem uczuciowości autora. (Przykłady: Proust, Malraux).

Podobnie dzieje się w teatrze. Wbrew doktrynie Racine'a, który pragnął, aby także i teatr był terenem obserwacji życia, Giraudoux tworzy dramat antypsychologiczny i poetycki. Na polu filozofii zjawiskiem analogicznym jest egzystencjalizm. (Według teorii Sartre'a myśl o istnieniu stanowi deformację istnienia). Wreszcie w krytyce herezja polega, według Bendy, na dążności do współuczestniczenia w procesie twórczym (Gabriel Marcel, Du Bos, Thibaudet). Otóż zadaniem krytyka jest rozbiór, analiza tego, co zostało stworzone — a nie tego, co się dopiero tworzy.

Lekarstwem na te wszystkie niebezpieczeństwa i grzechy wydaje się Bendzie odwołanie do młodzieży. Panuje rozpowszechniony pogląd, iż młodzież jest cała po stronie tej literatury, którą oskarża autor *Zdrady klerków*. — To nieprawda! — mówi Benda. Istnieje mała, ale zdeklarowana grupa zwolenników renesansu intelektualnego, a grupa ta byłaby potężniejsza, gdyby nie profesorowie szkół wyższych, którzy głoszą antyintelektualizm, lub fatalistycznie mu się poddają, kapitulując przed „faktami dokonanymi". Benda dostrzega też niebezpieczeństwo zbyt skrajnej reakcji racjonalistycznej w przyszłości, która by mogła zmieść z powierzchni ziemi wszelki liryzm. Jego zdaniem poezja nie musi być ściśle racjonalistyczna, wystarczy, by była komunikatywna. Zasadniczym warunkiem poprawy i postępu jest, zdaniem Bendy, pełna swoboda myśli.

W sumie odnosi się wrażenie, że autor *Zdrady klerków* reprezentuje dziś pozycję konsekwentnego konserwatyzmu. Konserwatyzmu na pozycjach racjonalistycznych i lękliwych wobec nieuchronnych przemian świata. Trudno też sobie wyobrazić, by jego gromkie *veto* zahamowało rozwój nowoczesnej literatury i nowoczesnej filozofii.

Wojciech Natanson

LIST DO REDAKTORA TWÓRCZOŚCI

W artykule Tadeusza Drewnowskiego i Marii Janion pt. *Zagadnienie fikcji literackiej* (*Twórczość, 1948, nr 2*), na str. 85 znajduje się ustęp (w. 14—21), w którym autorowie referują moje rzekomo poglądy na sprawę tzw. „teorii dwu prądów". W związku z tym proszę o zamieszczenie następującego sprostowania:

1. Podobnie jak przy cytowaniu cudzych poglądów wyrażonych w druku istnieje obowiązek podania tytułu pracy, wydania i stronicy, tak przy cytowaniu poglądów wypowiedzianych przez kogoś jedynie ustnie należy podać czas i miejsce przytoczonej wypowiedzi. W wypadku danym należało podać jeszcze osobę informatora, który służył jako źródło. Albowiem czytelnik niewtajemniczony w stosunki gotów mniemać, że pan Drewnowski i pani Janion są moimi słuchaczami i powołują się na moje uniwersyteckie wykady. Tymczasem wymienieni autorowie nigdy nie byli moimi słuchaczami i przytoczonych poglądów z katedry uniwersyteckiej słyszeć nie mogli, choćby dlatego, że ani tych poglądów, ani wiążących się z nimi zagadnień nigdy nie czyniłem przedmiotem moich wykładów czy to w Wilnie, czy w Toruniu. Autorowie gotowi odpowiedzieć, że w ich relacji nie zostało zaznaczone, gdzie ja przypisywane mi rzeczy wypowiadałem, ale jest rzeczą jasną, że gdy się pisze o wykładach profesora uniwersytetu bez żadnej przydawki, to rozumie się samo przez się, iż chodzi o wykłady uniwersyteckie.

2. Muszę wyręczyć zatem autorów i podać, że n i e k t ó r e z przypisywanych mi poglądów mogli usłyszeć z moich ust podczas odczytów popularnych przeznaczonych dla publiczności katolickiej, które wygłosiłem w Łodzi dn. 30 listopada i 1 grudnia ub. r. Ale podkreślam — tylko niektóre! Chodzi mi o tezę o wahadłowym rytmie rozwoju umysłowości europejskiej od czasów renesansu, rytmie polegającym na kolejnych okresach przewagi to pierwiastków racjonalistycznych (renesans, oświecenie, pozytywizm), to znów mistycznych, ewentualnie uczuciowych (barok, romantyzm, symbolizm). Teza ta została bardzo niedokładnie streszczona w wierszach 15—19. Ale dalszy ciąg moich rzekomych poglądów to znów czysta fantazja autorów artykułu. Czytamy dosłownie: „A dziś — w dalszym ciągu streszczamy wywód Górskiego — zmagają się nadal te dwie potęgi. Różne typy twórczości są odpowiednikami dwu biegunów niezmiennego ducha ludzkiego".

Stanowczo protestuję przeciw wkładaniu w moje usta słów, których nigdy nie wypowiedziałem i nie mógłbym wypowiedzieć, ponieważ nie mam nic wspólnego z żadną metafizyką, która by operowała pojęciem jakiegoś „niezmiennego ducha ludzkiego". Zamieszczenie podobnego zdania mogę sobie wytłumaczyć tylko w ten sposób, że autorowie wysnuli z moich wywodów jakieś konsekwencje według swego sposobu rozumowania i podrzucili mi jak kukułcze jajo, uważając swój wniosek za mój pogląd. Ale takie postępowanie — zakładając dobrą wolę autorów — jest wielkim błędem metodycznym. Bo za cudzy pogląd mamy prawo uważać tylko to, co zostało wypowiedziane w sformułowaniu pochodzącym od danego człowieka. W redakcji autentycznej cudzy pogląd jest pewnym faktem historycznym, natomiast nasz wniosek z cudzych poglądów nie może być podawany za cudzy pogląd, bo jest tylko naszą konstrukcją logiczną, może słuszną, może błędną, ale w żadnym wypadku nie jest historycznym faktem.

Urywek na str. 85 poświęcony mojej osobie ma na celu, jak wskazuje dalszy ciąg, przekonanie czytelnika, że przypisywane mi poglądy są „banalną konstrukcją burżuazyjnej historii literatury" (z powołaniem się na autorytet Lukacsa). Otóż tej rękawicy nie mam zamiaru podnosić. Są sytuacje, w których można odpowiedzieć na cudzą zaczepkę tylko słowami Dantego: *Guarda e passa!*

Konrad Górski

NA OKŁADCE DRZEWORYT MARII HISZPAŃSKIEJ

WYKAZ TREŚCI

Str.

CZESŁAW MIŁOSZ: Traktat moralny 5
JERZY ZAGÓRSKI: Te, które się troszczą 17
JAN WIKTOR: Pochwała młodzieży polskiej 21
JAN KOPROWSKI: Obraz, Próba, Ostatnia stolica 42
EUGENIUSZ ZIELIŃSKI: Elegia staronikołajewska, Uroczysko 44
TADEUSZ PEIPER: O tańcach artystycznych 46
POEZJA OFLAGU II C:
JAN KNOTHE: Olimpijska modlitwa, Z cyklu „Warszawa", Plac Trzech Krzyży, Kanonia, Opowieść o mądrym starcu i o tym, jak łucznik arcychanowy sam siebie zwyciężył 65
WŁADYSŁAW MILCZAREK: Łuczniczka, Żongler, Trzmiel, Kaczeńce, Poległe konie 72
EDWARD FISZER: Bal milionera, Pieśń o trampie, Rozkaz, Konstytucja, Kwatera przed wybuchem 75
STEFAN FLUKOWSKI: Bajeczki (Galanteria, Sąsiedzi, Komentarz, Rzeczowość, Wymiana zdań, Narodziny złotej myśli, Wyżycie się) 80
E. N. DZELEPY: Prawda o Monachium 82

WZNOWIENIA
KRYSTYNA KULICZKOWSKA: „W Grzmiącej" po raz drugi 103
KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI: „Płomienie" Brzozowskiego 109
JAN NOWAKOWSKI: Dzban wina i kropla goryczy 112
ANIELA ŁEMPICKA: Monografia Kochanowskiego 117

NOTY
JAN BIAŁOSTOCKI: Na posterunku sztuki humanistycznej (grafika Marii Hiszpańskiej) 125
WOJCIECH NATANSON: Odczyty Juliana Bendy 122
KONRAD GÓRSKI: List do redaktora „Twórczości" 125

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka
Sekretarz odpowiedzialny: Jan Alfred Szczepański.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8 Administracji: Wielopole 1.
Cena zeszytu 115 zł + 5 zł (cegiełka na „Dom Słowa Polskiego")
Prenumerata kwartalna 300 zł
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Pozostałe w ograniczonej ilości

KOMPLETY MIESIĘCZNIKA »TWÓRCZOŚĆ«

za rok 1945 i 1946

mogą nabywać

BIBLIOTEKI
ŚWIETLICE
CZYTELNICY

Komplet za rok 1945 składa się z 5 zeszytów, łącznie stron 932, cena 140 zł, poprzednio 200 zł.

Komplet za rok 1946 składa się z 11 zeszytów (jeden numer podwójny), łącznie stron 2112, cena 490 zł, poprzednio 700 zł.

Zamówienia należy kierować na adres Prenumeraty Wydawnictw „Czytelnika", Kraków, Powiśle 6, wpłacając jednocześnie należność na konto P. K. O. IV 1632.